

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

ISSN 2719-9096

NR 3-4 (7-8) / 2022

# OSTOJA

BERGAMO - WILNO

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE







# Uroczystości pogrzebowe obrońców Westerplatte

FOT. © MIKOŁAJ BUJAK / IPN

**4** listopada 2022 roku dziewięciu bohaterów Westerplatte spoczęło wraz ze swoim dowódcą mjr. Henrykiem Sucharskim na nowym Cmentarzu Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte.

W uroczystościach pogrzebowych wzięli udział Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, rodziny Westerplatteczyków, kombataneci i mieszkańcy Gdańska.

Uroczystości na Westerplatte poprzedziła Msza św. w gdańskim kościele św. Brygidy, gdzie już w przeddzień zostały złożone trumny ze szczątkami żołnierzy, odnalezionych jesienią 2019 roku w miejscu, gdzie zostali zabici przez Niemców. W ich obecności, w wigilię uroczystości, odbył się koncert *Requiem Pamięci Poległych Obrońców Westerplatte*.

Po Mszy kondukt z dziesięcioma trumnami wyruszył ulicami Gdańska na Westerplatte. Egzekwie pogrzebowe na Cmentarzu Żołnierzy WP odprawił biskup polowy Wiesław Lachowicz. Do zgromadzonych przemówił Prezydent RP:

„To niezwykła chwila i miejsce – symbol walki o wolność, miejsce, w którym rozpoczęła się II wojna światowa. [...] To miejsce odzyskuje wymiar taki, jaki powinien mieć dla polskiej historii, dla obrońców Westerplatte, dla następnych pokoleń. Polscy żołnierze, ich najbliżsi, ci tu i teraz, którzy służą i będą służyli w Wojsku Polskim muszą wiedzieć, że Polacy i Polska podnoszą się jak trawa, że Polska przychodzi po swoich poległych, oddaje im hołd, zwraca najbliższym”.

Na Westerplatte pochowani zostali: mjr Henryk Sucharski, plut. Adolf Petzelt, kpr. Bronisław Perucki, kpr. Jan Gębura,



st. strzelec Władysław Okrasa (Okraszewski), legionista Józef Kita, st. legionista Ignacy Zatorski, st. legionista Zygmunt Zięba oraz dwóch niezidentyfikowanych obrońców Westerplatte.

Po uroczystym pogrzebie prezydent Andrzej Duda przekazał flagi państwowe okrywające trumny bohaterów ich krewnym oraz prezesowi IPN i dyrektorowi Muzeum II Wojny światowej. Oddano salwę honorową, a przy grobach poległych złożono wieniec od Narodu. **ISB, IPN**



FOT. © MIKOŁAJ BUJAK / IPN



# O pamięć i prawdę

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



**O**kres, za który ukazuje się obecna edycja „Ostoi” przypada na czas smutnych rocznic w dziejach Polski. Lipiec z apogeum ukraińskiej rzezi Polaków na Kresach Wschodnich, wrzesień – z atakiem Niemców, a później Rosjan w ramach wojny rozpętanej przez naszego zachodniego sąsiada, październik – z jakże tragiczną w skutkach klęską Powstania Warszawskiego i tym, co w konsekwencji nastąpiło z Warszawą i jej mieszkańcami.

Ważnym wydarzeniem mijającego 2022 roku było zakończenie prac nad *Raportem o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939-1945* oraz jego prezentacja. Polska w wyniku szaleństwa Niemców straciła ponad 5,2 milionów obywateli. Zespół przygotowujący *Raport* szkody wojenne oszacował na minimum 6 bilionów 220 miliardów 609 milionów złotych. Z jednej strony nieodwracalne zniszczenie substancji ludzkiej i materialnej będące skutkiem wojny, z drugiej skazanie kilku pokoleń Polaków na ogromny wysiłek odbudowy kraju ze zgliszczy. To smutny bilans działań człowieka przeciw człowiekowi.

Praca Komisji oraz współpracujących z nią specjalistów jest nie do przecenienia. *Raport*, na który składają się trzy tomy porażającej swoją treścią i archiwalnym materiałem zdjęciowym, wydany w kilku wersjach językowych powinien dotrzeć jak najszerzej do współczesnych pokoleń. W pierwszej kolejności do narodu sprawców, gdyż jak wskazują badania Instytutu Interdyscyplinarnych Badań nad Konfliktami i Przemocą Uniwersytetu Bielefeld aż 69,8 (!) proc. Niemców jest przekonanych, iż ich przodkowie nie byli sprawcami II wojny światowej, a prawie 36 proc. respondentów uważa, że Niemcy byli ofiarami nazistów... (zob. s. 12-13).

W podobny sposób należałoby podsumować to, co spotkało nasz kraj ze strony drugiego sąsiada. Powinien powstać „Raport strat wojennych”, i powojennych, spowodowanych przez Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Ponadto pozostaje jeszcze inna krwawiąca rana... ludobójstwo dokonane na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Pomimo tego, że niektórzy uważają, iż teraz nie należy o tym mówić, a jeszcze inni, iż należy „ważyć słowa”, na obecnych łamach



„Ostoi” prezentujemy również ten bolesny obraz z kart historii XX wieku, nie rozliczony po dziś dzień. 13 lipca minęła 79. rocznica „krwawej niedzieli” na Wołyniu...

– Ta niedziela była dniem rozpoczynającym masakrę. Wcześniej zdarzały się mordy, ale od tej niedzieli zaczęła się rzeź. Upowcy zaatakowali 99 miejscowości. Napadali na domostwa, wywlekali rodziny, łapali uciekających, podpalali ukrywających się. Strzelali, dźgali widłami, tłukli w głowy siekierami, podrzynali gardła kosami. Mordowali dzieci, ich rodziców, ciężarne kobiety i starców. Nikogo nie było im szkoda. W sumie zabili około 90 tys. Polaków – pisze w swojej rodzinnej historii *Nic nie jest w porządku* polski muzyk i kompozytor, Krzesimir Dębski. – To była potężna akcja metodycznego eliminowania ich z Wołynia. Wielka etniczna czystka, w której ginęli także Czesi, Ormianie i inaczej myślący Ukraińcy. Wcześniej nacjonałiści UPA pomagali Niemcom w Holokauście. Celem tego bezwzględego ludobójstwa było

przygotowanie jednorodnego etnicznie terenu, by na Wołyniu była Ukraina.

Szkoda, że doświadczenia przeszłości prawie nie współczesnego człowieka nie nauczyły. Za obecną naszą wschodnią granicą nadal toczy się bezsensowna wojna. Jednak tragiczne dziś – nie może przysłonić tragicznego wczoraj. Nie można zapomnieć! W imię takiej czy innej poprawności, czy politycznych strategii rządzących, nie wolno przemilczać zbrodni. Należy przypominać, aby podobne „pomysły” nie zrodziły się znowu. Zwłaszcza, że według przeprowadzonego przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii sondaż, w ciągu ostatnich dziesięciu lat (2013-2022), prawie dwukrotnie (z 22 do 43 proc.) wzrosła na Ukrainie liczba osób pozytywnie oceniających działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).

Nie można pogodzić się z zakłamywaniem historii.

Nie o zemstę, lecz o pamięć i prawdę wołają Ofiary! ■

„*Nam nie wolno w tej sprawie przekroczyć granicy, a tą granicą jest fakt, że Niemiec jest człowiekiem! I nie wolno nikomu [...] godności ludzkiej w tym Niemcu poniewierać! [...] Uważajmy, byśmy na siebie nie ściągnęli hańby takiej, jak Niemcy na siebie. [...] Widziałem transport jeńców pomęczonych, spoconych, pochylonych cierpieniem. Przyjeżdża pociąg, otwarte wagony, kobiety polskie rzucają przekleństwa. [...] Co to ma znaczyć?! Takich rzeczy nie wolno robić, jeśli się chce być prawdziwym człowiekiem. Nauczyłem się patrzeć na wojnę jako na coś niemoralnego, nie do pogodzenia z chrześcijaństwem.*

*Bolesław Lejka*

- 3 Prześadowani i zapomniani?
- 5 Piórem Ernesta Brylla: \* \* \*
- 4 Urbankowski: 63 dni III Rzeczypospolitej
- 12 Niemcy nie wiedzą, że zrujnowali Polskę
- 14 Polskie straty wojenne w wyniku agresji i okupacji niemieckiej
- 18 Wasylyk: El Greco i Święty Franciszek
- 19 Pustelnik „Jano”: Trzy tęsknoty pod czujnym okiem Opatrzności
- 22 Ojciec, któryś zginął zastrzelony
- 23 Sutarski: Mój Ojciec – cz. II
- 29 Nowak: Skąd się wzięła Ukraina – cz. 2
- 34 Mieszczanek: Ukradziony Pomnik Katyński i bracia Melakowie
- 38 Mickiewicz: Żeglarz
- 39 Świegocki: Wrzucony do bytu otchłani
- 44 Bartkowski: Ach, ta młodość
- 50 Pomnik wyklęty? Czy ktoś specjalnie blokuje przekazanie *Rzezi Wołyńskiej*
- 54 Dokument o prześladowaniu Węgrów z Zakarpacia
- 55 W 79. rocznicę Zbrodni Wołyńskiej
- 56 Raina: Hitler. Koniec Legendy – cz. 7
- 64 Trusczyński: Hel jest hen
- 68 Było, minęło, zostało w pamięci
- 69 75-lecie Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej
- 70 Mendakiewicz: Szkoła baletowa w Bytomiu
- 72 Kociolkowska: Edukacja w szkole tańca
- 74 Czy w niebie tańczą? – cz. II
- 76 Żegnamy Zofię Posmysz
- 77 Gucewicz: Zosiu, pozwól, że będzie to...
- 78 Królikowska-Avis: Jacek Wegner
- 79 Burczycka-Woźniak: Midrasz o Melchizedeku
- 80 Kabaret Małgorzaty Todd
- 81 Ogólnopolski Apel Czasopism – odpowiedź MKiDN
- 81 Sztumski: Czasopisma 2023
- 82 Bruski: *Igraszki* Karasia
- 83 Pańków: Książka z duszą, czyli Karasia *Igraszki z myślą*
- 84 Mieczkowski: Był to bardzo trudny rok
- 86 Krajowy Konkurs Literacki
- 86 XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki
- 86 Wpis do rejestru zabytków w Olsztynie uchylony

**NA OKŁADCE**

**I strona:** Adamsky73, *Powstanie Warszawskie*, 2019 ©

**IV strona:** Hannibal Height, *The Framework*, 2017 ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA

34



FOT. © ANDRZEJ SIKORA

19



FOT. ARCHIWUM AB

44



FOT. DOMENA PUBLICZNA

6



FOT. © MARIUSZ KUBIK

34



FOT. © WALENTY WANKOWICZ

39



FOT. © BEATA TAS

64



FOT. © SKRIP. RW / FB

50



FOT. © ISB

69

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO  
**OSTOJA**  
 BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527  
11-041 Olsztyn, ul. Kardynała Hozjusza 12/3, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Ernest Bryll, Dobrochna Bugiera (DTP), Bożena Kociolkowska, Radosława Pieniężna-Grabowska (korekta), Peter Raina, Stefan Trusczyński
- **STAŁA WSPÓŁPRACA:** Andrzej Bartkowski, Jerzy Biernacki, Marzena Burczycka-Woźniak, Małgorzata Chomicz, Aleksander Czajkowski-Ładysz, Wojciech Goljat, Agnieszka Karaś, Romuald Karaś, Elżbieta Królikowska-Avis, Anna Mendakiewicz, Anna Mieszczanek, Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota, Lech L. Przychodźki, Zbigniew Sajnog, Krystyna Stasiewicz, Edward W. Stańczak, Konrad Sutarski, Kazimierz Świegocki, Jan Tetter, Małgorzata Todd, Bohdan Urbankowski
- **DRUK:** BookPress
- **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, 00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70
- **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906



# Prześladowani i zapomniani?

**C**hrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną. Raport za lata 2020-2022 wskazuje, że w 75 proc. badanych krajów nasiliły się nękania lub prześladowania chrześcijan. Lista państw, gdzie wyznawcy Chrystusa znajdują się w trudnej sytuacji wydłużyła się ze 145 do 153.

W Afryce sytuacja chrześcijan pogorszyła się we wszystkich analizowanych krajach, co spowodowane jest głównie gwałtownym wzrostem ilości ludobójstw ze strony organizacji paramilitarnych, w tym dżihadystów.

Na Bliskim Wschodzie ciągle migracja pogłębiła kryzys zagrażający przetrwaniu trzech najstarszych i najważniejszych społeczności chrześcijańskich na świecie zlokalizowanych w Iraku, Syrii i Palestynie.

W Azji państwowy autorytaryzm był krytycznym czynnikiem powodującym pogłębiający się ucisk wobec chrześcijan, zwłaszcza w Birmie (Myanmar), Chinach i Wietnamie. Wolność wyznania i sumienia jest dławiona, jak choćby w Korei Północnej.

## Afryka

Chrześcijanie na całym kontynencie stoją w obliczu groźby rosnącego ekstremizmu islamistycznego. Grupy takie jak Boko Haram z Nigerii i Państwo Islamskie Prowincji Afryki Zachodniej (ISWAP) wciąż próbują ustanawiać kalifaty w regionie Sahelu, każdy z własnym wali (gubernatorem) i strukturami rządzenia. Przyjmując twardą postawę salaficko-dżihadystyczną, Państwo Islamskie na Wielkiej Saharze (ISGS) zabroniło muzyki i imprez oraz ściśle regulowanych wydarzeń społecznych, takich jak śluby.

W czerwcu 2021 roku bojownicy ISGS dokonali egzekucji pięciu chrześcijańskich cywilów schwytych w czasie blokady drogowej między Gao w Mali i Niamey w Nigrze. W Mozambiku Al-Shabab zintensyfikowało swoją kampanię terroru, zabijając chrześcijan, atakując chrześcijańskie wioski i paląc kościoły. Grupa jest powiązana z Daesh (ISIS), które przyznało się do ataku w marcu 2021 roku na miejscowość Palma w północno-wschodnim Mozambiku.

Dżihadizm jest jednym z powodów, dla których Nigeria balansuje na krawędzi upadku państwa, a porwania, zabójstwa księży i ataki na kościoły z zamierzonymi śmiertelnymi ofiarami wśród wiernych stają się coraz bardziej regularne.

Według analizy Międzynarodowego Towarzystwa Wolności Obywatelskich i Rządów Prawa, między styczniem 2021 a czerwcem 2022 roku zabito ponad 7 600 chrześcijan. Kontrowersje pojawiły się w listopadzie



Fot. © ISMAEL MARTINEZ SANCHEZ / ACP

2021, kiedy rząd Stanów Zjednoczonych usunął Nigerię z listy „krajów szczególnej troski” w odniesieniu do wolności religijnej. Samson Ayokunle, prezes Stowarzyszenia Chrześcijańskiego Nigerii, odpowiedział, że istnieje plan bojówek ekstremistów, aby „wymazać chrześcijaństwo”. List do brytyjskich parlamentarzystów i organizacji charytatywnych ostrzegł brytyjski rząd, że bojownicy społeczności Fulani „wykorzystują blokadę COVID-19, aby zintensyfikować ataki na wioski” w środkowym pasie Nigerii. Na arenie międzynarodowej ujawniły się zwłaszcza dwa poważne incydenty prześladowań chrześcijan w Nigerii. Pierwszym z nich było ukamienowanie i podpalenie w maju 2022 roku Deborah Samuel, 25-letniej chrześcijanki, po tym, jak podzieliła się „bluźnierczymi” wiadomościami na WhatsAppie. Drugim był atak na kościół św. Franciszka Ksawerego w Owo w stanie Ondo podczas Mszy w niedzielę Zesłania Ducha Świętego, podczas którego zginęło co najmniej 40 osób.

Grupy ekstremistyczne to nie jedyny problem na kontynencie. Także działania rządów państwowych mają szkodliwy wpływ na afrykańskich chrześcijan. Wraz z usunięciem prezydenta Omara Al-Bashira w kwietniu 2019 roku, kończącym okres narastającego islamizmu, chrześcijanie w Sudanie czekali,

aby zobaczyć, jak nowy rząd zachowa się po wojskowym zamachu stanu w 2021. Wczesne oznaki nie były zachęcające: przywódcy Kościoła zostali zatrzymani, a jedna para została oskarżona o „cudzołóstwo”, ponieważ mąż nawrócił się na chrześcijaństwo. 24 czerwca 2022 roku aresztowano czterech mężczyzn z powodu apostazji, ale później zwolniono ich. Według doniesień byli oni poddawani poniżającemu, nieludzkiemu traktowaniu.

W Etiopii chrześcijanie padli ofiarą brutalnej przemocy, będącej celem szerszej akcji na tle etnicznym. Źródła krajowe sugerowały, że zarówno wojska erytrejskie, jak i etiopskie zaatakowały duchownych i budynki kościelne w regionie Tigray w Etiopii. Oddziały erytrejskie są oskarżone o motywowane etnicznie „czystki kulturowe”, uczestnictwo w masakrach etiopskich chrześcijan, takich jak ta w Aksum, a także niszczenie starożytnych klasztorów i budynków kościelnych. W maju 2021 roku patriarcha Mathias, lider etiopskiego Kościoła prawosławnego Tawahedo, powiedział, że rząd etiopski z pomocą sił erytrejskich „chce zniszczyć ludność Tigray” pytając, dlaczego Etiopia chciała „ogłosić ludobójstwo na ludności Tigray”.

Ciąg dalszy na s. 4 ▶



## ► Ciąg dalszy ze s. 3

W tym samym miesiącu PKWP została poinformowana, że zakonnice zostały zgwałcone podczas ataku na Tigray.

**Bliski Wschód**

Paradoksalnie pojawiają się przesłanki, że w niektórych częściach Bliskiego Wschodu chrześcijanie są w gorszej sytuacji niż podczas okupacji prowadzonej przez Państwo Islamskie (ISIS). Ujawniły się dowody na to, że zagrożenie dla przetrwania niektórych najstarszych wspólnot chrześcijańskich na świecie znacznie się pogłębiło. Spadek jest najbardziej widoczny w Syrii, gdzie w ciągu dekady liczba chrześcijan spadła z 1,5 mln (10 proc. populacji kraju) w 2011 roku, przed wybuchem wojny, do prawdopodobnie 300 tys. (mniej niż 2 proc. populacji). W następstwie eksplozji w Bejrucie 4 sierpnia 2020 roku, gdzie największe zniszczenia dotknęły dzielnicę chrześcijańską, przywódcy Kościoła w Libanie poddali w wątpliwość długoterminowe przetrwanie społeczności.

W Iraku, gdzie tempo exodusu jest znacznie wolniejsze, społeczność chrześcijan spadła z około 300 tys. przed inwazją Państwa Islamskiego w 2014 do zaledwie 150 tys. wiosną 2022 roku. Badania PKWP wykazały, że w częściach Iraku, takich jak stolica kraju – Bagdad, gdzie chrześcijanie stanowili silną mniejszość, społeczność chrześcijańska stała się cieniem samej siebie. Stało się tak, mimo iż starano się pozostawić otwarte kościoły. Jednak z siedmiu krajów Bliskiego Wschodu objętych tym przeglądem Irak był jedynym, który odnotował poprawę. Kompleksowy program stabilizacji po działalności grupy Daesh, obejmujący odbudowę chrześcijańskich miast i wsi, domów, szkół, kościołów i innych obiektów użyteczności publicznej, został zwieńczony długo oczekiwaną wizytą papieską w marcu 2021 roku.

Nadal jednak w Iraku, podobnie jak w wielu innych krajach Bliskiego Wschodu, społeczność chrześcijańska odczuwa zagrożenie ze strony grup dżihadystycznych. Ciągła przemoc ze strony islamistów, na przykład w północnej Syrii, pokazała, że nawet potępienie ekstremizmu przez wysokich rangą przywódców islamskich najwyraźniej miało niewielki odzew. W rzeczywistości zagrożenie ekstremistyczne utrzymywało się w całym regionie. Ponad pięć lat po militarnej klęsce Państwa Islamskiego groźba jego odrodzenia się w żaden sposób nie zniknęła. Dżihadyzm ma potencjał, aby zniszczyć chrześcijaństwo u jego starożytnych korzeni. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że liczba chrześcijan jest teraz bardzo niska, ale także dlatego, że ich zaufanie co do przyszłości jest

tak kruche. Przetrwali czasy ludobójstwa, ale wobec braku bezpieczeństwa, pokusa migracji jest – dla wielu z nich – prawie nie do odparcia. To pragnienie opuszczenia rodzinnej ziemi jest potęgowane przez otoczenie kulturowe, które pozostaje niechętnie, a nawet złowrogie wobec chrześcijan. Bycie traktowanymi jak obywatele drugiej kategorii, doświadczanie dyskryminacji w szkole i w miejscu pracy, kiepska płaca lub brak pracy skłaniają wielu do poszukiwania życia poza granicami kraju.

To egzystencjalne zagrożenie rozciąga się na części Izraela/Palestyny. Prawie 75 lat po utworzeniu państwa Izrael liczba chrześcijan na Zachodnim Brzegu spadła z 18 proc. do mniej niż jednego procenta dzisiaj. Bojownicy islamscy są nadal głównym problemem wspólnot chrześcijańskich w Palestynie. Grupy takie jak Hamas są postrzegane jako czynniki napędzające migrację na Zachodnim Brzegu. Chociaż ogólna liczba chrześcijan w Izraelu rośnie – wzrost o 1,4 procenta w 2021 roku – ciągle ataki grup separatystycznych skłoniły przywódców Kościoła do mówienia o „systematycznej próbie wypędzania społeczności chrześcijańskiej z Jerozolimy i innych obszarów Ziemi Świętej”.

W Arabii Saudyjskiej i w innych krajach brakuje woli politycznej do zachowywania konstytucyjnych zobowiązań dotyczących wolności religijnej. Przestrzeganie prawa szariatu natomiast przewyższa ustawowe wymagania. W takich miejscach chrześcijanie stanowią niesłychaną, niewidoczną mniejszość. Niestety też nie widać nadziei na zmiany. W wielu krajach Bliskiego Wschodu nadal obowiązuje zakaz budowania kościołów, publicznego eksponowania krzyży i innych chrześcijańskich symboli oraz sprowadzania *Biblii* i innych tekstów chrześcijańskich.

**Azja**

Od zaostrzenia ograniczeń w Wietnamie po prawie całkowity zakaz w Korei Północnej państwowy autorytaryzm ogranicza – a nawet dusi – wolność wiernych do swobodnego wyznawania wiary. Rządowe próby uregulowania praktyk religijnych wierzących nie są charakterystyczne tylko dla tego regionu. Tak dzieje się w wielu krajach Azji. Władze Chin nadal nękają i próbują kontrolować chrześcijan i członków innych religii, które nie akceptują oficjalnej linii Partii Komunistycznej. Nic więc dziwnego, że w analizie Pew Forum dotyczącej restrykcji władz wobec religii Chiny osiągnęły najwyższy wskaźnik ze wszystkich państw narodowych. W Birmie po przerwie armia Aung San Suu Kyi wznowiła ataki na chrześcijan. Pomimo wcześniejszej promocji budyzmu przez juntę jako normy społecznej

kraju, teraz niszczy ona zarówno pagody, jak i kościoły, ponieważ atakuje każdego, kto jest postrzegany jako sprzeciwiający się jej zamachowi stanu w 2021 roku.

Religijny nacjonalizm odegrał również znaczącą rolę w represjonowaniu chrześcijaństwa i innych mniejszościowych grup wyznaniowych. Afganistan jest tu podawany za najwyraźniejszy przykład: talibowie narzucają społeczeństwu twardą interpretację szariatu. Malediwy również sztywno narzucają islam, nawet odmawiając obywatelstwa niemuzułmanom. W obu krajach oszacowanie populacji chrześcijańskiej jest prawie niemożliwe ze względu na ustanowienie islamu jako normy kulturowej.

W Indiach i na Sri Lance religijny nacjonalizm nie jest tak wszechogarniający, jednak prowadzi do ciągłych ataków na chrześcijan i inne mniejszości. Hindutwa i syngaleskie buddyjskie grupy nacjonalistyczne biorą na cel chrześcijan i ich miejsca kultu. Nawet policja jest zaangażowana w ten proceder, aresztując wiernych lub wstrzymując nabożeństwa kościelne. Zwycięstwa polityczne partii religijno-nacjonalistycznych – Podujana Peramuna na Sri Lance i Bharatiya Janata Party (BJP) w Indiach – wzmacniają i wspierają klimat, w którym mniejszości są traktowane jako „inne”. To „inne” odnosi się również do sytuacji w Pakistanie, gdzie chrześcijanie i członkowie innych wyznań niemuzułmańskich stają się w społeczeństwie bezbronnymi i narażonymi na zwiększone ryzyko nękania, aresztowania i przemocy, co w niektórych częściach kraju często oznacza także porwania i gwałty. Większościowe wyznanie jest promowane jako norma, co sprzyja postrzeganiu Pakistanu jako monolitycznego państwa muzułmańskiego, a to wyraźnie kontrastuje z założycielską wizją Jinnaha.

Pojawienie się COVID-19 obnażyło problemy, z jakimi borykają się chrześcijanie i inne mniejszości w Azji, np. w kwietniu 2020 roku PKWP otrzymała doniesienia, że w Pakistanie lokalny oddział Saylani Welfare International Trust zlekceważył chrześcijańskie domy podczas dystrybucji żywności dla ubogich rodzin dotkniętych pandemią w dystrykcie Korongi w Karaczi. Normą stało się nieudzielanie wsparcia niemuzułmanom tam, gdzie pomoc pochodziła z ofiar zakatu – formy religijnej jałmużny ze strony wyznawców islamu. Istnieje tradycja, że niemuzułmanie nie kwalifikują się do otrzymywania zakatu, chociaż jest to temat gorąco dyskusowany we współczesnym islamie.

Naruszenia przez państwo wolności religijnej podczas pandemii koronawirusa oscylowały od drakońskich, ale motywowanych dobrymi intencjami, aż po wyrachowane i jawne represje. Sri Lanka należała



do tej pierwszej kategorii: chrześcijanie i muzułmanie protestowali przeciwko nałożeniu przez Ministerstwo Zdrowia obowiązkowej kremacji dla każdego, kto zmarł lub był podejrzany o śmierć z powodu COVID-19 – środka znacznie przekraczającego wytyczne WHO i obrażającego tradycyjne zwyczaje pochówku. Natomiast władze Wietnamu wykorzystały koronawirus jako pretekst do działań represyjnych wobec wierzących i zrobiły kozła ofiarnego z co najmniej jednej społeczności chrześcijańskiej za rozprzestrzenianie się wirusa w Hô Chí Minh.

### Wnioski

Wskaźniki zdecydowanie pokazują, że w analizowanym okresie prześladowania chrześcijan w krajach, gdzie występowały one wcześniej, nadal się nasiliły. Religijny nacjonalizm i autorytaryzm spotęgowały trudności egzystowania wiernych. Palącym przykładem jest tu powrót do władzy talibów w Afganistanie, co skłoniło chrześcijan i inne mniejszości do podjęcia desperackiej próby ucieczki. Systematyczna przemoc i klimat kontroli sprawiły, że w krajach tak różnych, jak Korea Północna, Chiny, Indie i Birma, ucisk chrześcijan nasilił się. Jednocześnie eskalująca przemoc – często mająca na celu wypędzenie chrześcijan – sprawiła, że wierni ucierpieli z powodu jednych z najbardziej okrutnych na świecie kampanii zastraszania zorganizowanych przez wojujących bojówkarzy. Szczególnie niepokojąca w tym względzie jest Afryka, gdzie ekstremizm zagraża, wcześniej silnym, wspólnotom chrześcijańskim. W Nigerii i innych krajach ta przemoc wyraźnie przekracza próg ludobójstwa.

Pomimo że rządy zaczynają uznawać znaczenie wolności religii lub przekonań, raport o osobach prześladowanych za wiarę pokazuje, że przed nami jest jeszcze długa droga do zapewnienia wolności praktykowania kultu przez chrześcijan i wyznawców innych religii na całym świecie. Częścią problemu jest błędne wyobrażenie kulturowe na Zachodzie, który wciąż zaprzecza, że chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą wyznaniową. Wypowiadając się przeciwko tej „politycznej poprawności”, chaldejski katolicki arcybiskup

Bashar Warda z Erbilu w północnym Iraku powiedział parlamentarzystom na spotkaniu londyńskiego ForRB: „Wciąż są ludzie prześladowani z powodu swojej wiary... Tak, chrześcijanie są prześladowani!”.

JOHN PONTIFEX

JOHN NEWTON, FIONN SHINER

Tłum. PKWP ■



\* \* \*

*Gdzie jest twój kraj? W pamięci. Inni mówią – w duszy  
A inni – w sercu*

*Miejsca bardzo mało*

*Zostało*

*Trudno się ruszyć*

*Pamięć już niejasna, a dusza przyciasna*

*Dla procesyjki pytań – wciąż bez odpowiedzi*

*Dla serca – lepiej za granicą siedzieć*

*Ale i w kraju boli raczej średnio*

*Mali się zrobiliśmy – tak na dzień powszedni*

*Przeżyło się niejedno, a więc lepiej dmuchać*

*Na zimne*

*Więc dmuchamy. Na razie na sucho*

*Dla przyzwyczajenia. Bo kiedy się zmienia*

*Pogoda groźna – z wiatrem dmuchać trzeba*

*Jak się pomyłysz, ślina cię oblewa*

*Samoswoja. Niektórzy już zgrabnie ścierają*

*Co opryskało twarz. Twierdząc: To tży kraju*

*Ze szczęścia zapomnienia, duszy przygaszenia*

*I serca, co się rusza – aby dla istnienia.*

*Gdzie się twój kraj zaczyna, a gdzie już gotowy?*

*Cóż, kraina urwana w pół słowa*

ERNEST BRYLL

10 XI 2010





FOT. STEFAN BALUK / DOMENA PUBLICZNA

# 63 dni III Rzeczypospolitej

■ BOHDAN URBANKOWSKI



Czym było Powstanie Warszawskie – nieprzemyślanym zrywem czy czynem głęboko obmyślanym, uwzględniającym nawet możliwość tragedii? O co walczyli powstańcy? Za jakie wartości gotowi byli oddać życie? Czy przywódcy Powstania mieli tylko plan walki „na dziś”, czy mieli także plany dalekiego zasięgu, „na jutro” i „na pojutrze”?

Powstanie nie było obliczone na jednodzienny zryw, nikt jednak nie przewidywał, że może trwać ponad dwa miesiące. Liczono, że 3-4 dni i musi nastąpić zwycięstwo. Musi! Inny przebieg wydarzeń nie mieścił się w wyobraźni: armie Rzeszy od miesięcy były w odwrocie, wyczerpywały się rezerwy broni i amunicji, sowieckie wojska maszerowały coraz prędzej na Berlin. Możliwe były zakłócenia – jednak wynik walk wydawał się przesądzony – i rzeczywiście był. Nikt jednak nie przewidywał skali zakłóceń. Nie doszło do wykolejenia, ale jednak do zatrzymania historii.

Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, co naprawdę stało się w pierwszych dniach sierpnia 1944. Oto Rosjanie zawarli nieformalny pakt z państwem, z którym toczyli wojnę, dali czas Niemcom na zlikwidowanie polskiego powstania w pasie przyfrontowym. Działając na ich korzyść, otoczyli i rozbroili idące na odsiecz Warszawie 3.,

9., 20. i 30. Dywizje Piechoty, ich żołnierzy wywieźli na Wschód.

Jakby cofnęła się historia: dawnych zaborców pogodziła sprawa Polski. Zgoda była rzecz jasna przejściowa. Rosjanie zakładali, że Wehrmacht w parę dni zlikwiduje Polaków i historia potoczy się znowu zgodnie z ich planami. Nie przypuszczali, że wskutek bohaterstwa żołnierzy AK walki będą trwały znacznie dłużej, że Armia Czerwona nie zdąży przed zimą (i przed aliantami) zająć całych Niemiec, że sprawa Polski nie będzie tylko i wyłącznie wewnętrzną sprawą ZSRR. Nie spodziewali się także, iż Zachód – za zwiększenie i przedłużenie pomocy – nie zażąda od Rosji ustępstw na rzecz polskiego sojusznika. Oni, Rosjanie, na pewno by zażądali...

## Czy tylko bitwa? Czy tylko powstanie?

Nie do końca zdajemy sobie sprawę z tego, co różniło Powstanie Warszawskie od obrony Stalingradu, od zrywu w 1943 w Getcie, czy – w 1956 w Budapeszcie. A różnica była fundamentalna: oto na 63 dni ujawniło się Państwo Polskie, które od kilku lat nie istniało, państwo ze wszystkimi jego atrybutami – wojskiem, administracją, kulturą. Oczywiście ta 63- czy nawet 65-dniowa Rzeczypospolita nie dorównywała obszarem nie tylko I Rzeczypospolitej, ale nawet Księstwu Warszawskiemu. Była, a i to na niekorzyść, porównywalna z Rzeczypospolitą Krakowską, lecz przewyższała ją zakresem swobód.

Nazwy są sprawą umowną. Jeśli chcemy, z historycznego nawyku, używać terminu „powstanie” – musimy pamiętać, że w tym przypadku to słowo ma szerszy zakres. Oznacza wystąpienie przeciw władzy okupanta nie tylko zbrojne, ale także administracyjne, ekonomiczne, informacyjne, oświatowe, kulturowe etc. Stać się tak mogło dlatego, że na długo przed wybuchem, jeszcze w podziemiu, zostały przygotowane i wypróbowane wszystkie te struktury. To, że ta – trzecia z kolei i najmniejsza obszarem – Rzeczypospolita przez cały czas istnienia była państwem w stanie wojny i że w końcu upadła – nie przekreśla faktu, że przez 63 dni istniała, że każdy z tych dni był w jakimś sensie zwycięski, że był triumfem nad politycznym, ekonomicznym czy kulturowym niebytem Polski.

Polska przegrała kampanię wrześniową w kraju, lecz nie przegrała wojny. Kontynuowała ją w podziemiu, na emigracji i w partyzantce. Rząd na wychodźstwie kontrolował wojska walczące poza obszarem Polski, pracował nad prawnym kształtem przyszłej Rzeczypospolitej i inspirował potajemnie budowanie jej struktur. Nie zawsze musiał inspirować. Do rangi symbolu urasta misja majora Edmunda Galinata. Przebywający już w rumuńskiej niewoli marszałek Rydz-Śmigły chce przesłać do kraju rozkaz budowania podziemnej armii. Odważny do szaleństwa major porywa rumuński samolot, mimo ostrzału ląduje w obłożonej Warszawie – tu dowiaduje się,



że podziemna armia już powstaje. Służba Zwycięstwu Polski (następnie ZWZ) z Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim jako komendantem.

### Prolog dłuższy niż dramat

Reprezentacją władz okupowanej Rzeczypospolitej była działająca od 1940 roku Delegatura Rządu na Kraj. Z biegiem czasu uruchomione zostały jej departamenty będące odpowiednikami ministerstw, delegat otrzymał rangę wicepremiera. Pierwszym delegatem był Cyryl Ratajski, podczas Powstania funkcje tę spełniał Jan Stanisław Jankowski – były legionista, potem założyciel i prezes Narodowej Partii Robotniczej; poseł, minister w dwóch rządach Witosa (1921, 1926).

Jednym z najważniejszych organów Delegatury był Departament Informacji i Prasy – zwalczał propagandę okupanta, podtrzymywał wiarę w zwycięstwo. Departament wydawał „Rzeczpospolitą Polską” – centralny organ Delegatury Rządu.

Równie istotną, może bardziej nastawioną na przyszłość pracę wykonywał Departament Oświaty i Kultury, który wydawał pismo „Oświata i Kultura”. W departamencie tym przygotowywano m.in. regulacje prawne na „po wojnie” zapewniające szeroki dostęp do nauki i dóbr kultury – zwłaszcza mieszkańcom wsi. Z departamentem współpracowali m.in. Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Lorentz. Departament Pracy i Opieki Społecznej (którym początkowo kierował Jan S. Jankowski), przygotowywał reformy prawa pracy, przepisy dotyczące zatrudnienia i darmowej opieki dla uboższych. Departament Odbudowy i Robót Publicznych kierowany przez prof. Stefana Bryłę – inżyniera, światowej sławy wynalazcę, profesora podziemnej politechniki – przygotowywał plany na bliższą i dalszą przyszłość. Pomysłem profesora był projekt podziemnej łączności z wykorzystaniem kanałów i piwnic, w kilku miejscach przebijano już podziemne ściany. (Myślę, że wolno mi wspomnieć, iż jednym z jego okupacyjnych asystentów był mój ojciec.) Pomysły profesora sprawdziły się już w czasie walk w Getcie.

W jeszcze dalszej przyszłości pracował w Departamencie Skarbu, który przygotował projekt budżetu „na pierwszy rok po wojnie”!

Organami Delegatury były także: Państwowy Korpus Bezpieczeństwa (konspiracyjna policja) oraz Straż Samorządowa – podziemna policja terytorialna. Na początku 1944 roku stworzono Komisję Badania i Rejestracji Zbrodni Okupanta w Polsce (kryptonim „Niezapominajka”). W terenie funkcjonowały również podległe Delegaturze Cywilne Sądy Specjalne, które



karęły zdradę, szpiegostwo i donosicielstwo. Miały prawo wydawania wyroków śmierci, orzekały również infamię, a nawet karę chłosty. Jednym z pierwszych był wyrok na Igo Syma – aktora i agenta Gestapo. Wykonawca wyroku, ppor. Roman Rozmiłowski, zginie potem w czasie Powstania – śmierci te będą podobne tylko biologicznie.

Jeśli chodzi o pracę dla Warszawy, to ich koordynatorem był Okręgowy Delegat Rządu Marceł Porowski „Sowa”. Przedwojenny samorządowiec, kierownik biura Związku Miast Polskich i redaktor pisma tego związku – „Samorządu Miejskiego”. Oficjalnie był zatrudniony jako rzeczoznawca w Magistracie. Do jego osoby i prac jeszcze wrócimy. Przed wybuchem Powstania „personel” Delegatury liczył 15 tys. osób.

Równoległe do prac Delegatury prowadziły działalność zorganizowane przez Komendę Główną ZWZ/AK Biura Wojskowej Administracji Zmilitaryzowanej. Jej szefostwo, ukryte pod kryptonimem „Teczka”, znajdowało się w rękach Ludwika Muzyczki „Benedykta”. Major, potem już podpułkownik „Benedykt” – to jeden z najmłodszych legionistów, żołnierz 1920, działacz PPS.

W 1941 funkcjonowały już Biura: Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Finansów i Skarbowości, Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia, Rolnictwa, Aprowizacji, Komunikacji, Telekomunikacji, Przemysłu i Handlu. Później dodano jeszcze Biuro Służby Technicznej, które przygotowywało reformę rolną i nacjonalizację przemysłu. Dublowały one prace Delegatury, dlatego w 1943 struktury te zostały połączone. Aparat „Teczki” liczył około 10 tys. ludzi.

„Teczka” też prowadziła prace „przyszłościowe”. Na przykład kierowany przez wspomnianego już prof. Stefana Bryłę (działającego równoległe w strukturach

„Teczki”) Departament Odbudowy i Robót Publicznych opracowywał m.in. 10-letni plan odbudowy kraju – odbudowy i przebudowy miast, modernizacji wsi etc. Prace te, finansowane przez państwo jako roboty publiczne, miały jednocześnie zapobiec bezrobociu, które groziło przyszłej Polsce po demobilizacji sił zbrojnych. W tym samym Departamencie grupa architektów przygotowywała plany odbudowy Warszawy – plany te rzeczywiście będą wykorzystane po wojnie.

Profesor Bryła nie doczekał ich realizacji – został rozstrzelany w grudniu 1943 roku w ulicznej egzekucji za działalność w tajnym nauczaniu.

Jan Stanisław Jankowski został po „wyzwoleniu” porwany do Moskwy, skazany w „procesie szesnastu” na 8 lat, co zresztą nie było ważne. I tak został zamordowany – podobnie jak ostatni dowódca AK, gen. Leopold Okulicki, który otrzymał wyrok 10. lat, a został rozstrzelany w Wigilię 1946 roku.

### Prace i wizje

Projekty nadsyłane z Londynu znajdowały swe uzupełnienie w inicjatywach „oddolnych”, samorządowych, czasem partyjnych. Ta dwupoziomowość będzie jednym z czynników, dzięki którym ośrodek władzy zacznie się w 1944 roku przesuwać do kraju. Formalnym tego wyrazem będzie przekształcenie Krajowej Reprezentacji Politycznej w Radę Jedności Narodowej – namiastkę Sejmu. Pierwszym przewodniczącym Rady został lider PPS-WRN (Wolność, Równość, Niepodległość) Kazimierz Pużak – dawny bojowiec Piłsudskiego (w nawiasie przypomnijmy, że KRP była kontynuacją Politycznego Komitetu Porozumiewawczego, który powstał w 1940 przy Komendzie ZWZ).

15 marca 1940 Rada Jedności Narodowej ogłosiła deklarację *O co walczy naród polski?* przedstawiającą program przebudowy społeczno-gospodarczej. W pewnym sensie była to odpowiedź na odezwę PPR *O co walczymy*. Przesuwanie ośrodka władzy do kraju wynikało w dużym stopniu z konieczności stworzenia przeciwwagi dla targowickich władz tworzonych przez PKWN i samozwańczą Krajową Radę Narodową.

Programy partii wchodzących w skład RJN siłą rzeczy musiały być różne – w paru punktach jednak były zgodne: że wszystkie siły podziemia walczą o Polskę demokratyczną, której władza wyłaniana będzie w pięcioprzymiotnikowych wyborach, że przyszłe państwo winno być opiekuńcze względem mniejszości i warstw słabszych ekonomicznie – dlatego już w 1942 roku powstała Rada Pomocy Żydom.

Ciąg dalszy na s. 8 ▶



► **Ciąg dalszy ze s. 7**

Ugrupowania chrześcijańskie mocniej akcentowały prymat etyki nad polityką, ugrupowania socjalistyczne widziały gwarancję sprawiedliwości w silnym państwie opiekuńczym. Jedne i drugie zgadzały się więc na nacjonalizację – państwo miało przejąć bankowość i kluczowe gałęzie przemysłu (zbrojenia, kopalnie, huty, elektrownie, komunikację); projektowano przekazanie dużych zakładów spółdzielniom i samorządom gospodarczym, pojawił się też pomysł, by Senat był izbą wyższą samorządów. Własność prywatna zostałaby zachowana w drobnym przemyśle, rzemiośle i handlu.

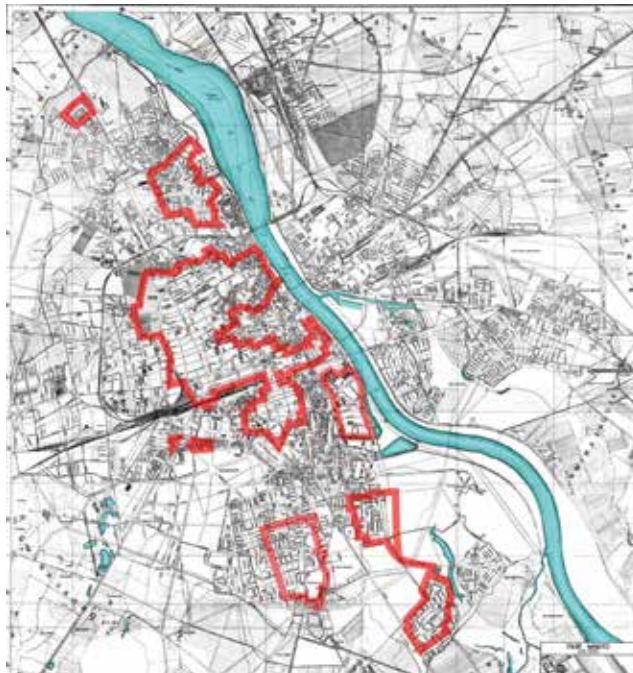
W marcowej deklaracji zapowiadano również reformę rolną: postulowano wywłaszczenie wielkiej własności (powyżej 50 hektarów) i oparcie gospodarki na silnych gospodarstwach typu farmerskiego od 5. do 25. (ludowcy), a nawet do 40. (narodowcy) hektarów. Gospodarka miała zostać poddana planowaniu, którego celem byłaby odbudowa kraju, rozwój przemysłu i pełne zatrudnienie, a także wyrównanie dysproporcji społecznych. Wiele z tych pomysłów przechwyca potem władze komunistyczne.

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną – zakładano, że powinien powstać jakiś środkowo-europejski organizm polityczny jednoczący kraje Międzymorza lub co najmniej Polskę z Czechosłowacją (układ o konfederacji podpisali Sikorski z Beneszem w roku 1942) – co hamowałoby imperialne zakusy ZSRR. Zgadzano się też co do tego, że Polska powinna uzyskać Prusy i Ziemię Zachodnie aż po Odrę i Nysę. Program ten uzasadniano racjami historycznymi, podkreślano polskość Ślązaków i Mazurów, rozważano przyłączenie Łużyc. Te przesunięcia nie były traktowane jako „rekompensata” za utracone Kresy, bo żadna z partii do lata 1944 z możliwością utraty Kresów się nie liczyła. Zakładano natomiast możliwość odłączenia się Ukrainy od ZSRR, co było nadmiernym idealizmem. Tego, iż z trzech „stolic” Rzeczypospolitej – Warszawy, Wilna i Lwowa dwie zostaną od niej odcięte, nie przewidywał nikt. Wszystkie programy przyszłościowe przed Powstaniem stały na gruncie trwałości granicy ryskiej. Wierzono w możliwość poprawnych stosunków z Rosją, braterstwa i przyjaźni z Europą.

Gdy doszło do sierpniowej walki o Polskę – walczono nie tylko o zdobycie paru ulic w Warszawie, walczono o konkretną Polskę i za możliwość jej ucieleśnienia płacono życiem.

**Państwo Polski walczącej. Fundamenty**

Od początku obserwujemy dwutorowość prac nad budową Polski. Siłą rzeczy kontrolę terenu musi sprawować wojsko, spon-



Tereny opanowane przez powstańców 4 sierpnia 1944 r. (maksymalny zasięg terytorialny Powstania Warszawskiego) FOT. CC BY-SA 3.0

tanicznie powstają jednak liczne komitety „blokowe” i „obywatelskie”. Uporządkowaniem tych spraw zajął się Marceł Porowski, mianowany 5 sierpnia prezydentem miasta. Trzydziestym pierwszym w dziejach. Jego wysiłek można porównać do prac Romualda Traugutta. W pierwszych odezwach wzywał ludność do udzielania pomocy ofiarom bombardowań i do przyjmowania pod dach uciekinierów, a także do prowadzenia wspólnych kuchni, gaszenia pożarów, ratowania ludzi spod gruzów i do grzebania poległych. Gdy brakło ochotników, żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa zyskali prawo, by organizować brygady przymusowe. Sytuacje te nie były jednak częste. Zdarzały się natomiast dramaty. Na przykład podczas kilkudniowej akcji przy rogu ulic Złotej i Sosnowej – ludzie wykopani spod gruzów umierali po wyciągnięciu na powierzchnię.

8 sierpnia został uruchomiony Ośrodek Opieki Społecznej i Zdrowia, potem powstał Inspektorat Propagandy, a w końcu sierpnia – Komitet Opieki nad Dziełami Kultury i Sztuki. Polskie Państwo Walczące uruchamiało nawet takie struktury! Sankcjonując spontaniczne inicjatywy, Porowski powołał formalnie Domy i Obwodowe Komitety Samopomocy (zwane „komitetami domowymi”); wykorzystał też powołane jeszcze w 1939 struktury OPL. Dziesięć, a czasem więcej komitetów domowych składało się na blok, bloki zaś – na odcinek. Komendant odcinka był na codziennych odprawach w Rejonowej Delegaturze Rządu przy ulicy Kruczej. Jako godną podziwu ciekawostkę odnotować należy demokratyczne powoływanie tych wszystkich komitetów. W „Dzienniku Obwieszczeń Rejonowego Delegata

Rządu Warszawa-Południe” (nr 7 z 6 września 1944) czytamy: „Wybory przeprowadzone mają być w sposób ściśle demokratyczny, poprzez głosowanie tajne, kartkami, przy czym każdy mieszkaniec domu ma prawo zgłaszania kandydatów”. Bomby w końcu powybuchają, a demokracja pozostanie.

Prezydentowi Porowskiemu należy się pomnik – zwłaszcza że Polska Ludowa nie chciała go docenić. W 1951 roku za to, co robił (i to w ramach państwa AK), został aresztowany i w lutym 1953 skazany na karę śmierci. Ocalała go chy-

ba śmierć Stalina – tak przynajmniej uważał. W 1956 został zwolniony, zmarł kilka lat później w zapomnieniu.

Ludwik Muzyczka był dwukrotnie więziony – w latach 1947-1948 i 1950-1954.

**Gospodarka. Żywność**

Dowództwo dysponowało zapasami żywności na 3 dni walk – konserwy, tłuszcze, mąka, jarzyny. Jest to kolejny dowód, iż liczono na szybki sukces Powstania, brano też pod uwagę możliwości zdobycia żywności w niemieckich magazynach. To się po części sprawdziło: zdobyto magazyny browaru Haberbusch i Schiele, gdzie zgromadzone były duże zapasy jęczmienia. Gotowano z nich „pluj-zupę” dla walczących, a także dla ludności. Podobno też to jadłem – na szczęście nie pamiętam.

Oryginalnym pomysłem Warszawy było wykorzystanie produktów hodowanych w ogródkach działkowych, zbierano wszystko, co jadalne, zwłaszcza owoce i pomidory. Niezwykle popularne zrobiły się też przepisy na robienie przeróżnych cudów z kartofli – łącznie z wódką. Projektowane dopiero uprawy nie zdążyły już przynieść plonów.

Przy okazji trzeba też wspomnieć o akcji kopania studni – gdy 14 sierpnia zostały unieruchomione wodociągi. Z planowanych 100 studni oddano do użytku ponad 50, w celu uchronienia przed ostrzałem (niemieccy snajperzy polowali na ludzi stojących po wodę) – studnie zaczęto kopać w piwnicach.

Sprawdziły się również kuchnie polowe – dzięki nim udało się zapobiec głodowaniu ludności, zwłaszcza uciekinierów z innych dzielnic. Kuchni było około pół tysiąca, w samym Śródmieściu-Południe w dwustu



kuchniach wydawano codziennie ponad 22 tys. obiadów. Dla wielu był to jedyny posiłek w ciągu dnia.

Kłopoty powstańców z aprowizacją wykorzystywali Niemcy. Zdarzały się przypadki, że wycofywali się z jakichś pozycji, zostawiając pożywienie – zatrute. Ostrzegala przed tym „Rzeczpospolita” z 14 września.

### Ochrona zdrowia

Przygotowując się do walki, służby medyczne przygotowały: 14 zestawów narzędzi chirurgicznych, 800 toreb sanitarnych, 700 noszy, 60 tys. opatrunków osobistych. To też dowodzi optymistycznej oceny szans Powstania. W czasie walk zorganizowano 6 dużych i 12 mniejszych szpitali, które miały oddziały chirurgiczne, wewnętrzne i zakaźne, uruchomiono punkty krwiodawstwa. 25 sierpnia w szkole przy Drewnianej otworzono „kapielisko z desynsekcją”. Dużą pomoc uzyskiwano od ludności cywilnej, dzięki czemu udało się uniknąć epidemii, choć odnotowano liczne przypadki czerwonki, zwłaszcza pod koniec walk, gdy zaczęło brakować wszystkiego (groźba epidemii i głodu wpłynęła na decyzję o kapitulacji Starego Miasta).

Wbrew publicystycznym legendom ani zrzuć alianckie, ani sowieckie nie przyczyniły się do polepszenia sytuacji – ani w wyżywieniu, ani leczeniu, ani w uzbrojeniu. Alianci, startujący z lotnisk we Włoszech, zrzucili łącznie 443 tony „pomocy” – większość zasobników przejęli Niemcy. W niektórych zrzutach znalazły się niewielkie pojemniki z krwią. Ofiarowali ją Polacy z Edynburga.

Sowieci dopiero 14 września zrobili kilka propagandowych nalotów nad Warszawę, zrzucili około 50 ton „pomocy”. Ponieważ dosłownie „zrzucili”, nie stosując spadochronów – prawie cała ich pomoc uległa zniszczeniu. Dla porównania: Jugosłowianie otrzymali w formie zrzutów – 76 117, Francuzi – 10 485, Grecy – 5 796 ton pomocy.

Mimo złej sytuacji aprowizacyjnej Państwowy Korpus Bezpieczeństwa (policja podziemnego państwa) dość rzadko musiał walczyć z rabusiami. Niemniej za pospolite przestępstwa sądy wydały kilka wyroków śmierci. Jeden otrzymał por. „Reckman”, który wymuszał żywność za pomocą sfalszowanych kwitów rekwizycyjnych. Podobny wyrok otrzymał oficer, który skonfiskował wódkę i urządził libację. Skoro już mowa o wyrokach – były one podawane do wiadomości w „Biuletynie Informacyjnym”. Stąd na przykład wiadomo, że Wojskowy Sąd Specjalny skazał na karę śmierci Ignacego Bachurskiego – za szpiegostwo na rzecz Niemiec i to od 1920 roku, Zygmunta Kosińskiego za dezercję z posterunku 8 sierpnia, a czterech innych akowców za przywłaszczenie sobie depozytów osób zatrzymanych.



Marcelemu Porowski (1894-1963) FOT. MPW

Między antypolskie plotki włożyć należy (rozpowszechniane m.in. przez „Gazetę Wyborczą”) opowieści o mordowaniu Żydów przez AK gdzieś na Woli czy na Długiej. Wola była już w rękach Niemców, na Długiej pod podanymi adresami mieściły się sztab i szpital.

Stosunek AK do Żydów był bardziej niż poprawny. 5 sierpnia żołnierze batalionu „Zośka” zaatakowali obóz „Gęsiówka” – co nie miało celu wojskowego, a tylko humanitarny. Uwolniono 383. więźniów, w tym 348. Żydów. Wielu z nich potem wstąpiło w szeregi AK, kilku zginęło w walkach, m.in. Henryk Lederman, Dawid Goldman, Henryk Poznański, a także doktor Sołtan Safijew (Żyd rodem z Turcji), który został lekarzem batalionu „Parasol”.

### „Przemysł” III RP

Już w pierwszych dniach walk Delegatura wezwała właścicieli sklepów spożywczych i artykułów pierwszej potrzeby do ich otwarcia. Początkowo większość była otwarta – tyle że, dla ostrożności, od tyłu. I podbijały czasem nieprzyzwoicie ceny żywności – co



Tablica na Pałacu Jabłonowskich w Warszawie

FOT. ADRIAN GRZYCUK / CC BY-SA 3.0

spowodowało kilkakrotnie interwencję władz. Przez czas Powstania działały małe zakłady, zwłaszcza naprawcze, potrzebni byli krawcy, szewcy itp. Jeden z nich ogłosił w powstańczej prasie, że akowcom naprawia buty za darmo. Wkrótce dołączyli następni, o ich akcji doniosła „Rzeczpospolita” 25 sierpnia.

Specyficzną i najważniejszą gałęzią powstańczej gospodarki był chałupniczy przemysł zbrojeniowy. Na bazie Chevroleta został wyprodukowany samochód pancerny „Kubuś” (z wejściem od spodu), który był używany w walkach na Powiślu, był to jednak wyjątek. Warunki pozwalały najwyżej na produkcję broni lekkiej – udanym wynalazkiem były pistolety maszynowe „Błyskawica”, które już od 1943 produkowano w różnych miejscach, a składano w schronie przy Grzybowskiej. Dzięki składanej kolbie dały się ukryć pod płaszczem, skuteczność ognia wynosiła 180 m, pojemność magazynka – 32 naboje. Do lipca 1944 zgromadzono około 700 „Błyskawic”, niestety większość przekazano oddziałom leśnym. Drugim światowej klasy ewenementem były granatniki i moździerz produkowane z odpowiednio przycinanych rur wodociagowych i kanalizacyjnych. „Ojcem” tej broni był inż. Mieczysław Łopuski. Wyprodukowano co najmniej 27 sztuk tej broni, kilku użyto w walkach o PAST-ę. Pociski wypełniano gwoździem, nakrętkami i materiałem wybuchowym, którego ważnym źródłem okazały się niemieckie niewypały. Wyprodukowano także kilkadziesiąt tysięcy granatów, które w warunkach walk miejskich były bronią niezwykle groźną. Polską odmianą granatów były popularne butelki zapalające. Aby zwiększyć ich zasięg, konstruowano przeróżne wyrzutnie, rodzaje proc, do których wykorzystywano sprężyny, gumy. W walkach użyto także kilkudziesięciu miotaczy ognia, do których konstrukcji wykorzystywano ogrodowe węże. W porównaniu z uzbrojeniem Niemców wyglądało to słabo, trzeba jednak pamiętać, iż walczono w mieście, na bliskie odległości, często twarzą w twarz.

### Łączność. Informacja. Kultura

Od pierwszych chwil powstania harcerze z Szarych Szeregów uruchomili Poczta Polową z siedzibą w gmachu Poczty Głównej przy placu Napoleona, 2 sierpnia w drukarni przy ul. Szpitalnej wydrukowano pierwsze znaczki – nakład 13 tysięcy. Serie siedmiu znaczków z napisem Poczta Polowa AK zaprojektowali Stanisław Tomaszewski i Marian Sigmunt. Początkowo przeważały jednak znaczki niemieckie z nadrukiem poczty polowej. W pierwszym miesiącu walk harcerze przemieśli ponad 116 tys. listów, potem zasięg poczty zmalał do obszaru Śródmieścia.

ciąg dalszy na s. 10 ▶



► Ciąg dalszy ze s. 9

Od początku Powstania działały radio-stacje AK, w tym słynna „Błyskawica”, która nadawała kilka audycji dziennie. Utrzymywano także łączność z Londynem i z bazą w południowych Włoszech, niektóre programy emitowano także w języku angielskim i niemieckim.

Wydawano ponad 130 czasopism. Przy Komendzie Głównej AK działało Biuro Informacji i Propagandy (BIP), które wydawało przywoływany już kilkakrotnie „Biuletyn Informacyjny”, Delegatura Rządu wydawała „Rzeczpospolitą”. Ostatni (68) numer „Biuletynu Informacyjnego” wyszedł 4 października. „Rzeczpospolita” – 5 października, co może pozwalałoby przesunąć datowanie powstania do 65. dni.

Na Żoliborzu wychodziło piśmisko dla dzieci – „Jawutka” (red. Andrzej Nowicki), które zmieniło tytuł na „Dziennik Dziecięcy”, ewenementem było piśmisko redagowane przez harcerzy – „Dzieci Mokotowa”.

Przy Wydziale Propagandy Mobilizacyjnej („Rój”) działał Referat Fotograficzny, który dokumentował przebieg walk, szefem był Antoni Bohdziewicz ps. „Wiktor”. Jeszcze przed wybuchem Powstania „zorganizowano” trzy kamery, dzięki którym udało się nakręcić trzy kroniki zatytułowane Warszawa walczy. Sfilmowane zostało m.in. zdobycie PAST-y przez żołnierzy Batalionu „Kiliński”. Pokazy kronik, a okazyjnie i innych filmów rozpoczęto 15 sierpnia w kinie „Palladium”.

Doceniając rolę opinii, władze Powstania powołały urząd inspektora propagandy, którym został poeta i polityk chrześcijański Jerzy Braun. Urząd zajmował się badaniem nastrojów społeczeństwa, kierował propagandą prowadzoną przy użyciu hasel i plakatów („Każdy pocisk – jeden Niemiec”; „Walka z ogniem to akcja bojowa”), a także – co okazało się niezwykle ważne – „propagandą szeptaną”.

W dziesiątkach koncertów zarówno dla żołnierzy, jak i ludności cywilnej brali udział znani artyści scen warszawskich, m.in. Mira Zimińska i Mieczysław Fogg.

11 sierpnia w Konserwatorium przy ul. Okólnik odbył się koncert pieśni i utworów zakazanych przez Niemców.

W kulturze Powstania widać formowanie się dwóch nurtów *sacrum* – patriotycznego i religijnego, które zlewają się w jeden. W niedzielę 6 sierpnia odbyła się Msza w kościele na Długiej, po niej – wojskowa defilada. Akademia z okazji 15 sierpnia w podwórku na zapleczu Marszałkowskiej łączy elementy religijne z militarnymi.

Wzrost religijności miał charakter spontaniczny, już 10 sierpnia „Biuletyn Informacyjny” donosił: „Nie ma dziś prawie domu w Warszawie bez urządzonych przez



mieszkańców ołtarza”. Częstym zjawiskiem były śluby, a nawet chrzciny pod ostrzałem nieprzyjaciela. Trzeba też zacytować rozkaz nr 21 Generała „Montera” (Antoniego Chruściela, dowódcy obrony Starówki, następnie zastępcy gen. Komorowskiego) opublikowany w związku ze zbliżającą się uroczystością Matki Bożej Jasnogórskiej – 26 sierpnia. Rozkaz nakazywał odczytać we wszystkich oddziałach głęboko religijny i patriotyczny zarazem *Apel do Żołnierzy*, dołączyć do wieczornych modlitw odmawianie *Pod Twoją obronę* i trzykrotne wezwanie: „Królowo Korony Polskiej, módl się za nami”. Rozkaz nakazywał też „Udostępnić jeszcze bardziej niż dotychczas przystępowanie do sakramentów spowiedzi i Komunii św.”. Uczestnictwo w walce otrzymało rangę najwyższą, sakralną. W 2. niedzielę powstania podczas Mszy o godzinie 8.00 rano w kaplicy przy Barokowej o. Paweł w homilii wygłoszonej do oficerów, odwołując się do niemieckiej broszury *Hitler gegen Christus*, przedstawił walkę powstańców jako uczestnictwo w walce najważniejszej. Padły wówczas pytania i odpowiedzi zaskakujące, straszne – lecz nie pozbawione nadziei: „Czy dla was nie jest to oczywiste? Sprawa

nasza, sprawą Boga! A przeciw nam zastępy Antychrysta! Dlatego walka ta nie może być przegrana. Bóg przegrać żadnej walki nigdy i z nikim nie może. Choćby nam trzeba było w grobie się położyć, tak jak Zwycięzcy na Golgocie. Choćby mieli kamień przywalić grobowy na ojczyznę naszą, tak jak uczynili Temu, który Boga dał ludzkości”...

### Dziesięcioro Przykazań Żołnierza

Wykładnikiem poziomu moralnego powstania były także przekazywane z rąk do rąk modlitwy, wiersze, przykazania. Świadczyły o uwewnętrznieniu wartości przypominanych z kazalnicy. Modlitwy te miały wiele wariantów. Popularne *Dziesięcioro Przykazań Żołnierza Polskiego* krążyło w kilku wariantach – jako tekst anonimowy. Wersję podstawową, nadesłaną z emigracji (autorem był poeta i sztabowiec gen. Sikorskiego – Jan Bogusławski) opublikował dopiero w latach 90. Związek Powstańców w Bydgoszczy:

*Dziesięcioro Przykazań Żołnierza Polskiego:*

Tyś jest żołnierz polski, którego Bóg uratował z toni, abyś nadal walczył za Ojczyznę.

1. Nie będziesz miał innych celów na ziemi, dopóki kraj wolności nie odzyska.
2. Wiedz, iż walcząc za Polskę, walczysz za wolność całej ludzkości.
3. Pamiętaj, że walka o wolność jest walką o wiarę i Boga.
4. Czcij Wodza Twego i słuchaj jego rozkazów.
5. Walcz niezłomnie i pomnij, że nie tyś napastnikiem.
6. Strzeż godności twych obyczajów, abyś nie splamił polskiego munduru.
7. Nie pokalaj się rabunkiem.
8. Bądź wierny przysiędze i prawdzie twego żołnierskiego sumienia.
9. Bądź dobrym towarzyszem broni dla sprzymierzeńców, którzy wraz z tobą za jedną sprawę walczą.
10. Pomnij, że walkę prowadzić trzeba do zwycięskiego końca.

*Niech Bóg doda ci sił w walce i błogosławi broń twoją, która jest bronią sprawiedliwego.*

Niezwykle popularna była także *Modlitwa „Bonawentury”*:

*Od wojny, nędzy i od głodu  
Sponiewieranej krwi narodu  
Od lez wylanych obłąkanie  
Uchron nas Panie!*

[...]

*Od bomb, granatów i pożogi  
I gorszej jeszcze w sercu trwogi  
Od trwogi strasznej jak konanie  
Uchron nas Panie!*

*Od rezygnacji w dobie klęski  
Lecz i od pychy w dzień zwycięski*



*Od krzywd, lecz i od zemsty za nie  
Uchroń nas Panie!*

*Uchroń od zła i nienawiści  
Niechaj się odwet nasz nie ziszczy  
Na przebaczenie im przeczyste  
Wlej w nas moc, Chryste.*

Tytuł nie był jasny dla samych powstańców, sądzono, że utwór powstał na gorąco w pierwszych dniach Powstania, kojarzące się ze świętością imię „Bonawentura” interpretowane był na wiele fantastycznych sposobów. Tymczasem wiersz powstał jeszcze w czerwcu 1942 roku, autorem wiersza był 17-letni wówczas Jan, a właściwie Janek Romocki, którego pseudonim „Bonawentura” wziął się od drugiego imienia. Janek był młodszym bratem legendarnego „Morro” – Andrzeja Romockiego, najmłodszego kapitana AK (rocznik 1923), odznaczonego dwukrotnie Krzyżem Walecznych i raz Virtuti Militari, wślawionego brawurowym przeprowadzeniem swego oddziału ze Starówki do Śródmieścia.

Janek Romocki przed Powstaniem brał udział w akcji odbijania więźniów i uczestniczył w wysadzaniu mostu na Wisłoku. W Powstaniu odznaczony został Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari za walki na Woli. Ranny 12 sierpnia w natarciu na Stawki został przeniesiony do szpitala. Zginął podczas bombardowania szpitala 18 sierpnia. Andrzej przeżył go o niecały miesiąc. Zginął 15 września na Czerniakowie, prawdopodobnie od kuli lądujących berlingowców.

### Zwycięzcy nadpowietrznej walki

„Kordyan świadczy, że jestem rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy” – pisał o sobie Słowacki w odpowiedzi na list Krasińskiego. To samo mogliby powiedzieć o sobie poeci, którzy padli w Powstaniu: Baczyński, Gajcy, Stroiński, Romocki, Szczepański, to samo mogli o sobie powiedzieć kapelani AK, to samo – zwykli żołnierze. Walczyli o Polskę materialną, ale i o tę „nadpowietrzną”, swoją walką powoływali do istnienia Polskę polityczną, moralną, religijną – ich śmierć przekonywała, że są to wartości cenniejsze niż życie biologiczne, że mimo jego zniszczenia – mają moc trwania. Może to straszne stwierdzenie – ale gdyby oni wszyscy przetrwali w dobrym zdrowiu – wartości te by obumarły. Nie żyłyby partyzantów antysowieckiego powstania, buntowników Poznańskiego Czerwca i „Solidarności”. Idealne wartości najlepiej żywią się ludzką krwią. Bardziej ich potwierdzić nie można.

Powstanie zakończyło się klęską ludzi i ruiną miasta. Poległo ponad 17 tys. powstańców, 25 tys. zostało rannych. Zginęło również ponad 3 tys. żołnierzy z Dywizji

Kościuszkowskiej. Straty wśród ludności cywilnej wynosiły około 150-200 tys. zabitych. Po kapitulacji pozostałych mieszkańców Warszawy, około 500-600 tys., wypędzono z miasta, część została wysłana na roboty, część – do Auschwitz i innych obozów. Dokładne cyfry nie są znane. Wbrew umowie kapitulacyjnej Niemcy zniszczyli ponad jedną trzecią ocalałej zabudowy miasta. Niszczycieli z premedytacją zabytki, palili biblioteki i archiwa. Wywozili maszyny, meble, futra, przewody telefoniczne, krawężniki i płyty chodnikowe, wyrwali szyny, zrywali przewody elektryczne i telefoniczne. Wyszadzili w powietrze Zamek Królewski, katedrę św. Jana, pałace Saski i Brühla. Palili dom po domu.

wejście drugiego zaborcy, oznaczał aresztowania elit i wywózki na Sybir – przy obłudnym milczeniu Zachodu. Jak w Wilnie i we Lwowie. Walka i tylko ona wniosła szanse na jakąkolwiek zmianę sytuacji, na międzynarodowe sprawy polskiej.

Nie wolno też zapominać, że walka o niepodległość nie toczy się jedynie na froncie militarnym, człowiek jest nie tylko zwierzęciem walczącym. Śmierć biologiczna i tak jest nieunikniona, ważny jest czas przed nią, jakość życia. Klęska biologiczna może być jednocześnie zwycięstwem w dziedzinie najbardziej ludzkiej – w sferze etyki, kultury, w świecie wartości. Dzięki biologii jesteśmy zwierzętami, dzięki wartościom – ludźmi. Polakami.

**” Powstańcy swoją walką powoływali do istnienia Polskę polityczną, moralną, religijną – ich śmierć przekonywała, że są wartości cenniejsze niż życie biologiczne.**

Bohdan Urbankowski

Taka klęska nie dotknęła żadnej innej stolicy w Europie od czasu najazdu Hunów na Rzym. Porównanie uwyraźnia fakt, iż wiek XX to także czas walki z barbarzyństwem – na szczęście zakończony klęską barbarzyńców.

**A**bstractyjny, ilustrowany cyframi sposób ujęcia problemu rozważanego dotąd w kategoriach emocjonalnych nie oznacza zmniejszenia szacunku dla bohaterstwa żołnierzy i poświęcenia cywilów, nie umniejsza bólu po stracie genialnych poetów, podziwu dla odwagi harcerzy, sanitariuszek, księży. Nie oznacza potępienia decyzji o wybuchu Powstania. Z tej historycznej pułapki nie było dobrego wyjścia. Brak walki i tak oznaczał

Słowo „Powstanie” – pisane z najwyższym szacunkiem – narzucało się samo. Był to zryw zbrojny w imię niepodległości, wymierzony przeciw obcym najeźdźcom i rodzimym kolaborantom – jak powstanie listopadowe czy styczniowe. Liczebnością, skalą strat i bohaterstwa najbardziej przypominało to ostatnie. Jednak w zbiorowej pamięci nie zaistniało. A jeśli już – to jako okres walk władzy ludowej (!) z „bandami”. Mówię o powstaniu antysowieckim. Od tamtych – uznanych – powstań różniło się ono tym, że jego żołnierze zostali zabici niejako dwa razy: po raz pierwszy – dosłownie – przez wrogów, po raz drugi – symbolicznie – przez rodaków.

BOHDAN URBANKOWSKI ■





# Niemcy nie wiedzą, że zrujnowali Polskę

## Analiza materiałów edukacyjnych w Niemczech

**N**iemcy nie wiedzą, że zrujnowali Polskę; nie chcą wiedzieć, że utopili nasz kraj we krwi; systemowo odzyskują realną odpowiedzialność za zbrodnie i blokują dążenia do upowszechnienia prawdy o okupacji Polski w latach 1939-1945.

Ogromniszyszczeń, miliony pomordowanych, zlikwidowanie struktur państwa i elit narodu – te fakty, pojęcia i obrazy w odniesieniu do Polaków w ogóle nad Łabą nie funkcjonują. Okupacja Polski jest tam jednym z wielu, raczej mniej niż bardziej istotnych epizodów II wojny światowej. Ta zaś – niedobrym elementem niemieckiej historii, za który odpowiedzialność ponoszą „naziści” i który przyniósł wiele cierpienia samym Niemcom.

Brak elementarnej wiedzy i wrażliwości historycznej wobec wydarzeń lat 1939-1945 w Polsce jest dzisiaj potwierdzany przez oscylującą od obojętności przez pogardę po wściekłość reakcją Niemców na zgłoszone przez nasze państwo żądanie wypłacenia odszkodowań i zadośćuczynienia za zrujnowanie kraju w czasie okupacji.

– Temat reparacji pojawił się w naszych mediach. Teraz widz serwisów informacyjnych zada sobie pytanie: „Niemcy mają płacić Polsce odszkodowanie – a za co konkretnie?” – zauważa w niedawnym wywiadzie Jochen Böhrer, kierownik Katedry Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Friedricha Schillera w Jenie. – Jestem pewien, że przeciętny Niemiec zapytany na ulicy o to, co wie o niemieckiej okupacji w Polsce, nie będzie w stanie nic powiedzieć [...]. Świadomość tego, iż Niemcy zabili co piątego obywatela RP, nie istnieje – dodaje Böhrer.

Indywidualne spostrzeżenia są uogólniane w wynikach badań opinii publicznej. Dla przykładu, z badania Instytutu Interdyscyplinarnych Badań nad Konfliktami i Przemocą Uniwersytetu Bielefeld wynika, że 69,8 proc. Niemców jest przekonanych, iż ich przodkowie nie byli sprawcami II wojny światowej. Prawie 36 proc. respondentów uważa, że Niemcy byli ofiarami nazistów, a 28,7 proc. twierdzi, iż w III Rzeszy ich przodkowie „pomagali potencjalnym ofiarom nazizmu”.

W podobnym badaniu z 2021 roku 81,4 proc. respondentów stwierdziło, że ich przodkowie nie korzystali na pracy



**69,8% Niemców jest przekonanych, że w okresie narodowego socjalizmu ich przodkowie nie znaleźli się „wśród sprawców”;**  
**jednocześnie 35,9% snuje rojenia, że w czasie dyktatury nazistowskiej byli oni „wśród ofiar”.**  
**28,7% twierdzi zaś, że w okresie III Rzeszy ich przodkowie „pomagali potencjalnym ofiarom” nazizmu.**

BADANIE MEMO INSTYTUTU  
 INTERDISCYPLINARNYCH BADAŃ NAD  
 KONFLIKTAMI I PRZEMOCĄ UNIwersYTETU  
 BIELEFELD ORAZ FUNDACJI „PAMIĘĆ,  
 ODPOWIEDZIALNOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ” Z 2019 R.



robotników przymusowych, a co trzeci Niemiec nie jest w stanie wskazać ani jednej firmy czerpiącej profity z niewolniczej pracy w czasie II wojny światowej. Aż 20 proc. ankietowanych twierdzi zaś, że społeczeństwo niemieckie nie ponosi odpowiedzialności za działania nazistów.

O tym, jak kaleka jest wiedza o niemieckich zbrodniach w Polsce niech świadczy fakt, że w przytaczanym badaniu, w pytaniu o to, kto był ofiarą, w ogóle zabrakło odpowiedzi: Polacy (*sic!*).

Koronnym argumentem na systemowy charakter ukrywania prawdy o faktycznym przebiegu okupacji Polski są jednak niemieckie materiały edukacyjne do nauki historii. Ich treści były analizowane przez naukowców badających relacje między Polską a RFN i wzajemnym postrzeganiem Polaków i Niemców.

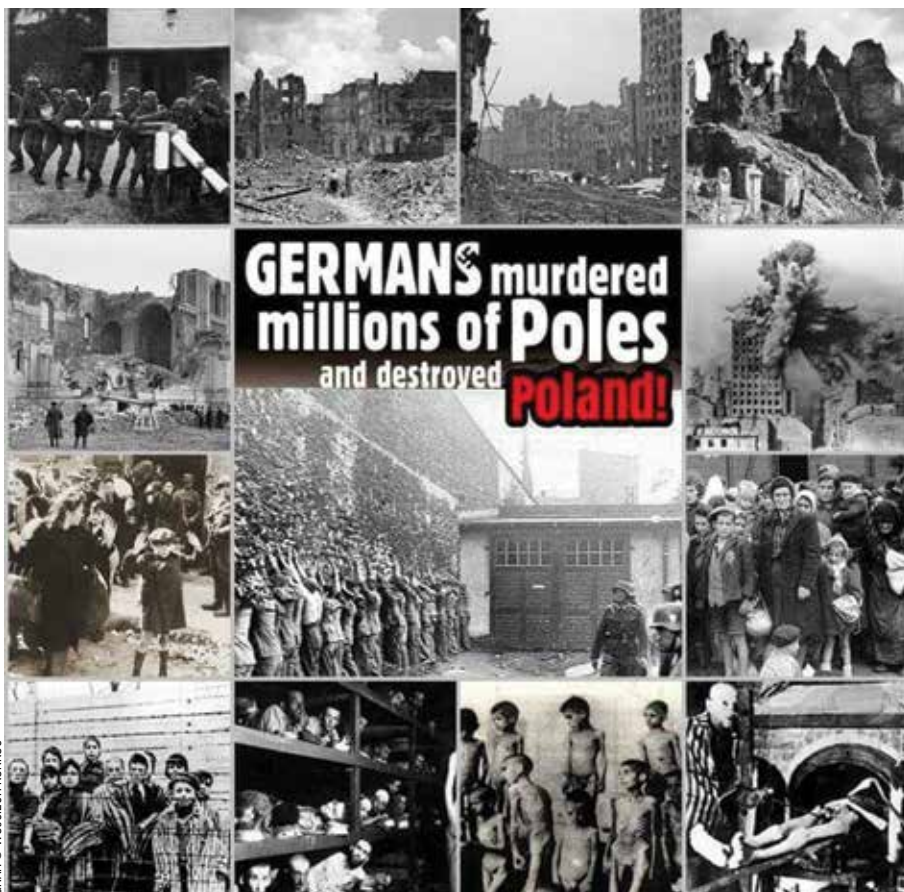
W niemieckich podręcznikach nasz kraj pojawia się przede wszystkim w kontekście kwestii terytorialnych i wspólnej granicy. „Motyw ten stanowi niemalże jedyny klucz do wiedzy o Polsce. Z reguły jednak autorzy podręczników nie wykorzystują go do rozbudowania i pogłębiania zalecanego w programach minimum wiedzy o chociażby elementarną

problematykę dotyczącą wewnętrznego rozwoju państwa polskiego, jego kondycji politycznej, gospodarczej czy kulturalnej na poszczególnych etapach jego dziejów” – dowodziła np. Hanna Grzempa z Instytutu Międzynarodowych Badań nad Podręcznikami Szkolnymi im. Georga Eckerta.

Przez pryzmat sąsiedztwa i cywilizującej ekspansji niemieckiej prezentowane są osadnictwo niemieckie na Wschodzie (prezentowane razem z historią zakonu krzyżackiego), unia personalna Polski i Saksonii, straty terytorialne Niemiec po traktacie wersalskim, zmiany terytorialne po II wojnie światowej (wraz z tzw. wypędzeniami Niemców z Europy Środkowej), rokowania na temat uznania zachodniej granicy PRL, rozpad bloku komunistycznego czy rozszerzenie Unii Europejskiej o Polskę i inne państwa regionu.

Wojna lat 1939-1945 analizowana jest zazwyczaj w odniesieniu do Holokaustu, prześladowań ówczesnych mniejszości (np. Romów czy Sinti), a także rzekomego oporu Niemców przeciwko nazizmowi. Analiza dostępnych podręczników do historii wskazuje jednoznacznie, że tematyka polskich strat wojennych, bestialskich





GRAF. © WOJCIECH KORCUC

działań armii niemieckiej i niemieckich formacji policyjnych w Polsce czy oporu polskiego społeczeństwa wobec władz okupacyjnych jest przez niemiecką szkołę celowo i skrupulatnie pomijana.

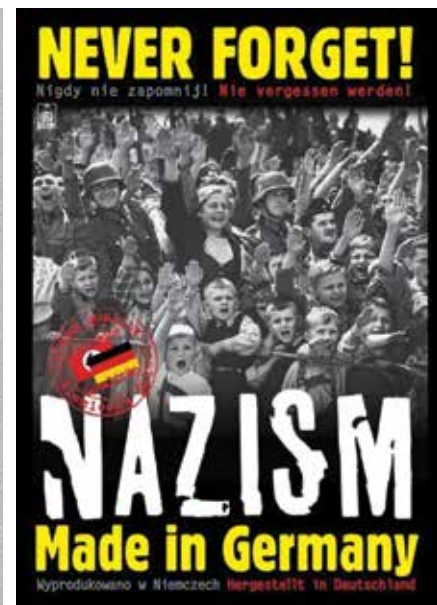
W książce *Geschichte*, przeznaczony dla szkół średnich w Berlinie, problematyka II wojny światowej zajmuje 14 stron z blisko 600, jakie liczy podręcznik. Rozdziały zatytułowane: *II Wojna Światowa*, *Holokaust* i *Opór*, zawierają śladową liczbę informacji na temat przebiegu okupacji niemieckiej Polski. We fragmencie o „wojnie na wyniszczenie” prowadzonej na Wschodzie wspomina się o prześladowaniach polskiej inteligencji i o polskich robotnikach przymusowych. W obu przypadkach szacunki ofiar są wielokrotnie zaniżone w stosunku do konsensusu historycznego i danych podawanych w Polsce. Opór wobec III Rzeszy przedstawiony został przede wszystkim na przykładach Niemców sprzeciwiających się nazizmowi; jako jedyny akt oporu na terenie Polski wymieniane jest powstanie w getcie warszawskim. Wśród ofiar nazistów wymieniani są przede wszystkim Żydzi, następnie Sinti i Romowie, a w dalszej kolejności „dziesiątki tysięcy osób przynależących do ludów słowiańskich, np. Polacy, Rosjanie, Serbowie Łużycy, Mazurzy i Kaszubi”. Fragmenty dotyczące poszkodowanych przez Niemcy ilustrowane są materiałami graficznymi dotyczącymi, np. Węgier, ale już nie Polaków.

Znacznie uważniej autorzy pochylają się nad Polską w rozdziale poświęconym roz-

wojowi autorytaryzmu w okresie międzywojennym. Według autorów w Polsce panował wówczas „półautorytarny system rządzenia”, w którym nie było miejsca na wolność prasy i gdzie dochodziło do fizycznych ataków na opozycję. „Eliminacja demokratycznych organów kontrolnych w Polsce doprowadzała do coraz większej radykalizacji rządów autorytarnych. Ten przykład jasno pokazuje, że nie może być półdemokratycznej formy rządu. Jeśli demokracja nie będzie bezkompromisowo broniona, prędzej czy później skończy się formą systemu rządzenia niewolnego” – przekonują niemieckich uczniów autorzy podręcznika.

Problematyka „polskiego autorytaryzmu” lat 20. i 30. pojawia się w kolejnym podręczniku dla szkół średnich, obowiązującym w szkołach Saksonii *Kursbuch Geschichte. Von der Industriellen Revolution bis zur Gegenwart*. Jako ofiary narodowo-socjalistycznej ideologii rasowej opisywani są po kolei: upośledzeni umysłowo, Sinti i Romowie, a w dalszej kolejności Żydzi. O Polakach nie ma ani słowa!

Ciekawy wątek przynosi podręcznik dla liceów w Badenii-Wirtembergii. Poza standardowym pomijaniem lub zaniżaniem polskich strat i ofiar (Polacy, w przeciwieństwie do Żydów, Romów, Sinti, osób upośledzonych i homoseksualistów nie są wymieniani w spisie ofiar), mamy tu bowiem poruszoną kwestię odszkodowań za II wojnę światową. Autorzy dość szczegółowo omawiają procedury wypłat dla



Żydów, Sinti czy Romów. W odniesieniu do tej ostatniej grupy wskazują na liczne odmowy wypłacenia odszkodowania, uzasadniane faktem, że trafili oni do obozów koncentracyjnych za faktycznie popełnione przestępstwa, np. kradzieże – autorzy solidaryzują się z ofiarami i podkreślają, że „ocaleni do dziś walczą o uznanie krzywd”.

O Polakach i naszej walce o uznanie krzywd nie ma w podręczniku ani słowa. Liczenie na realizację przez RFN licznych w ostatnich miesiącach zapewnień o „zwiększeniu wysiłków w celu edukacji społeczeństwa niemieckiego” byłoby skrajną naiwnością.

O prawdę, godność i zadośćuczynienie musimy walczyć sami.

FLNP ■







# Polskie straty wojenne w wyniku agresji i okupacji niemieckiej

**I** wojna światowa zakończyła się wielką niesprawiedliwością. Nigdy nie została odpowiednio rozliczona. Dlatego rząd Polski postawił sprawę jasno przedstawiając *Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939-1945*.

## I. Główne tezy *Raportu*

*Raport* to nie tylko akt ukazania pewnej pracy i dokumentacji. To przede wszystkim decyzja o podjęciu tej sprawy na forum międzynarodowym. Polska chce uzyskać odszkodowania za to, co Niemcy zrobili w latach 1939-1945. *Raport* to zwrócenie się do Niemiec o podjęcie tematu reparacji.

Wiele państw uzyskało odszkodowania od Niemiec. Polska – nie. Niemcy napadli na Polskę i uczynili wielkie szkody. Efekty widoczne są po dziś dzień. Niemcy nigdy nie rozliczyły się w sposób rzeczywisty ze zbrodni popełnionych na Narodzie Polskim w latach 1939-1945. Nie możemy nad tym przechodzić do porządku dziennego. Poważne państwo musi dbać o interesy swoje i obywateli. Jeżeli jedno państwo uczyni drugiemu ogromne szkody, to po porażce wojennej musi te szkody wyrównać. Nie ma żadnej podstawy, aby Polska była z tego wyłączona.

Ofiary nazistowskich Niemiec trzeba liczyć w milionach. Miliony polskich rodzin straciło dorobek całego życia. Setki miast zostało obróconych w gruzy, spalono tysiące wsi, zostały zniszczone zakłady przemysłowe, szkoły, zabytki architektury

– to ponury obraz tej wojny. To również zdewastowana infrastruktura, spalone biblioteki i zrabowane lub zniszczone kolekcje dzieł sztuki. To wszystko sprawiło, że II wojna światowa ma swoje konsekwencje do dziś.

Poziom życia w Polsce i szanse rozwojowe wprost wynikają z tej wojny, która okradła Polaków z ich przyszłości. Zbrodnie nie zostały rozliczone. Sprawcy maszyny zniszczenia i zagłady w dużej części pozostali bezkarni. Należy zadać pytanie: czy Polska jest gorsza od innych państw, które otrzymały w przeszłości środki w ramach zadośćuczynienia za II wojnę światową? Zdecydowanie: NIE!

Nie dajmy sobie tego wmawiać niemieckiej propagandzie, którą prowadzi i promują niektóre partie polityczne oraz media w Polsce. Grecja czy Izrael otrzymały takie środki już wiele lat temu. W 1960 roku Niemcy wypłaciły Grecji, na mocy dwustronnej umowy, 115 mln marek niemieckich zadośćuczynienia. Za Holocaust i straty podniesione w czasie II wojny światowej odszkodowań doczekał się także Izrael. Na mocy umowy z 1952 roku RFN przekazał 3 bln marek niemieckich w formie dostaw kontynuowanych przez kolejnych czternaście lat. 450 mln marek z kolei otrzymał Światowy Kongres Żydów. Środki te zainwestowano w infrastrukturę i rozwój nowo powstałego państwa Izrael.

Przez lata, kolejne rządy w Niemczech jak ognia unikały tematu reparacji dla Polski. Niestety było na to przyzwolenie ówczesnych polskich władz. Obowiązkiem

dzisiaj żyjących jest wołać o sprawiedliwość i zadośćuczynienie wobec ofiar.

W wyniku wojny rozpetanej przez Niemców, Polska straciła 6 bln 220 mld 609 mln złotych. Życie straciło ponad 5 mln obywateli. Wojna cofnęła Polskę w rozwoju o dwadzieścia lat. Ponad milion rodzin straciło dorobek życia (biorąc pod uwagę zniszczenia w miejscu zamieszkania powyżej 15 proc.). Straty materialne wyniosły 797 mld 398 mln złotych. Inne kraje, np. wspomniane już Grecja i Izrael, otrzymały reparacje, Polsce one też się należą! Nigdy nie zrzekliśmy się ich, a zbrodnie wojenne są zbrodniami BEZ PRZEDAWNIEŃ.

Mamy moralne prawo domagać się zadośćuczynienia i wyrównania krzywd – to Polacy sami odbudowali swoją Ojczyznę, którą zniszczyli niemieccy okupanci. Nigdy nie zrzekliśmy się reparacji, nigdy ich nie otrzymaliśmy i nigdy nikt nie zadośćuczynił Polsce za straty wywołane II wojną światową. Relacje między przyjaciółmi wymagają wzajemnego szacunku i rozliczenia krzywd. Mamy wiele wspólnych spraw z naszymi sąsiadami i nasi sąsiedzi nie unikają mówienia o swojej odpowiedzialności za wojnę. Chcemy nasze relacje oczyścić z win przeszłości będących po stronie Niemców.

Po wielu latach zapomnienia i zaniedbań poprzednich ekip rządzących, obecne władze prezentują *Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939-1945*, który jest wynikiem prac Parlamentarnego Zespołu ds. oszacowania wysokości odszkodowań należnych Polsce od Niemiec za szkody wyrządzone w trakcie II wojny światowej i ponad 30. ekspertów różnych dyscyplin wiedzy. Powstał on w latach 2017-2022.

Wszystkie poniesione przez Polskę straty, materialne i niematerialne, wynikały przede wszystkim z niemieckiej polityki okupacyjnej, motywowanej przekonaniem o „niższości rasowej” ludności polskiej. Niemcy celowo i w sposób zorganizowany eksterminowali ludność na okupowanych terenach, a także intensywnie, w sposób brutalny eksploatowali polskie społeczeństwo. Władze RP uważają, że *Raport* obrazuje skalę strat Polski i pozwoli zapoczątkować otwarty, merytoryczny dialog obydwu państw oraz doprowadzi do uregulowania sprawy reparacji i odszkodowań wojennych.

Agresja Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku była pierwszą i niezwykle brutalną kampanią II wojny światowej. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze wydzielił w 1946 roku wiele kategorii zbrodni niemieckich, m.in. planowanie, rozpoczęcie i prowadzenie wojny napastniczej, morderstwa dokonywane na jeńcach wojennych i ludności cywilnej, masowa



eksterminacja w obozach zagłady, pokazowe egzekucje. Naprawdę trudno znaleźć w dziejach współczesnej Europy przykład tak metodycznej i gigantycznej zbrodni, która nie została ukarana.

Polska w wyniku wojny poniosła największe, w stosunku do całkowitej liczby ludności i majątku narodowego, straty osobowe i materialne ze wszystkich państw europejskich. Ogólna liczba wymordowanych obywateli Polski wyniosła ponad 5 mln. Straty te wynikały nie tylko z działań wojennych, ale przede wszystkim z niemieckiej polityki okupacyjnej. Polityka ta charakteryzowała się w szczególności celową i zorganizowaną eksterminacją ludności na okupowanych terenach państwa polskiego, intensywną eksploatacją społeczeństwa polskiego (w tym pracy przymusowej), a także celowym niszczeniem mienia, m.in. zburzenie stolicy państwa – Warszawy oraz tysiące polskich miast i wsi.

Dobra materialne skradzione przez Niemców wciąż się odnajdują. Przykładowo w 2018 roku w domu aukcyjnym w Monachium, po 73. latach od zakończenia wojny, odnalazł się zabytkowy lekty (naczynie ceramiczne), który zaraz po wybuchu wojny padł łupem Kommando Paulsen – specjalnego niemieckiego oddziału wyznaczonego do rabowania polskich dóbr kultury. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego od 2016 roku odzyskało już prawie 600 dzieł sztuki utraconych w czasie II wojny światowej. W toku jest 130 spraw restytucyjnych prowadzonych w 15. krajach na świecie.

### II. Skutki II wojny światowej dla Polski

Negatywne skutki II wojny światowej w sferze demografii, gospodarki, infrastruktury, rozwoju nauki, edukacji i kultury odczuwane są przez Polskę i Polaków do dzisiaj.

Każdy rok wojny i okupacji przynosił państwu polskie na niższy poziom rozwoju we wszystkich aspektach życia publicznego, gospodarczego czy społecznego. Polacy na pokolenia utracili możliwość zgromadzenia kapitału, a oszczędności, dzieła sztuki, dobra kultury i cenny dobytek ich przodków zostały zrabowane przez Niemców.

Współczesne państwo polskie dziś byłoby w zupełnie innym miejscu rozwoju cywilizacyjnego na mapie świata i Europy, gdyby nie skutki II wojny światowej. Kilka pokoleń zdziesiątkowanych Polaków zostało skazanych na ogromny wysiłek odbudowy zniszczeń wojennych i podnoszenia kraju ze zgliszcz.

Do dzisiaj Rzeczpospolita Polska nie uzyskała ani pełnej kwoty reparacji wojennych przyznanych decyzją wielkich mocarstw w Poczdamie, ani tym bardziej odszkodowań adekwatnych do poniesionych strat wojennych i zniszczeń okupacyjnych.

### 1. Straty demograficzne

Państwo polskie w czasie II wojny światowej poniosło ogromne straty ludnościowe z powodu działań niemieckich. Były one wynikiem świadomej i konsekwentnej polityki Niemiec, które dążyły do wyniszczenia obywateli Polski i pozyskania w ten sposób dla Niemców „przestrzeni życiowej” na Wschodzie.

W efekcie tej polityki wymordowano 5 219 053 osób, a liczba ludności kraju po zakończeniu wojny zmniejszyła się o prawie 11,4 mln obywateli. W zdecydowanej większości (80 proc.) ofiary eksterminacji zamieszkiwały miasta, a w mniejszym stopniu (20 proc.) wsie.

Niemcy szczególnie prześladowali polską inteligencję i wszelki „element przywódczy” – działaczy społecznych, nauczycieli, duchownych katolickich i rabinów, prawników i lekarzy, którzy mogli organizować opór przeciwko okupantowi. Straty polskiej inteligencji sięgały w różnych grupach zawodowych od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu procent.

Władze niemieckie w okupowanej Polsce stosowały różnego rodzaju działania polityczne i prawne mające doprowadzić do zmniejszenia populacji jej obywateli. Z premedytacją stworzyły jak najgorsze warunki życia, pozbawiając szans na prawidłowe odżywianie, co prowadziło do zwiększonej umieralności. Przede wszystkim dotknęło to dzieci, których około 169 tys. zmarło. Równocześnie odebrano rodzicom i wywieziono do Rzeszy w celu zgermanizowania około 157 tys. dzieci, które nie powróciły do kraju. Tylko na Ziemiach Dawnych – czyli części terytorium państwa polskiego po II wojnie światowej leżącego między granicą ze ZSRR, ustaloną w maju 1944, a zachodnią i południową granicą Polski według stanu z 31 sierpnia 1939 roku (czasami, np. w publikacjach Głównego Urzędu Statystycznego, do Ziem Dawnych zaliczano też teren byłego Wolnego Miasta Gdańska)

– straciło życie 1 mld 672 mln osób poniżej 18. roku życia. Konsekwencją niemieckich planów eksterminacyjnych było sieroctwo i półośieroctwo polskich dzieci.

Po zakończeniu wojny jedynie 77 proc. dzieci miało oboje rodziców. Straty potencjału ludnościowego w latach 1940-1944 w postaci nieurodzonych dzieci wyniosły 1 mld 029 mln, a w latach 1946-2017 – 3 mld 964 mln, czyli razem 4 mld 993 mln złotych. Około 590 tys. osób doznało ciężkiego uszczerbku na zdrowiu i nabawiło się trwałych chorób, które osłabiły kondycję zdrowotną populacji Polski. Skutki demograficzne II wojny światowej i pięciu lat niemieckiej okupacji były i nadal pozostają istotną przeszkodą w rozwoju gospodarczym Polski, i to mimo upływu wielu lat od ich zakończenia.

Działania niemieckie w trakcie II wojny światowej wobec państwa polskiego spowodowały szereg strat, materialnych i niematerialnych.

Wśród strat niematerialnych niewątpliwie największe znaczenie miały straty ludzkie poniesione przez Polskę podczas wojny – ofiary śmiertelne i szkody na zdrowiu obywateli kraju. Ich ekonomiczna wycena opiera się na utraconym PKB wyrażonym stratami wynagrodzeń związanych z pracą. Wartość utraconych wynagrodzeń autorzy *Raportu* obliczyli rozpatrując scenariusz braku wojny, w którym 5,2 mln ofiar śmiertelnych agresji niemieckiej pracowałyby na warunkach sprzed wybuchu II wojny światowej.

Do oszacowania wartości strat materialnych zastosowano ogólnie przyjętą metodologię produktu krajowego brutto (PKB), a w szczególności metodologię liczenia wynagrodzeń jako składowej PKB. Sprawia to, że obliczenia mają najwyższy poziom obiektywności, jaki można osiągnąć po tylu latach od zbrodni niemieckich.

Ciąg dalszy na s. 16 ▶





## ► Ciąg dalszy ze s. 15

Autorzy *Raportu* założyli scenariusz, w którym 5,2 mln ludzi „naturalnie” dożywa swoich lat i spośród których część pracuje. Na podstawie tej metodologii szacuje się, że śmierć 5,2 mln obywateli Polski spowodowała utratę PKB łącznie o 4 bln 298 mld złotych, co odpowiada około 1,56 bln USD (podane wielkości według cen i kursów na koniec roku 2021). Szkody spowodowane inwalidztwem, chorobami, rabunkiem dzieci i pracą przymusową spowodowały utratę PKB łącznie o 497 mld 942 mln złotych, co odpowiada około 123 mld USD. Pominięcie następnych pokoleń, które nie narodziły się na skutek zgładzenia ich potencjalnych rodziców, sprawia, że nasze szacunki oceniamy jako zbliżone do minimalnych, na gruncie przyjętej metodologii.

Łącznie szacunki strat w PKB Polski z tytułu strat ludzkich – utraconych wynagrodzeń – wynoszą około 4 bln 786 mld 965 mln złotych, co odpowiada około 1,179 bln USD (ekonomiczna wycena strat ludzkich – wyliczenie obrazujące jaki wkład do PKB miałyby osoby zamordowane, ciężko chore bądź kalekie w wyniku wojny, zrabowane przez Niemców dzieci oraz robotnicy przymusowi, gdyby mieli możliwość pracować w Polsce).

### 2. Straty materialne

Zespół zajmujący się stratami materialnymi oszacował wartość poniesionych przez Polskę strat wynikających ze zniszczeń budynków mieszkalnych i niemieskalnych w miastach i na wsi, obiektów zabytkowych i sakralnych, a także pozostałych budynków, nie mieszczących się w żadnej z wcześniej wymienionych kategorii.

Straty wojenne w przemyśle i rzemiośle były częścią grabieży mienia, przygotowywanej przez Niemcy na długo przed 1 września 1939 roku. Grabież ta stanowiła jeden ze sposobów germanizacji ziem polskich i była związana z ludobójstwem planowanym i dokonywanym na polskich obywatelach, w pierwszej kolejności na obywatelach pochodzenia żydowskiego.

Dostępne dzisiaj dokumenty archiwalne i literatura pozwalają stwierdzić, że zabór mienia i sposób wykorzystania polskiej gospodarki na potrzeby III Rzeszy, zwłaszcza na jej potrzeby wojenne, były przygotowywane już od połowy lat 30. XX wieku. Niemiecki wywiad i niemieccy naukowcy gromadzili systematycznie szczegółowe dane o polskiej gospodarce. Przede wszystkim dotyczyło to najważniejszych polskich przedsiębiorstw, a zwłaszcza ich wyposażenia technicznego, potencjału i źródeł zaopatrzenia. Oceniano również przydatność tych



GRAF. WWW.GOV.PL

przedsiębiorstw pod kątem prowadzenia wojny już po zajęciu Polski. Oszacowana wartość strat materialnych poniesionych przez Polskę w latach 1939-1945 wynosi 797 mld 398 mln złotych.

Nie jest możliwe oszacowanie miarą pieniężną dorobku kulturowego, na który składają się całe wieki nieprzerwanej ewolucji intelektu i ducha narodu. Trendy i ceny na rynku dzieł sztuki zmieniają się bardzo szybko. Trudno wyrokować, jaką cenę osiągnąłby konkretny obiekt, czy taką samą, czy niższą, czy też wyższą w stosunku do podobnych zachowanych prac danego autora. Nawet w przybliżeniu nie jesteśmy w stanie określić, ile należałoby teraz zapłacić na aukcji za skradziony z Muzeum Czartoryskich obraz Rafaela *Portret młodzieńca*. Największą szansę na realne odwzorowanie zmiany wartości dóbr kultury w latach 1939-2018 daje zastosowanie metody waloryzacji dolarowej.

Na podstawie przeprowadzonych badań materiału zebranego i opracowanego przez Biuro Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych Ministerstwa Kultury i Sztuki, i po uwzględnieniu waloryzacji dolarowej straty w dobrach kultury i dziełach sztuki poniesione w wyniku działań wojennych i okupacji niemieckiej w granicach Rzeczypospolitej z 1939 roku, bez ziem wschodnich, które zostały po II wojnie światowej włączone do ZSRR, wyniosły 1 bln 254 mld złotych, co na 31 grudnia 2021 roku odpowiada kwocie 19 mld 313 mln złotych. W tej kwocie nie zostały uwzględnione szkody poniesione w architekturze zabytkowej oraz w pozostałych budynkach związanych z dobrami kultury. Ten rodzaj strat został przedstawiony w części *Raportu* poświęconej stratom w budynkach i innych obiektach.

Na terenie Generalnego Gubernatorstwa – jednostki administracyjno-terytorialnej utworzonej przez III Rzeszę na podstawie dekretu Adolfa Hitlera z 12 października 1939 roku, obejmującej część okupowanego

wojskowo przez Niemcy terytorium II Rzeczypospolitej (w tym m.in. Warszawę, Kraków i Lublin), która nie została anektowana bezpośrednio przez III Rzeszę – większość banków i instytucji kredytowych została zamknięta przez Niemców, co spowodowało ogromne straty w ich aktywach. Wszystkie polskie instytucje finansowe na terenach wcielonych do Rzeszy zostały zlikwidowane, a pochodzące z nich pieniądze trafiły na konto Głównego Urzędu Powierniczego Wschód w Berlinie.

W 1949 roku Brytyjczycy odkryli konto, na którym były środki z likwidacji banków państwowych (Bank Gospodarstwa Krajowego, Państwowy Bank Rolny, Bank Polski) w równowartości kilku miliardów współczesnych złotych, które wciąż czekają na odbiór. Całkowicie pozbawione swoich aktywów zostały także instytucje ubezpieczeń społecznych na terenach włączonych do Rzeszy. W Krakowie zamknięto żydowskie i polskie banki oraz zezwolono na rozpoczęcie działalności przedstawicielstwom ważniejszych banków niemieckich. W Warszawie, ze względu na jej istotne znaczenie gospodarcze, w pierwszej kolejności zamknięto żydowskie instytucje kredytowe, następnie usunięto Żydów z zarządów i wprowadzono kontrolę nad majątkiem instytucji kredytowych.

Straty polskich instytucji kredytowo-oszczędnościowych i ich klientów, poniesione w wyniku działań wojennych i okupacji niemieckiej w granicach Rzeczypospolitej z 1939 roku, bez ziem wschodnich, które zostały po II wojnie światowej włączone do ZSRR, wyniosły 5,8 mld złotych, co na 31 grudnia 2021 roku odpowiada kwocie 89,3 mld złotych. W tej kwocie nie zostały uwzględnione szkody poniesione w nieruchomościach stanowiących własność tych instytucji, gdyż uwzględniono je w części *Raportu* poświęconej stratom w budynkach i innych obiektach.



Szczególnie dotkliwe dla ubezpieczalni społecznych (czyli placówek, które działały na podstawie ustawy o ubezpieczeniach społecznych i rozporządzenia o ubezpieczeniach społecznych pracowników umysłowych, a także na podstawie ustaw regulujących odrębnie niektóre rodzaje ubezpieczeń społecznych w zachodnich dzielnicach Polski) były straty wojenne w zapasach materiałowych i ruchomościach. Obejmowały one wyposażenie: biur, sanatoriów, szpitali, zakładów fizykalnego leczenia, pracowni chemiczno-analitycznych, ambulatoriów lekarskich i dentystycznych, pracowni protetyki dentystycznej, aptek, taboru przewozowego i komunikacyjnego.

Z dostępnych materiałów wynika, że straty wojenne Centrali Zaopatrzenia Instytucji Ubezpieczeń Społecznych łącznie wyniosły 15 mln 932 tys. złotych, w tym: w gotówce – 300 tys., w lokatach bankowych – 777 tys., w wekslach – 35 tys., dłużnicy z tytułu dostaw – 3 mln 131 tys., w towarach, ruchomościach i wyposażeniu – 10 mln 383 tys., w nieruchomościach – 1 mln 207 tys., różne – 99 tys. złotych.

Polskie banki, instytucje kredytowe i zakłady ubezpieczeniowe łącznie straciły w wyniku napaści i okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 – 8,059 mld złotych przedwojennych, co odpowiada kwocie 124 mld 125 mln złotych z 31 grudnia 2021 roku.

W wyniku działań wojennych i okupacji niemieckiej oraz z tytułu działalności okupacyjnego Banku Emisyjnego w Polsce, skarb państwa polskiego poniósł następujące straty:

- Straty rzeczowe, które obejmowały straty poniesione przez administrację skarbową i przedsiębiorstwa podległe Ministerstwu Skarbu w budynkach, maszynach i urządzeniach fabrycznych, urządzeniach i wyposażeniu biurowym, gotówce, walutach i papierach wartościowych oraz w fabrykach i surowcach.

- Straty podatkowe i monopolowe, które obejmowały straty w podatkach bezpośrednich – ściągnięte przez okupanta niemieckiego zaległości podatkowe pozostałe na 1 września 1939 roku oraz wymierzone i ściągnięte podatki podczas okupacji.

- Bardzo dotkliwe były również straty wynikające z działalności Banku Emisyjnego w Polsce utworzonego przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie. Także w tym przypadku, po zakończeniu wojny, odkryto w Reichsbanku środki należące do Banku Emisyjnego w Polsce na kwotę ponad kilkaset mld złotych współczesnych, które czekają na odbiór.

W sumie straty rzeczowe w majątku administrowanym przez Ministerstwo Skarbu

oraz w podatku i monopolach poniesione w wyniku działań wojennych i okupacji niemieckiej wyniosły: 28 540 255 923,00 złotych przedwojennych.

Zobowiązania Rzeszy i Banku Rzeszy wobec Banku Emisyjnego w Polsce stanowiły główną część aktywów Banku Emisyjnego. Pozostałe w Polsce aktywa stanowiły zaledwie ułamek sumy bilansowej Banku Emisyjnego. W sumie kwota pretensji do Rzeszy Niemieckiej i Banku Rzeszy z tytułu funkcjonowania okupacyjnego Banku Emisyjnego w Polsce na dzień 1 lipca 1949 roku wynosi 12 747 192 956,89 złotych.

Największą szansę na realne odzworowanie zmiany wartości strat poniesionych przez Ministerstwo Skarbu spowodowanych działaniami wojennymi i okupacją niemiecką na terenach II Rzeczypospolitej (bez ziem włączonych po II wojnie światowej do ZSRR) oraz z tytułu działalności okupacyjnego Banku Emisyjnego w Polsce daje zastosowanie metody waloryzacji dolarowej. Na jej podstawie łączna szacunkowa wartość strat poniesionych wynosi 31,998 mld złotych z 1939 roku, co na dzień 31 grudnia 2021 roku odpowiada kwocie 492 mld 811 mln złotych. W tej kwocie nie zostały uwzględnione szkody rzeczowe i osobowe mieszczące się w ramach zakresu działania administracyjnego Ministerstwa Skarbu.

Łączna wartość strat na dzień 31 grudnia 2021 roku wynosi: 6 bln 220 mld 609 mln złotych (około 1 bln 532 mld 170 mln USD).

**P**owszechnie przyjętą miarą całościową kosztów ekonomicznych jest utrata strumienia PKB. Na podstawie historycznych danych statystycznych możliwe jest odtworzenie strumienia PKB oraz historii kontrfaktycznej ilustrującej ścieżkę wzrostu gospodarczego, gdyby wojny nie było. Dzięki temu można oszacować wartość strat strumienia PKB w okresie działań wojennych, a także zobrazować rozmiar

strat potencjału gospodarczego w latach powojennych (te szacunki nie wliczają się do ogólnej kalkulacji strat).

Zniszczenia dokonane przez Niemców obniżyły potencjał polskiej gospodarki o około 55 proc. Ponieważ straty strumienia dochodu społeczeństwa są nieodwracalne, polska gospodarka została zepchnięta na niższą trajektorię wzrostu gospodarczego. Utracony strumień PKB z okresu II wojny światowej nigdy nie został Polsce zrekompensowany. Niższy poziom PKB stał się udziałem Polaków przez całą historię powojenną.

Przy założeniu utrzymania średniego tempa wzrostu gospodarki polskiej podczas okupacji szacunki strat PKB są naturalnie znacznie większe. Względem scenariusza kontrfaktycznego zakładającego trend wzrostu PKB sprzed wojny o rocznej dynamice 2,07 proc. pełna strata wartości PKB w okresie 1939-1945 wynosi 53,775 mld złotych polskich z 1938 roku.

Przy założeniu, że okupacja niemiecka nie przyczyniła się do strat w produktywności czynników wytwórczych, to znaczy przez okres 1939-1945 poziom produktywności czynników produkcji (TFP) utrzymał się na stałym poziomie z roku 1938, suma strat PKB wyniesie 36,187 mld złotych polskich z 1938 roku.

Po przeliczeniu na dolary amerykańskie i korektę o inflację USD na koniec 2021 roku otrzymujemy sumę 202 mld 9 mln USD.

Kwota ta nie jest wliczana do ogólnej sumy strat; podana jest przede wszystkim ze względu na jej wartość poznawczą i naukową, która pozostaje ogromna.

IRENEUSZ ST. BRUSKI na podst. GOV.PL ■

#bezprzedawania



# El Greco i Święty Franciszek

*Według obrazu „Ekstaza św. Franciszka”  
z Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach*

*słońce wtoczyło się na miejski plac  
i przyparło go do muru  
ostatkiem sił otworzył drzwi  
i wsunął się w cień  
Jorge obmył mu stopy  
i pozamykał okiennice*

*bezruch tego południa przenikał wszystko  
ani czytać  
ani myśleć  
ani chcieć*

*a jednak stanął przed płótnem  
flakon z lapis lazuli żarzył się obok*

*czerwień z trudem łapała kolor  
na granicy mało czytelnej żółcieni i kobaltu  
delikatnie pulsowała zieleń  
łącząc łuk innego błękitu z szarością*

*szkoda czekać, mruknął  
i trącając pędzlem o biel  
wmieszał je w pochyloną postać  
która spojrzała mu w twarz*

*nagle jednym ruchem zamienił ją w plamę  
w szept*

*a gdy odnalazł  
wzrok  
spojrzenie  
zapatrzenie  
rozpięte między powiekami  
wzmocnione soczewkami też  
nie skończył  
nie zostawił  
nie zapomniał*

ELŻBIETA WASYŁYK



El Greco, *Ekstaza św. Franciszka*, około 1578

FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W SIEDLCACH

**E**kstaza św. Franciszka (wł. *Święty Franciszek otrzymujący stygmaty*) – obraz olejny przedstawiający św. Franciszka z Asyżu, któremu oficjalnie – na podstawie opinii komisji Ministerstwa Kultury i Sztuki z 1974 roku – przypisuje się autorstwo hiszpańskiemu malarzowi greckiego pochodzenia Dominikosowi Theotokopulosowi, znanemu jako El Greco.

Dzieło, odkryte przypadkowo w roku 1964 w Kosowie Lackim przez Izabellę Ga-

licką i Hannę Sygietyńską, znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach, a wyeksponowane publicznie zostało dopiero po czterdziestu latach od odkrycia.

Od chwili odkrycia i przypisania autorstwa El Greca obraz *Ekstaza św. Franciszka* stał się inspiracją i motywem dla autorów satyrycznych wierszy, powieści przygodowej dla młodzieży, a także został przedstawiony na znaczkach pocztowych.

ANDRZEJ SZTUMSKI ■





FOT. © ANDRZEJ SIKORA

# Pustelnik „Jano”: Trzy tęsknoty pod czujnym okiem Opatrzności

” *Смысл мира, в нём же и правда Божия, есть внутреннее единство каждого со всем.*

*Konstrukcja świata, w niej jest prawda Boża, istnieje wewnętrzna jedność wszystkiego ze wszystkim.*

Владимир Соловьев, *Духовные основы жизни*

**Andrzej Sikora:** W wydanej niedawno (listopad 2022) książce *Osobowości...* prezentujesz siedemdziesiąt postaci, które według Ciebie zasłużyły na to miano. Jednocześnie już we wstępie zaznaczasz, że „celebrostratesów”, czyli ludzi obciążonych kompleksem Herostratesa, w Twojej książce nie ma. Jakie więc kryteria zastosowałeś w doborze swych rozmówców?

**Pustelnik „Jano”:** Moim mottem życiowym jest myśl, że marzenia są po to, aby je realizować, a właśnie moi Rozmówcy to ludzie, którzy swe marzenia zrealizowali, kryteria zaś były zarazem zwykłe, jak i niezwykłe. Moi Bohaterowie to ludzie zwykli o niezwykłych osiągnięciach artystycznych i intelektualnych, a swoje sukcesy odnieśli

dzięki intensywnej pracy nad sobą, dzięki pomnażaniu swych talentów.

**Lech L. Przychodzki:** Rzucając studia podążyłeś drogą trzech Twoich tęsknot. Piszesz o nich tak: „Pierwsza to tęsknota za lasem i samotnością, druga to chęć życia w skrajnej nędzy jako człowiek bezdomny oraz trzecia, najpiękniejsza, ta z dzieciństwa – tęsknota za Bogiem, za żywym Bogiem, a nie teorią na Jego temat, za realnym szczęściem, wynikającym z obcowania z Nim”.

**Czy łączenie ich w codzienności to pełnia życia, czy jednak potrafią sobie wzajem przeszkadzać?**

Myślę, iż ważną jest rzeczą wsłuchiwanie się w swoje tęsknoty, to one nam sugerują

w jakim kierunku mamy iść, choć czasami te tęsknoty popychają nas w rzeczywistość nieco niebezpieczną, której chcielibyśmy uniknąć, gdyż niosącą zbyt duże ryzyko. I tu potrzebna jest – nie brawura – lecz odwaga i determinacja. Ja, będąc młodym człowiekiem rzuciłem studia i wybrałem życie włóczęgi, od kilkudziesięciu lat uprawiam „włóczęg”, który przyniósł mi wiele cierpienia, ale i dużo radości, ale przede wszystkim dużo ciekawych doświadczeń i spotkań z wyjątkowymi ludźmi. Obecnie, na starość – a mam 67 lat – mieszkam w Polańczyku, mam już dach nad głową, gdzie mogę pisać książki, skąd mogę robić wypad w Polskę i nagrywać wywiady z prawdziwą polską elitą.

**A.S.:** Z Twoich wypowiedzi dla radia, prasy, TV dowiadujemy się, iż podczas swojej, jak to nazywałeś – włóczęgi – wielokrotnie zmieniłeś miejsce zamieszkania/pobytu i zawsze miejsce to nazywałeś „pustelnią”. Wyjaśnij, co dla Ciebie oznacza słowo „pustelnia”?

Pustelnia to nie jakaś chatka na odludziu, to stan umysłu – stan, w którym dominuje samotność, milczenie, a nade wszystko modlitwa.

ciąg dalszy na s. 20 ►



► Ciąg dalszy ze s. 19

**L.L.P.:** Dla wielu Twoje uwagi na marginesie zamachu na Jana Pawła II (13 maja 1981) powinny być przestrożą. „Fanatyzm religijny to potrzeba niszczenia innych, nie w imię swojej religii, lecz w imię swoje. Problem tak naprawdę nie leży w religii jako takiej, lecz w psychice poszczególnego człowieka. Żadna religia, jeżeli jest prawdziwa, nie nawołuje do zabijania, a jeśli nawołuje, to znaczy, że nie jest prawdziwa. [...] Fanatyzm religijny to próba uświęcenia tego, co świętym nie jest”. Co takiego mieści się w ludzkich duszach, iż kontredans mordowania „w imię wiary”, tej czy innej, wydaje się nie mieć końca?

W ludzkich duszach mieści się cierpienie, z którego wypływa agresja, nawet w postaci chęci zabijania innych. Gdy chodzi o cierpienie, z pomocą przychodzi nam Chrystus, który też cierpiał, ale z Jego cierpienia wypływała miłość, z naszego – niestety – agresja. Od Jezusa możemy się wiele nauczyć.

**L.L.P.:** Rzekłeś kiedyś: „Życie to nie brudnopis, nie można z niego nic wymazać. Niestety, piszemy od razu «na czysto»”. To stan świadomości, dojście do którego najczęściej bywa niebywale bolesne. Na ile ból, także ten

metafizyczny, konstruował Twoją osobowość przez lata dążenia ku Bogu i ku... sobie?

Ból metafizyczny towarzyszy mi od dziecka, taki ból to błogosławieństwo, dzięki niemu docieramy do duchowych głębin, bez cierpienia nie wdzielilibyśmy, co to szczęście. Cierpienie wyklucza radość, ale nie wyklucza szczęścia.

**L.L.P.:** W lipcu 2002 roku ponownie wrócites z miasta w Bieszczady. Miałeś ze sobą *Biblię* i aparaty fotograficzne. Twoje miejskie drogi pewnie były ciekawe, ale nie prowadziły tam, dokąd od lat zmierzałeś – ku Bogu. Wielu ludziom bliskość natury otwierała serca i pomagała znaleźć podobnych sobie. Jak myślisz, dlaczego właśnie w Bieszczadach odczuwałeś zawsze, iż Bóg otacza Cię miłością szczególną? Bóg otacza mnie miłością od dziecka, ale tu, w Bieszczadach, Jego miłość stała się tak intensywna, że aż gęsta. Tu doświadczyłem, iż Bóg naprawdę jest miłością!

**A.S.:** W Bieszczadach od lat panuje zwyczaj, iż ludziom, którzy wyróżniają się w środowisku, nadaje się przydomki – pseudonimy, które z czasem zastępują niektórym nazwiska. Ty w bieszczadzkiem świecie funkcjonujesz jako Pustelnik „Jano”. Tak też podpisujesz swoje fotografie i publikacje. Czy pamiętasz – kto i kiedy nadał Ci to miano?

Przydomek Pustelnik „Jano” ukułem sam, gdy zacząłem realizować swe samotnicze marzenia.

**L.L.P.:** Podobnie jak w życiu innych ludzi, w Twoim także następowały niespodziewane przełomy. Jak choćby ten z 15 stycznia roku 2003, gdy wracając z Polańczyka do swej pustelni ujrzałeś krążące nad lasem jakby oko cyklonu o średnicy około 500 metrów, co uświadomiłeś sobie jako manifestację Ducha Świętego.

Czy łaski, jakie otrzymałeś, bardziej pomogły w drodze do Boga Tobie czy tym, których na szlaku spotkałeś?

Łask otrzymałem bardzo dużo, a one pomogły przede wszystkim mnie, ale później także innym ludziom, których spotykałem lub tym, którzy przychodzili do mnie na duchowe rozmowy.

**A.S.:** W wywiadzie radiowym w sierpniu 2022 roku powiedziałeś: „Mam dwie twarze – samotnika i człowieka, który kocha ludzi. Lubi z nimi przebywać. Już od dzieciństwa miałem marzenie, by mieszkać w osamotnieniu, w skrajnej nędzy. Pustelnictwo to kwestia stanu psychicznego”. Czy możesz wyjaśnić na czym polega ta (pozorna?) sprzeczność? I jak udaje Ci się to realizować?

Stan samotności to etap uzdrowienia wewnętrznego, gdy osiągamy to uzdrowienie



FOT. © ANDRZEJ SIKORA



zaczynamy kochać siebie, a w następstwie potrafimy kochać innych. Ponieważ Kocham ludzi, piszę książki właśnie o ludziach.

**L.L.P.:** Narrator *Cyta deli de Saint-Exupéry*'ego modląc się, prosi o znak, potwierdzający istnienie Boga. Znak nie następuje i książkę dochodzi do wniosku, iż Bóg mógł zareagować tylko tak. Inaczej utwierdziłby go w przekonaniu, iż modlitwa to jedynie próba przekupienia Absolutu. Co przecież stanowi zaprzeczenie jakiegokolwiek wiary. Ty piszesz: „nie trzeba znać modlitewnych «sposobów na Pana Boga». Wystarczy ze względu na Jego dobro kochać ludzi. Nadmiernie rozbudowana modlitwa świadczy o małej wierze tych, którzy ją układali. Najwyższą formą modlitwy jest milczenie!”.

Czy w dzisiejszym świecie, gdzie od paskudnego globalizmu następuje odwrót ku paskudniejszemu jeszcze nacjonalizmowi, by nie rzec – narodowym socjalizmowi – jest wciąż miejsce na modlitwę i milczenie w zgiełku wszechobecnych reklam?

Właśnie w tych agresywnie głośniejszych czasach modlitwa jest szczególnie potrzebna, ona nas wycisza, ułatwia nam zobaczenie tego, co naprawdę ważne.

**A.S.:** W wydanym w 2008 roku albumie *Bieszczadzkie twarze* pokazałeś kilkadziesiąt wspaniałych portretów bieszczadzskich ludzi. O każdym z nich jest wprawdzie krótka notka biograficzna, ale przecież każda z prezentowanych tam postaci – to jakby gotowy materiał do zbeletryzowania. Nie korciło Cię, aby coś więcej o nich napisać?

A korciło – i to skutecznie. Właśnie przygotowuję do druku swój kolejny – już ósmy – album o Zakapiorach z obszerną gawędą. Będzie to zatem albumo-książka, zatytułowana *Moja bieszczadzka odyseja*. Jestem właśnie na etapie szukania wydawcy.

**L.L.P.:** Jakie są Twoim zdaniem przyczyny degradacji życia duchowego, co postrzegamy dokoła, do poziomu – jak to określasz – „religijnego folkloru”?

Przyczyn jest wiele, między innymi duchowe lenistwo, odrzucanie tego, co zmusza do wysiłku. Wystarcza nam „ciepła woda” w kałuży duchowości. A gdzie Ocean z jego głębinami?

**L.L.P.:** W *Autobiografii mistycznej* piszesz: „nie mamy wpływu na wydarzenia z życia naszych przodków, lecz mamy bardzo duży wpływ na życie i szczęście naszych potomków, za których jesteśmy odpowiedzialni. Powinniśmy przekazywać im nie przekleństwo, lecz błogosławieństwo”. Pomijając wątpliwości, jakie wobec wpływu teraźniejszości na przeszłość rodzi fizyka kwantowa (eksperyment Wheelera z opóźnionym wyborem/wymazywaniem kwantowym), na poziomie codzienności tak to właśnie wygląda: przygotowujemy przyszłość naszym następcom. Co, wedle Ciebie, decyduje o stałym powrocie „lat ciemnych” w kulturze i w ogóle – w człowieczeństwie?



FOT. © ANDRZEJ SIKORA

□ **Pustelnik „Jano” (Jan Darecki)** urodził się 16 stycznia 1955 roku w Rzeszowie. W wieku 24. lat przerywa studia i z rodzinnego Rzeszowa wyjeżdża w Bieszczady, aby realizować swoje nietypowe i szalone marzenia. Pragnie żyć w nędzy jako człowiek bezdomny oraz jako pustelnik w lesie poza cywilizacją. Jego najgłębszym marzeniem jest odnalezienie w swym życiu Boga żywego i osiągnięcie mistycznego zjednoczenia z Chrystusem. Te marzenia realizuje w Polańczyku nad Jeziorem Solińskim.

Większość czasu spędza w pustelni na modlitwie i kontemplacji oraz pisaniu książek na tematy bieszczadzkie i mistyczne. Szczególnie zgłębia mądrość św. Jana od Krzyża oraz wschodniochrześcijańską duchowość hezychastyczną. Jest autorem artykułów mistycznych i ekologicznych. W swoim życiu potrafi pogodzić kontemplację z działaniem. Włócząc się z aparatem fotograficznym po Bieszczadach uwiecznia to, co piękne i godne ocalenia. W swoim dorobku artystycznym ma wiele wystaw oraz siedem albumów o Bieszczadach. „Jano” jest również zaangażowany na rzecz integracji bieszczadzkiego środowiska. Jest założycielem i liderem Grupy Twórców Bieszczadzkich „Hordovina”, skupiającej elitę intelektualną i artystyczną Bieszczadów. Integracji służą również organizowane przez niego *Bieszczadzkie Złoty Leśnych Ludzi*, zwane potocznie *Złotami Zakapiorów*.

Decyduje zgoda na totalną wolność, a totalna wolność to tak naprawdę zniewolenie.

**L.L.P.:** W dniu Katastrofy Smoleńskiej napisałeś: „A [...] czy sami Polacy wyciągną z tej tragedii jakieś głębsze wnioski, czy zechcą współistnieć w zgodzie i we wzajemnym szacunku? Niestety, nie wierzę w taką przemianę, podobnie jak nie wierzyłem w nią po śmierci Jana Pawła II. Minie smutek, opadną emocje i ponownie zacznie się walka”.

**Od tego dnia minęło ponad dziesięć lat. W życiu narodu to niewiele, w życiu jednostek – całkiem dużo. Czy podtrzymałbyś dzisiaj swoje zdanie z kwietnia roku 2010?**

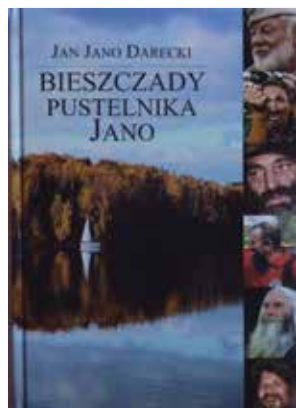
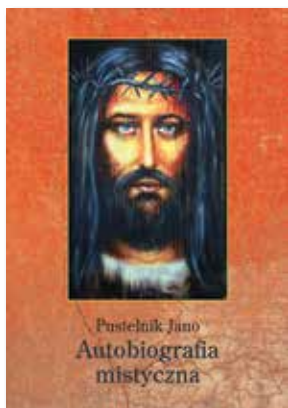
Niestety tak, walkę widać gołym okiem. I tu pojawia się problem, o którym już mówiłem, problem wypływającej z nas agresji – zawsze znajdziemy sobie jakieś wytłumaczenie, jakieś chore alibi...

**A.S.:** Za przemyślenia dzięki, oby druga część *Osobowości...*, nad którą zaczynasz właśnie pracę, przyniosła co najmniej taki sam ładunek intelektualno-emocjonalny, jak pierwsza.

Z Pustelnikiem „Jano” rozmawiali

LECH L. PRZYCHODZKI & ANDRZEJ SIKORA ■

Cytaty z książki: *Autobiografia mistyczna*, Wydawnictwo Norbertinum, Lublin 2014.





## Ojcie, któryś zginął zastrzelony

Ojcie, któryś zginął zastrzelony  
jak tysiące innych  
w piekle radzieckiego Charkowa  
za to, że istnieliście  
i nie chcieliście przejść  
na obcą stronę  
by służyć nie ojczyźnie  
a czerwonym bandytom

sześćdziesiąt lat musieliście czekać  
by wasze szczątki znalazły spokój  
w podcharkowskim lesie już wolnej Ukrainy  
w łagodnym szumie drzew ptasim świergocie  
gdzie podziemny dzwon z cicha  
do snu was kołysał

Nieraz i ja w snach was odwiedzałem  
prowadząc tam i matkę swoją  
która do śmierci czekała aż wrócisz ojcie  
która wieczorami dwa krzyże na mym czole kreśliła  
jeden za ciebie drugi we własnym imieniu  
tam do późnego świtu zostawiałem  
ją z ojcem  
by nacieszyli się sobą

Teraz jednak  
po upływie następnych lat dwudziestu  
szaleńczy pogrobowiec Stalina  
znów was ze snu zrywa  
krwiożerczo atakując Charków, Kijów, całą Ukrainę  
co nie chciała być częścią zbrodniczego imperium  
czotgi gąsienicami kłusają ziemię, w której leżycie  
żołdacy ją depczą wśród grzmotu bomb i świstu rakiet  
cały Charków zmienia się w ruinę  
leje się krew i płoną domy  
wśród drzew trzepoczą się ludzkie jęki  
a słońce krwawo zachodzi na Wschodzie  
cały Wschód w krew się zamienia  
cały Wschód we krwi tonie

Tylko on władca Kremla jeszcze nie wie  
że gniew niewinnie zgładzonych  
straszliwszy jest nawet od gniewu żywych  
oni wyjdą z grobów wichrem błyskawicą  
niepodległą armią duchów  
i nie pozwolą by ktoś znów plugawił  
ich charkowskie groby  
ujarzmił wolną Ukrainę

KONRAD SUTARSKI  
2 marca 2022



# Mój Ojciec cz. II

FOT. © MARCIN KIELBUS / MUZEUM KATYŃSKIE

■ KONRAD SUTARSKI



Od lat mieszkam na Węgrzech, w Budapeszcie. Przed laty, 16 czerwca 1989 roku, uczestniczyłem w uroczystym pogrzebie premiera Rewolucji 1956 – Imrego Nagya i jego współtowarzyszy, skazanych w 1958 roku przez reżim Kadara na karę śmierci i niewinnie straconych oraz pogrzebanych w bezimiennych grobach. Pogrzeb ten, zorganizowany na jednym z najważniejszych placów miasta – Placu Bohaterów, stał się wielką, antykomunistyczną manifestacją ludności.

Z przemówień wygłoszonych wówczas, szczególnie utkwiło mi w pamięci żądanie ujawnienia nazwisk osób winnych represji i zbrodni za udział w powstaniu. Chodziło o decydentów, sprawców organizujących polityczne procesy i wydających wyroki kar więzienia i śmierci – były one bezlitośnie wydawane i wykonywane do 1961 roku. Myślałem wtedy: ludzi, odpowiedzialnych za cierpienia i śmierć niewinnych należy rzeczywiście wskazywać.

Zbrodniarze z Katynia, a także odpowiedzialni za śmierć jeńców Starobielska i Ostaszkowa, też muszą zostać ujawnieni. Jak ich jednak karać i napiętnowywać, by nie stać się jednocześnie tak samo bezdusznymi i okrutnymi jak oni?!

Jeszcze do 1990 roku nie były znane właściwie żadne inne, nowe fakty. Ten okrutny, zbiorowy mord utrzymywany był przez państwo sowieckie w pełnej tajemnicy przez całe dziesięciolecie. Był to temat tabu na całym obszarze Europy Wschodniej i Środko-

wej, we wszystkich krajach uzależnionych politycznie i militarnie od komunistycznego imperium ZSRR. Za poszukiwanie i ujawnianie faktów, za wzmiankowanie o radzieckiej winie groziła kara ciężkiego więzienia, wywózka do łagrów bądź kara śmierci, nawet i potajemnie dokonywana. Dlatego w 1944 roku wyemigrował z Węgier – jeszcze przed nadejściem frontu – prof. Ferenc Orsós, wiedząc, że będzie poszukiwany przez NKWD. Inny członek Międzynarodowej Komisji Lekarskiej, bułgarski uczyony – prof. Marko Antonow Markow – który nie opuścił Bułgarii, został po wojnie, w 1946 roku, zmuszony do publicznego odwołania wyników swoich badań katyńskich, poczynionych w 1943 roku, i ogłoszenia, że sprawcami zbrodni byli nie Sowietzi a Niemcy.



Pod koniec lat 80. stosunki polsko-radzieckie stawały się – pod warstwą oficjalnych uprzejmości dyplomatycznych ostatniego rządu Polski Ludowej, a szczególnie nowego, solidarnościowego polskiego rządu premiera Tadeusza Mazowieckiego – coraz bardziej napięte, bo na próżno ekipa Gorbaczowa już od pięciu lat reformowała swój kraj (dokonując tzw. pierestrojki), w sprawie katyńskiej nadal stosowała szczerłą cenzurę, jakkolwiek istniała ołbrzymia potrzeba dotarcia do radzieckich archiwów. Wszak ani Polakom, ani całemu moralnemu światu, nie wystarczyły dwie, sprzeczne ze sobą, wersje zbrodni, popełnionej na jeńcach obozu kozielskiego. Chociaż dalszej części okrutnej prawdy można było domyślać się już na podstawie dotychczasowych faktów, potrzebna była jeszcze prawda cała, ostateczna, także o jeńcach ostaszkowskich i starobielskich.

Potrzebna była ona chociażby po to, aby wiedzieć, gdzie leżą zmarli, aby można było zapewnić im wreszcie odpoczynek w ziemi, która zostanie poświęcona.

Lody zaczęły pękać wiosną 1990 roku. 13 kwietnia, w 47. lat po katyńskim odkryciu, władze radzieckie przyznały – za pośrednictwem agencji TASS – że mordu „na około 15. tysięcy” polskich oficerów dokonały organa NKWD, zaś I sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow przekazał prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Wojciechowi Jaruzelskiemu spisy nazwisk osób wywiezionych z trzech obozów oficerskich (Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk), których nazwy znane były światu już od pierwszych lat wojny. Oświadczył on wtedy Jaruzelskiemu, że „niełatwo mówić o tej tragedii, ale jest to konieczne”, jednak danych o sprawcach zbrodni ani o miejscach egzekucji i pochówku ofiar nie podał.

W tej sytuacji rozpoczęły się starania polskiej Prokuratury Generalnej, naciskanej przez działający w Polsce od 1979 roku (do 1989 nielegalnie) Instytut Katyński oraz przez Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich, o zgodę władz radzieckich na ekshumację. Zgodę Polska uzyskała w roku 1991, a następnie także od Rosji i Ukrainy, a więc krajów powstałych na szczątkach ZSRR w końcu tego samego roku. Istniejący wówczas do dyspozycji czas oraz możliwości techniczne były wystarczające na przeprowadzenie badań jedynie w odniesieniu do części grobów. Prace ekshumacyjne pod Charkowem odbyły się na przełomie lipca i sierpnia, a w Miednoje w 2. połowie sierpnia. Podobnie jak w Katyniu, tak i w dwóch nowych miejscach wydobyto dużą ilość dowodów rzeczowych, będących analogicznymi świadectwami jak katyńskie w 1943 roku.

ciąg dalszy na s. 24 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 23

O prawdę dobijali się nie tylko Polacy. Starali się dotrzeć do niej i mieszkańcy Kraju Rad: historycy (m.in. Natalia Lebediewa), czy też – w ogromnej mierze – zrodzony w 2. połowie lat 80. ruch społeczny „Memoriał”, który postawił sobie za cel odkrywanie i dokumentowanie zbrodni systemu stalinowskiego. Dla sprawy polskiej szczególne znaczenie miało powstanie w 1988 roku polskiej sekcji „Memoriału”, ponieważ ona przyczyniła się do szybszego rozszyfrowania tajemnicy losu jeńców starobielskich i ostaszkowskich. Nowe wieści zaczęły stamtąd docierać do Polski od połowy 1990 roku, a pochodziły m.in. z ust milczących uprzednio świadków, jak też z obwodowych komitetów KGB (Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, istniejący od 1954 roku jako prawny spadkobierca NKWD). Rekonstrukcji wypadków sprzed 50. laty udało się dokonać wykorzystując i tę pomoc.

Data 13 kwietnia 1990 roku, stanowiąca punkt zwrotny w badaniach sprawy katyńskiej jest mi również osobiście szczególnie pamiętna. Jeszcze w 1989 roku uzgodniłem w Krakowie – dzięki tamtejszemu wybitnemu historykowi, Stanisławowi Marii Jankowskiemu, będącemu członkiem istniejącego od 1979 roku nielegalnie Komitetu Katyńskiego w Polsce – że sporządzoną w tym mieście katyńską dokumentalną wystawę fotograficzną przewieziemy do Budapesztu oraz omówiłem z dyrektorem Budapeszteńskiego Muzeum Historycznego Sándorem Bodó jej wystawienie w murach tegoż muzeum. W początkach roku 1990 zaczęły się prace przygotowawcze ekspozycji, ale w międzyczasie otrzymałem telefon z Ministerstwa Kultury, „z dobrymi radami”, aby planowane na 27 kwietnia otwarcie wystawy odłożyć na czas późniejszy, bo „jeszcze nie pora”. Pomimo owych ostrzeżeń, przywiozłem do Budapesztu pociągiem, w tekach, materiał ekspozycji i został on w Muzeum, na czas zaadoptowany. Publiczne otwarcie (pierwsze na Węgrzech i jedno z pierwszych w Europie) odbyło się już, na szczęście, bez przeszkód, w zaplanowanym terminie, przy czym wystawę tę o nazwie *Katyni áldozatok* (Katyńskie ofiary) wzbogaciliśmy jednodniową polsko-węgierską konferencją na temat Katynia. Przewodniczył jej późniejszy marszałek Parlamentu RW – György Szabad, a jednym z referentów był – przysły minister pierwszego niezależnego rządu Węgier – Géza Jeszenszky. W tym, że otwarcie ekspozycji odbyło się bez żadnych przeszkód dopomogła największa niespodzianka wystawy, jaką okazało się radzieckie wyznanie winy, które nastąpiło tuż przed jej otwarciem.

Drugim, najbardziej istotnym punktem zwrotnym w procesie wyjaśniania sprawy



katyńskiej oraz dochodzenia pełni prawdy był fakt przekazania prezydentowi RP Lechowi Wałęsie w Warszawie (14 października 1992), przez specjalnego wysłannika pierwszego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, kopii najważniejszych, a jednocześnie najbardziej dotychczas utajnionych, archiwalnych dokumentów politycznych, znajdujących się w tzw. teczce specjalnej nr 1, do której dostęp posiadał jedynie każdorazowy I sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Wśród przekazanych dokumentów znajdowała się przede wszystkim decyzja Biura Politycznego KC WKP(b), z 5 marca 1940 roku, podpisana przez Stalina, Woroszyłowa, Mołotowa, Mikołajana (z dopiskiem także „za Kalinina i Kaganowicza”) z nakazem rozstrzelania (bez wyroków sądowych) 14 700 polskich jeńców wojennych znajdujących się w obozach oficerskich (Kozielec, Ostaszków, Starobielsk, na terenach właściwej Rosji i Ukrainy) oraz 11 000 osób przebywających w więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi (razem 25 700; według późniejszych danych ponad 22 000). Wniosek tej decyzji został sporządzony przez szefa NKWD ZSRR Ławrentija Berię. Jelcyn w ten sposób wskazał na głównych sprawców zbrodni. Poza tym okazało się, że poza trzema znanymi już z nazwy obozami, istniały także inne obozy dla polskich jeńców, w zachodnich częściach Ukrainy i Białorusi.

Ekshumacje i inne badania śledcze początków lat 90. wykazały, że oficerowie starobielscy przewiezieni zostali transportami kolejowymi do Charkowa i tam rozstrzelani w podziemiach gmachu obwodowego komitetu NKWD. Zwłoki ich, przewożono następnie krytymi ciężarówkami do podcharkowskiego leśnego terenu wypoczyn-

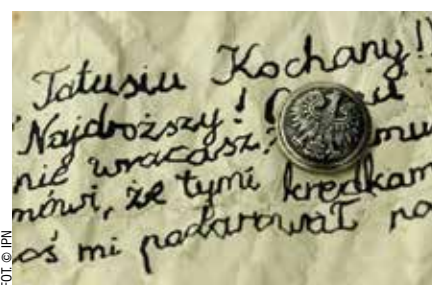
Otwarcie wystawy katyńskiej na Górze Zamkowej w Budapeszcie w kwietniu 1990 roku; z prawej strony autor FOT. ARCHIWUM K. SUTARSKIEGO

kowego NKWD, w pobliże wsi Piatichatki i tam, w masowych grobach grzebano. W prasie i w innych mediach co rusz ukazywały się przy tym nowe, nieznane wcześniej szczegóły, będące m.in. zeznaniami świadków owych ponurych wydarzeń.

„Ja Iwan Iwanowicz Dworniczenco [...] podjąłem pracę jako kierowca [...]. Nasz garaż mieścił się [w Charkowie – KS] przy ulicy Puszkina 41, naprzeciw był garaż NKWD. Często rozmawiałem z kierowcami, którzy tam pracowali. Szczególnie z jednym, którego nazywali Oleksij. Miał 30 lat i był już całkowicie siwy.

Przed samą wojną [której rozpoczęcie datuje się w Związku Radzieckim na dzień najazdu wojsk hitlerowskich na ZSRR, a więc na 22 czerwca 1941 roku – KS] Oleksij opowiadał mi, że woził do lasu w Piatichatkach zwłoki rozstrzelanych. Ludzi zabijano w gmachu NKWD przy ulicy Czernyszewskiego, dokąd Oleksij wjeżdżał swoją ciężarówką. Zwłoki wrzucano na ciężarówkę pokotem i przykrywano brezentem. Wśród rozstrzelanych było dużo wojskowych, Polaków [...]. Mój zmiennik Wasyl pokazał mi kiedyś, gdzie grzebią rozstrzelanych – nieco dalej od dacz obkomu [...]. W głąb lasu, do grobów, prowadziła droga zwana przez miejscową ludność «czarną drogą». «Czarna droga» jeszcze istnieje. [...] Wskazał ją [...] leśniczy. Jest z tego pokolenia, które [...] przestało się bać. [...] Wtedy, przed pół wiekiem, wysypano ją po wierzchu – czarnym żużlem. [...] teren był otoczony wysokim parkanem [...]. Od wewnątrz patrolowali uzbrojeni strażnicy, w asyście wielkich wilczurów. Po nocach psy wyły tak, że słyszała je ludność okolicznych wsi.

Za sprawą szczególnego przemieszczania się warstw gleby o różnych właściwościach – piachu, torfu, czarnoziemiu – w miarę lat, pod wpływem wody i zmian temperatury [...] ziemia wyrzuca na powierzchnię to, co kiedyś w niej próbowano ukryć.





Sprawne i skrupulatne NKWD zaniedbało nigdyś analizy gleboznawczej – i teraz ziemia ujawnia dowody zbrodni. Ludzie często widywali tu na powierzchni kości ludzkie, czaszki, elementy umundurowania. No i chłopcy ponoć do dziś znajdują guziki, orzełki” (za „Gazetą Wyborczą”, 29 V 1990, autor L. Bójko).

Podobny los spotkał i trzeci obóz. Polaków z Ostaszkowa przewożono wiosną 1940 roku do Kalinina (w nowych czasach miastu przywrócono historyczną nazwę Twer) i rozstrzeliwano w budynku NKWD (obecnie mieści się tam Akademia Muzyczna!). Zwłoki wywożono w okolice wsi Miednoje, gdzie znajdował się teren wypoczynkowy kalinińskiego NKWD i tam zakopywano je w obszernych grobach masowych.

O braku ludzkich uczuć u oprawców świadczyć może wstrząsające odkrycie, jakiego dokonano w Miednoje w 1991 roku. W ścianie wykopu natrafiono na resztki budowli, która – jak udało się ustalić – była kiedyś wychodkiem, a pod jej fundamentem znaleziono szczątki ludzkie. „Czy to mało – skrytobójczo zamordować? Ciała zamordowanych zakopać pod osłoną nocy i to na terenie wypoczynkowym? – pisał E. Baran w „Biuletynie Katyńskim” (Kraków, nr 1992/1). – Czy musiano jeszcze na tych kościach budować szambo?”.

W 1994 roku otrzymałem z węgierskiej telewizji satelitarnej „Duna” (gdzie wówczas pracowałem) propozycję nakręcenia dokumentalnego filmu o Katyniu, wyświetlanego później pt. *Az embertelen földön* (Na nieludzkiej ziemi). Było to dla mnie cudowne zrządzenie losu, bądź też – mówiąc inaczej, ustami chrześcijanina – niezwykle, niespodziewany dar Boży, że będę mógł znaleźć się tam, gdzie ojciec mój stawiał ostatnie kroki, gdzie zadawano mu cierpienia, będące bólem i cierpie-

niem całego jenieckiego obozu, całego polskiego narodu i gdzie będę mógł połączyć się z nim myślami w przycharkowskim lesie teraz, kiedy nie boli go już nic. Jednocześnie była to szczególna okazja całościowego przedstawienia Węgrom katyńskiej sprawy, tej rany jęczącej duszy polskiego narodu, a przy tym objętej nakazem milczenia przez całe dziesięć lat, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie.

Wraz z ekipą telewizyjną pojechałem do Polski, do Rosji i na Ukrainę. Byliśmy w warszawskim Muzeum Katyńskim, w Kozielsku, Smoleńsku i katyńskim lesie-cmentarzu; byliśmy w Moskwie, gdzie w złowieszczym, centralnym gmachu Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosyjskiej Federacji (wcześniej radzieckiego NKWD, potem KGB) o nazwie Łubianka znajdował się dawniej centralny arest śledczy i mordowano ludzi; udaliśmy się też do Charkowa – gdzie w podziemiach ponurego budynku dawnego NKWD zabity został i mój ojciec. W organizacji katyńskiej wyprawy dopomógł mi wspomniany już wcześniej

krakowski historyk Stanisław Maria Jankowski, który stał się też merytorycznym doradcą ekipy.

Pomimo postępu wspólnych działań rosyjsko-polskich, już wówczas – tam na miejscu, w Moskwie, w trakcie przeprowadzanych przeze mnie wywiadów – można było zauważyć istotne różnice poglądów na temat dalszych potrzeb w sprawie Katynia. Naczelna Prokuratura Wojskowa Rosji była zda-

Dokumenty Biura Politycznego KC WKP(b) z decyzją przywódców Rosji bolszewickiej o zgładzeniu polskich jeńców wojennych, 5 marca 1940 FOT. RGASPI, MOSKWA

nia, że śledztwo zostało zakończone, gdyż sprawcy morderstwa zostali rozpoznani, wiadomo też gdzie znajdują się groby ofiar trzech głównych obozów jenieckich, więc wystarczy jedynie administracyjne przekazanie stronie polskiej już znanych dokumentów. W przeciwieństwie do tego Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej – w porozumieniu z polską Prokuraturą Generalną – wychodziła

z założenia, iż procesu śledczego nie wolno zamknąć do czasu, póki nie zostanie odnaleziony i przekazany Polsce wykaz polskich ofiar (w dużej mierze wojskowych), zamordowanych przez NKWD na terenie Białorusi (prawie 4 tys. osób), a która to lista musiała znajdować się również w moskiewskiej centrali NKWD i dopóki nie okaże się, gdzie ci ludzie zostali zabici i gdzie pochowani. Niesłychanie ważne

słowa wypowiedział wówczas – w Moskwie, do kamery – ówczesny polski konsul generalny Michał Żórawski, motywując twarde, polskie stanowisko odnośnie sprawy katyńskiej: „Kraj, który nie szanuje swoich obrońców i ich grobów, nie zasługuje na niepodległość”.

W trakcie wyprawy obserwowałem jednocześnie mentalność oraz polityczną świadomość i wiedzę mieszkańców tamtych dwóch, nadal olbrzymich i nadal nie w pełni obliczalnych krajów: Rosji oraz Ukrainy. O wynikach tych spostrzeżeń niech zaświadczą dwa – też zanotowane przez kamerę – przykłady.

Ciąg dalszy na s. 27 ▶



Modlitwa nad zbiorową mogiłą ofiar w lesie katyńskim; kłęczący ks. kan. Stanisław Jasiński wraz z przedstawicielami Polskiego Czerwonego Krzyża, 1943 FOT. INSTYTUT ZACHODNI W POZNANIU





Charków FOT. © POGRIBOW / CC BY-SA 4.0



Katyn FOT. © IPN



Miednoje FOT. © IPN

Bykownia FOT. © IPN



FOT. © FRK



□ **Polskie Cmentarze Wojenne** – taką nazwę noszą miejsca pochówku polskich jeńców wojennych rozstrzelanych wiosną 1940 roku przez NKWD. W Charkowie-Pietichatkach, Katyniu i Miednoje. Cmentarze powstały w roku 2000. W roku 2012 został otwarty czwarty cmentarz w Kijowie-Bykowni. Do dziś nie udało się w pełni wiarygodnie zlokalizować miejsca pochówku prawie 4 tysięcy polskich obywateli z tzw. „listy białoruskiej”. 22 lutego 1994 roku została podpisana umowa o grobach i miejscach pamięci ofiar wojen i represji pomiędzy Polską i Federacją Rosyjską. Miesiąc później podobną umowę – o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych – podpisaliśmy z Ukrainą. Od tego momentu, w miejscach uprzednio

zlokalizowanych rozpoczęto prace badawcze, ekshumacyjne i starania o zgodę na budowę cmentarzy. Polskie Cmentarze Wojenne na terenie Rosji i Ukrainy (włącznie z wybudowanym w 2012 r. w Bykowni) są zbudowane na jednym pomysle architektonicznym z podobnymi elementami (dzwon, tabliczki epitafijne, ołtarz, ściana pamięci), przystosowane do warunków lokalnych. Wszystkie cmentarze oprócz cmentarza w Charkowie są samodzielnymi polskimi cmentarzami wojennymi. W Charkowie cmentarz jest wspólny – sowieckich ofiar lokalnych i polskich oficerów ze Starobielska. Rodziny Katyńskie wyraziły zgodę na taki kształt cmentarza.

ISB, FRK ■



► Ciąg dalszy ze s. 25

Otóż kiedy zajechaliśmy z Charkowa do pobliskiego lasu (dawnego ośrodka NKWD), gdzie zostali zakopani w grobach masowych jeńcy Starobielska, zapytałem oprowadzającego nas miejscowego przewodnika – mieszkańca wsi Piatichatki, z którą las graniczył – człowieka w wieku poniżej średniego, który jako młody chłopak chodził, wraz z kolegami (już w latach 70.) ukradkiem do tego, nadal strzeżonego lasu, bo ziemia wyrzucała po ulewach na wierzch guziki, orzełki oraz inne, najczęściej metalowe części, pozostałości polskich mundurów wojskowych i oni zbierali je tak, jak ktoś inny zbiera powiedzmy grzyby. Szedłem z nim przez las, by wskazywał, gdzie mogą być groby.

– Jak to gdzie? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – One są tu wszędzie.

– I w was nie budzi grozy tak chodzić po nich? – zapytałem.

– Nie – zdziwił się tylko – bo niby dlaczego?!

Drugim przykładem niech będzie spotkanie w katyńskim lesie z dwoma oficerami rosyjskimi, którzy akurat byli tam prywatnie, na wycieczce. Ci dość młodzi ludzie wiedzieli, że na tym terenie leżą zamordowani polscy wojskowi i że morderstwa tego – jak powiedzieli – „dokonali nasi, to znaczy NKWD”. Na moje zapytanie, jak sądzą, czy w Katyniu leżą także Rosjanie, bądź inni mieszkańcy ZSRR, obydwaj odpowiedzieli stanowczo, że „tylko Polacy”, pojęcia zatem nie mieli, iż zabitych i pochowanych zostało tam, w katyńskim lesie, w bezimiennych grobach – od lat 20. począwszy, jak szacują miejscowi historycy – także kilkadziesiąt tysięcy osób, będących obywatelami ich kraju. Czy owi dwaj rosyjscy oficerowie mogli zatem wiedzieć, a przynajmniej domyślać się, że łączna ilość ofiar komunizmu, osób zabitych, zamordowanych, zamęczonych i zagłodzonych na terenach ZSRR, począwszy od 1917 roku, wynosi – według szacunku historyków (z *A kommunizmus feketé könyve – Czarnej księgi komunizmu* – pracy zbiorowej autorstwa Stéphane’a Courtois i innych, Budapeszt 2000, s. 12) – około 20 mln, łącznie zaś z deportowanymi, więzionymi, trzymanymi w obozach pracy przymusowej i trwale okaleczonymi fizycznie, psychicznie oraz materialnie – uważam – może stanowić liczbę nawet trzy-, czterokrotnie większą.

Dzięki demokratycznym zmianom, jakie nastąpiły – po rozpadzie Związku Ra-



dzieckiego – w Rosji (będącej prawnym spadkobiercą ZSRR) i na Ukrainie, prowadzone były w latach 90. dalsze badania cmentarzysk (pod Charkowem, w Katyniu i w Miednoje) dokonywane wspólnie przez rosyjską Prokuraturę Naczelną i tamtejszą Naczelną Prokuraturę Wojskową oraz polską Prokuraturę Generalną i Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, szczególnie od 1994 roku. W tym to roku Rosja i Polska podpisały też, w Krakowie, porozumienie o potrzebie utworzenia i pielęgnowania polskich cmentarzy wojskowych – miejsc wiecznego spoczynku

polskich ofiar stalinizmu. Dzięki prowadzonym wtedy pracom ekshumacyjnym zostały do 1996 roku zlokalizowane miejsca masowych grobów we wszystkich tych trzech miejscowościach.

Równocześnie w Polsce rozpisany został otwarty konkurs – o międzynarodowym zasięgu – na projekty przyszłych polskich cmentarzy wojskowych w tych miejscach. Cmentarze te zostały otwarte i poświęcone w połowie (czerwiec-wrzesień) 2000 roku. Dzięki temu zamordowani oficerowie Wojska Polskiego i policjanci, pracownicy straży granicznej, państwowi urzędnicy II Rzeczypospolitej zostali po 60. latach – przynajmniej w tych trzech miejscach – wreszcie uczczeni.

„Podstawowa koncepcja wszystkich trzech cmentarzy jest podobna, wszędzie znajdują się te same elementy: podziemny, żałobny dzwon (który gdzie indziej zwołuje donośnym głosem na modlitwę, bądź bije z wieży na trwogę – tu jest jakby uwięziony, pogrzebany; głos podziemnego dzwonu jest stłumiony, ale nie sposób go całkiem zagłuszyć; jest on przestrożą dla następnych pokoleń), ołtarz-stół ofiarny oraz ściana-brama (z nazwiskami leżących na danym cmentarzu polskich ofiar). Na każdym z tych cmentarzy utworzono także rzeźbiarsko ukształtowaną warstwę betonu, przypominającą przekrój ziemi, a pod nią wyeksponowano tabliczki z indywidualnymi inskrypcjami. Różnice między cmentarzami w Charkowie, Katyniu i Miednoje wynikają

► Ciąg dalszy na s. 28





► Ciąg dalszy ze s. 27

między innymi z różnego ukształtowania terenu, uwarunkowań geologicznych, a także wyników prac ekshumacyjnych na poszczególnych cmentarzach” (*Charków Katyń Miednoje – polskie cmentarze wojenne*, red. Andrzej Spanily, Gdynia 2000, s. 16).

Do 2000 roku powstały co prawda trzy polskie cmentarze, jednak w połowie lat 90. nastąpiło spowolnienie tempa prac, których celem miało być pełne uporządkowanie sprawy katyńskiej. Na podstawie „listy ukraińskiej” – zawierającej prawie 3 500 polskich nazwisk, którą polska Prokuratura Generalna otrzymała od państwa ukraińskiego w 1994 roku (według innych danych było to prawie 4 200 osób) – można było stwierdzić istnienie dalszych miejsc kaźni.

Przeprowadzone po 2000 roku ekshumacje w Bykowni pod Kijowem oraz dokumenty kijowskiej NKWD wykazały, że przede wszystkim tam znajduje się największe na Ukrainie (wielodziesiątysięczne) cmentarzysko, na którym chowano również zabijanych w kijowskim gmachu NKWD jeńców polskich. Tamtejsze prace ekshumacyjne nie zostały jeszcze przeprowadzone w dostatecznym stopniu.

Jeszcze trudniejsza jest sprawa morderstw popełnionych przez NKWD na Białorusi. „Lista białoruska” polskich jeńców (jako ciąg dalszy listy katyńskiej osób zgładzonych na podstawie wspomnianej już decyzji najwyższych władz ZSRR z 1940 roku), która powinna zawierać prawie 3 900 nazwisk (według innych danych prawie 4 500 nazwisk), do dzisiaj nie została



Cmentarz w Kuropatach FOT. © IPN

Polisce przedstawiona, przy czym władze Białorusi w ogóle nie reagują na polskie żądania. Istnieją mimo wszystko silne domniemania, że jeńcy ci zostali straceni w siedzibie NKWD w Mińsku i pochowani w pobliskiej miejscowości Kuropaty, gdzie grzebani byli również – jak w Katyniu, czy innych miejscach zagłady – obywatele Związku Radzieckiego, prawdopodobnie przez wiele, wiele lat, i chodzi tu o całe dziesiątki tysięcy ludzi.

Chociaż nie posiadamy jeszcze pełnej wiedzy, to już wiemy, że Katyń jako symbol zbrodni stalinowskiego systemu komunistycznego, mieści w sobie także owe dwa dodatkowe, potworne, olbrzymie miejsca zbrodni. Dlatego kiedy mówimy:

Kozielsk-Katyń, słyszymy w uzupełnieniu już nie tylko nazwy: Starobielsk-Charków-Piatichatki i Ostaszków-Kalinin (Twer)-Miednoje, ale także Kijów-Bykownia oraz Mińsk-Kuropaty – wiedząc, że zamordowani w Kijowie polscy jeńcy byli przetrzymywani na terenie „zachodniej Ukrainy”, czyli na wcześniej polskich obszarach, zagarniętych przez ZSRR w 1939 roku: m.in. było to około 900 jeńców z obozu-więzienia we Lwowie, po około 500 z Łucka, Równego i Tarnopola, 400 ze Stanisławowa oraz 200 z Drohobycza. Do Mińska na zagładę byli transportowani jeńcy więzieni w miejscowościach dawnej północno-wschodniej Polski, nazwanej przez ZSRR Zachodnią Białorusią, m.in. osadzeni w miastach Białystok, Brześć, Pińsk, Baranowicze, Wilejka.

KONRAD SUTARSKI ■



Trójjęzyczna tablica upamiętniająca ofiary zbrodni katyńskiej w stolicy Węgier; odsłonięta 29 października 2008 roku na gmachu Óbudai Árpád Gimnázium, przy ul. Nagyszombat 19 FOT. © FEKIST, ÓBUDÁN / CC BY-SA 4.0

Pomnik Męczenników Katynia w Budapeszcie, odsłonięty 8 kwietnia 2011 roku, na skwerze noszącym nazwę Parku Męczenników Katynia, obok gmachu prestiżowego Óbudai Árpád Gimnázium. Pomnik ma formę dużego, wykonanego z czarnego granitu sześcianu z wyciętymi żelaznymi elementami imitującymi drzewa; w środku bryły znajduje się instalacja świetlna. Projektanci pomnika, rzeźbiarz Géza Varga-Szeri i architekt Zoltán Varga-Szeri, całość bardzo nowoczesnego i tajemniczego w swej formie projektu opatrzyli tytułem *Zbrodnia w lesie*. Obok pomnika posadzono dwa Dęby Pamięci, upamiętniające węgierskie ofiary ludobójstwa w Katyniu: Akadara Emanuela Korompaya i Oskara Rudolfa Kuhnla FOT. © FEKIST, ÓBUDÁN / CC BY-SA 4.0





Mychajlo Chmielko, *Na zawsze razem. Traktat perejasławski z 1654 roku, 1951* FOT. DOMENA PUBLICZNA

# Skąd się wzięła Ukraina cz. 2

■ ANDRZEJ NOWAK



Kontynuując naszą opowieść, wracamy jeszcze do szczególnie tragicznego momentu, kiedy wśród Kozaków pojawiła się pokusa, by zwrócić się – przeciw Rzeczypospolitej – ku Moskwie. Owa pokusa zamieniła się w decyzję, fatalną, jaką podjął Bohdan Chmielnicki, przywódca największego z serii powstań ukraińskich. Ma ona swoją symboliczną datę i miejsce: styczeń 1654 roku, Perejasław.

Stało się to po sześciu już latach prowadzonych ze zmiennym szczęściem zmaganiach kozackich powstańców z Rzeczpospolitą. Po pierwszych sukcesach, kiedy wydawało się, że cała Korona jest u stóp Chmielnickiego i można zawrzeć kompromis na warunkach, jakie on podyktuje właśnie wybranemu królowi (Janowi Kazimierzowi), Rzeczpospolita odzyskała inicjatywę strategiczną. Zbaraż został obroniony, Kozacy z ich ówczesnymi sojusznikami, Tatarami, ponieśli klęskę pod Beresteczkiem. Podźwignęli się jednak znowu w tej beznadziejnej walce przeciwko własnej wychowawczni Rzeczypospolitej – i zadali jej kolejne, niezwykle bolesne ciosy. Kiedy ta tragiczna walka trwała już sześć lat, Chmielnicki uznał, że przetnie ją ostatecznie na własną korzyść, poddając się Moskwie. I to jest moment tragicznej lekcji w historii Ukrainy, której początkiem była rada perejasławska.

Pozwolę sobie przypomnieć, jak wyglądało to pierwsze zderzenie w historii Ukrainy, wychowanej w Rzeczypospolitej, z kulturą

„powierzenia siebie władcy” w Moskwie. Z posłami carskimi Chmielnicki porozumiewał się przez tłumaczy, co warto podkreślić, bo niektórzy myślą, że Ukraińcy i Rosjanie mają ten sam język. Tymczasem różnice językowe były duże, podobnie jak prawosławie kijowskie różniło się od moskiewskiego. Chmielnicki, zwracając się do cara z prośbą o przyjęcie Kozaczyzny pod patronat carski, zakładał – tak jak i pułkownicy, którzy go do tego upęnomocnili – że wysłannik cara, Wasyl Buturlin, zaprzysięgnie warunki autonomii wewnątrz nowego imperium carskiego. Spotkał się jednak z szokującą dla siebie i dla swoich towarzyszy pułkowników odmową. Buturlin odpowiedział bowiem: „W moskiewskim gospodarstwie przysięgają poddani, że wielkiemu gospodarowi służyć radzi i szczerze wszelkiego dobra życzyć będą, a tego, żeby w imieniu cara przysięgać, nigdy nie bywało i nie będzie, a tobie, hetmanowi, mówić o tym nie przystoi, ponieważ każdy poddany powinien wierzyć swojemu gospodarowi, a ty, hetmanie, i wojsko zaporoskie o cośie cara prosili, to macie uważać za spełnione i ufać wielkiemu gospodarowi, jak gdyby przysięgł na Ewangelię, a wielki gospodar będzie was dzierzył w miłościwej łasce, opiece i od wrogów was obroni”.

To był szok dla Chmielnickiego. Liczył, że będzie tak, jak wcześniej z królem, tak teraz będzie układał się z carem, tymczasem przedstawiciel cara powiedział mu jasno: u nas tego nie było, nie ma i nie będzie, żeby władca wchodził w jakiegokolwiek układy ze swoimi niewolnikami. Jesteście odtąd niewolnikami cara – to była istota komuni-

katu, który Ukraina usłyszała w momencie, w którym wybrała Moskwę. Niecała Ukraina wybrała Moskwę – wybrał ją Chmielnicki, co warto podkreślić. XIX-wieczny poeta romantyczny Taras Szewczenko, największy poeta ukraiński, którego w pewnym sensie można nazwać odpowiednikiem naszego Mickiewicza, dla Ukraińców na pewno taką rolę odgrywa, napisał, że gdyby matka Chmielnickiego wiedziała, że jej syn zawrze kiedyś ugodę w Perejasławiu z Moskwą, zadusiłaby swoje dziecko w kołysce. To jest reakcja wiernego syna Ukrainy na skutki ugody perejasławskiej – na pełne, totalne zniewolenie Ukrainy.

Podobnie jak po wiekach Szewczenko, zareagowała od razu, w 1654 roku, bardzo duża część otoczenia Chmielnickiego. Był wśród nich znany z Sienkiewiczowskiej *Trylogii* pułkownik Iwan Bohun – bo to postać historyczna, jeden z najważniejszych przywódców kozackich tego czasu. Ten walczący przeciwko Polakom przez wiele lat z istic kozacką brawurą wódz na wieść o tym, co Chmielnicki usłyszał od carskiego reprezentanta, powiedział: „Ja takiemu władcy służyć nie będę”. Zbuntował się i podobnie jak kilku innych pułkowników odmówił posłuszeństwa carowi. Oni byli przyzwyczajeni do wolności i dalej chcieli jej bronić. Pułkownik Polikarp Tucha powiedział: „Umrę, a zostanę Kozakiem” i rzeczywiście z siedmioma tysiącami Kozaków rzucił się na wojsko Chmielnickiego, którego wcześniej był ważną częścią, i na wojsko rosyjskie.

► Ciąg dalszy na s. 30



► Ciąg dalszy ze s. 29

W starciu tym, w 1654 roku, poniósł śmierć razem ze swoimi wiernymi Kozakami.

W ogromnym Kijowie, który liczył wtedy kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, na wierność carowi przysięgło zaledwie 460 osób. Kijowianie nie chcieli żadnej ugody, a zwłaszcza żadnego poddania Moskwie. Co więcej – i to trzeba podkreślić jako ważny aspekt, którego czasem sobie nie uświadamiamy – ówczesny metropolita kijowski, czyli głowa prawosławia kijowskiego, Sylwester Kossow, był zdecydowanie przeciwny poddaniu Moskwie. Uważał, że moskiewskie carosławie nie jest prawdziwym prawosławiem, że jest półdzikie, podporządkowane całkowicie despotycznej władzy i stanowi zaprzeczenie chrześcijaństwa. Odrzucał żądanie posła carskiego Wasyla Buturlina, by zaprzysiąc wierność carowi.

**B**unt wobec nowej sytuacji, w której Ukraina miała okazać się poddana cara, będzie odtąd stale towarzyszył konsekwencjom ugody perejasławskiej. Dla Moskwy ta umowa miała być na wieczność, bo była dla niej korzystna. Aż do dziś Rosja się na tę umowę powołuje, przypominając, że przecież wielki Bohdan



Franciszek Smuglewicz, *Bitwa pod Beresteczkiem* (1651), przed 1797 r. „Tych [polskich rycerzy] w polerownej król Kazimierz zbroi, / Aż gdzie w najdalszym rogu hufiec stoi, / Objężdża, wiadom Marsowej praktyki, / Sporządza szyki” – sławił męstwo Jana Kazimierza Wespazjan Kochowski, uczestnik bitwy pod Beresteczkiem FOT. Z. RESZKA / MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

Chmielnicki zaprzysiął carowi wierność w Perejasławiu, sam prosił o przyłączenie Ukrainy do Rosji... Moskwa całkowicie pomija oczywiście w tej interpretacji, a raczej w tej propagandzie, aspekt trwającego od samego początku buntu przeciwko Rosji, przeciwko owemu zniewoleniu, które wynikało z ugody perejasławskiej.

Cztery i pół roku później, we wrześniu 1658 roku, przychodzi jednakże kolejny moment tej historii – który my wspominamy z dumą, żalem i zadumą. Jest to ugoda hadziacka, która zostaje zawarta wtedy, gdy Kozacy doświadczyli już poddaństwa Moskwie. Niektórzy w zdradzie kozackiej wolności zabrnęli tak daleko, że nie mogli się cofnąć. To zresztą tragiczny dylemat. Chmielnicki, choć zrozumiał, że pod Moskwą żadnej wolności Ukrainy nie będzie, nie mógł się już cofnąć. Tak daleko zaprowadziła go nienawiść wobec Polski. Umarł w 1657 roku, a jego następcą, mającym opiekować się hetmańskim tronem do czasu pełnoletności syna Chmielnickiego, Juraszki, został Iwan Wyhowski. Był to dzielny Kozak, wychowanek kolegium kijowskiego, biegle władający polskim i łaciną szlachcic, herbu Abdank. Nie zapomnijmy, że ci, którzy tworzyli elitę kozacką, to była szlachta. To byli ludzie ukształtowani według tego samego wzoru co polska czy litewska szlachta, byli kształceni w tych samych kolegiach jezuickich, a czasem w jedynej prawosławnej akademii na świecie, jaka istniała w Kijowie – Akademii kijowsko-mohylańskiej, tak jak właśnie Iwan Wyhowski. Po tragicznych doświadczeniach zrozumiał on, że czas najwyższy naprawić popełnione błędy

i wrócić do Rzeczypospolitej. Dlatego właśnie na radzie pułkowników i przedstawicieli mas kozackich w Hadziaczu chętnie wysłuchał wystąpienia komisarza polskich wysłanych przez króla Jana Kazimierza, by zawrzeć nową trwałą, równo-



Iwan Wyhowski (?-1664) – szlachcic herbu Abdank, pisarz wojska zaporoskiego, następnie hetman kozacki, aż w końcu wojewoda kijowski, starosta lubomelski i starosta barski, był zwolennikiem powrotu do polityki sojuszniczej z Rzeczpospolitą FOT. DOMENA PUBLICZNA

prawną ugodę – jak wolni z wolnymi, jak równi z równymi między Koroną, Litwą i Rusią. Pozwolę sobie zacytować piękną przemowę polskiego komisarza Stanisława Bieniewskiego wygłoszoną wtedy do Kozaków:



Pomnik „Na zawsze razem” w Perejasławiu, odsłonięty w 1979 r.

FOT. СЕРГІЙ ВЕНЦЕСЛАВСЬКИЙ, 2019 / СС BY-SA 4.0



„Od dziesięciu prawie lat walczą o tę Ukrainę Polacy i Moskale. Polacy zwą ją swoim płodem, własnym członkiem. A Moskale cudzą rzecz swoją własnością. Ginie kraj nasz krwią zalany, pustoszącą pola. Wreszcie z Bożej łaski tak się stało, że wy poznając omyłkę, a my przebacząc błędy wasze, skłoniliśmy się do łagodności. A dobrotniwy król i ojciec pragnie, abyście porzuciwszy jarzmo niewoli do starodawnej wolności wrócili. Niech kwitną obrządki cerkiewne, miasta handlem, kraj pokojem. Doświadczylście rządów polskich i moskiewskich, skosztowali doli i niedoli. Mówiliście, że źli Polacy, a teraz pewnie powiecie, że Moskale gorsi. Co zachęcało lud ruski do Moskwy? Wiara? Ale Moskal ma odmienną i tę gwałci i tak wierzy, jak Moskal rozkaże. Czterech patriarchów święci ojcowie postanowili, ale car postanowił piątego pod swoim zwierzchnictwem, czego sobory ekumeniczne zrobić nie chciały. Wy duchowieństwo szanujecie z odmienną jurysdykcją Kościoła, a car świecki potentat według woli swej kieruje, metropolitów zrzuca i osadza, a jak postępuje w świeckich sprawach, tegoście za polskiego panowania nie doświadczyl. Musicie słuchać surowych rozkazów, dawniej wybieraliście starszyznę, teraz są tacy, którzy wam narzucają swoich niewolników, a tych, którzy wam się podobają, chcą życia pozbawić. Wszystkie dochody bierze car dla siebie, nie pozwala biednemu Kozakowi pić gorzałki, miodu ani piwa, każe wam nosić moskiewskie kozuchy i łapcie, starożytnie zwyczaje chce gubić i was za ledwie za ludzi uważa, rad by wam języki podcinać, abyście nie mówili,



Wojna Rzeczypospolitej i Rosji, 1654-1667 RYS. HOODINSKI / CC BY-SA 3.0

i oczy powykuwać, abyście się nie dziwili i dzierży was, dopóki nas Polaków krwią waszą nie zwojuje, a potem was za Białe Jezero przeniesie, a Ukrainę zasiedli swymi moskiewskimi chłopami. Ratujcie się, póki czas, jednajcie się z nami, ratujmy wspólna ojczyznę, która się odzywa do was: jam was narodziła nie dla Moskwy, ale dla Polski wychowała, żywiła, bądźcie dziećmi moimi, a nie wyrodkami”.

To piękne przemówienie zostało przyjęte z entuzjazmem przez Kozaków zgromadzonych w Hadziaczu. Umowa została zaakceptowana wstępnie, a Sejm Rzeczy-

pospolitej, po długich deliberacjach, za-  
twierdził ją. Był rok 1658. Niestety, za dużo  
krwi się już przelało, „nienawiść wzajemna  
zatrąla krew pobratymczą” – jak to zapi-  
sał Henryk Sienkiewicz. Rzeczpospolita  
była już wtedy zbyt wyczerpana wojnami,  
potopem szwedzko-moskiewsko-sied-  
miogrodzkim, niszczącym ją bardziej niż  
I i II wojna światowa razem wzięte. To  
doświadczenie zniszczenia i wyniszczenia  
sprawiło, że Rzeczpospolita nie była już  
wtedy w stanie zrealizować wspaniałej wi-  
zji umowy hadziackiej. Z kolei rozognione  
ambicje, rzucony przez Moskwę podział  
wewnętrzny wśród Kozaków, elity ukraiń-  
skiego narodu, który się wtedy rodził,  
zaowocował najstraszliwszym dla Ukra-  
iny podziałem samego kraju, państwa.  
Ktoś chciał być hetmanem pod Moskwą,  
a ktoś inny być wierny hadziackiej umo-  
wie z Polską. Następuje wtedy podział  
na dwa hetmanaty: zachodni i wschodni,  
podporządkowany Moskwie. Wewnętrznie  
podzieleni Kozacy także nie byli gotowi  
całą swoją istniejącą jeszcze siłą poprzeć  
odnowionej unii z Rzeczpospolitą. Tak  
dochodzi do tragedii podziału Ukrainy.

**W** 1667 roku Kijów przechodzi pod  
panowanie moskiewskie formalnie  
na podstawie układu z Rzeczpospoli-  
tą. Niby tymczasowo, na dwa lata, ale  
Moskwa raz wziętego Kijowa nie odda  
i utrwali panowanie nad „macierzą  
miast ruskich” na długie stulecia. Ko-  
zacy jednakże nie zapomnieli o szkole  
Rzeczypospolitej, o swojej wolności.



Rzeczpospolita po rozejmie andruszowskim w 1667 r. RYS. MACIEJ SZCZEPAŃCZYK / CC BY-SA 3.0

**Ciąg dalszy na s. 32 ▶**





Pierre-Denis Martin, *Bitwa pod Połtawą (1709)*, 1726 FOT. DOMENA PUBLICZNA

### ► Ciąg dalszy ze s. 31

Pięć lat po traktacie andruszowskim, który podzielił Ukrainę na część zachodnią, przy Polsce – oraz wschodnią, którą Rzeczpospolita oddała Moskwie, urodził się Filip Orlik, syn polskiej szlachcianki, Małachowskiej z domu, i czeskiego katolika Orlika. Sam wybrał w służbie kozackiej prawosławie i stał się wybitnym rzecznikiem praw narodu ukraińskiego u boku starszego od siebie hetmana wschodniej Ukrainy, Iwana Mazepy. Mazepę opisywał Byron, niemieccy romantycy, poświęcał mu swoją muzykę Liszt. Opisuje go kultura europejska jako symbol buntu, może trochę dzikiego, nieokiełzanego, ale reprezentującego wolność przeciwko zniewoleniu, które symbolizuje Rosja i Piotr I. Zastępcą tego właśnie zbuntowanego przeciw Piotrowi Mazepie jest Filip Orlik, który wykształcił się w kolegium jezuickim w Wilnie i który chyba bardziej niż ktokolwiek przed nim wśród elit kozackich reprezentował świadomość dziedzictwa Rzeczypospolitej.

Walka o niepodległość Ukrainy stoczona przeciwko Piotrowi przez Mazepę i Orlika zakończyła się klęską w bitwie pod Połtawą w 1709 roku. Było to, jak już wspomniałem, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie 310 lat wcześniej nad Worskłą wielki książę Witold przegrał walne starcie z siłami mongolsko-moskiewskimi. Ta bitwa pod Połtawą, w której pokonany został król szwedzki Karol XII i hetman kozacki Iwan Mazepa, uczyniła z Piotra, z Moskwy, z Rosji imperium panujące nad całą wschodnią Europą. Mazepa zmarł wkrótce potem – i wtedy ten upadający sztandar wolności Ukrainy dźwignął dalej hetman Filip Orlik.

Ukraińcy szczerą się tym, że wydany przez niego wkrótce po klęsce akt jest pierwszą w Europie konstytucją. Tak nie jest, bo nie był uchwalony przez żadne ciało reprezentatywne, nie spełniał wymogów nowoczesnej konstytucji. Myślę jednak, że można z pełnym uznaniem odnieść się do tego dokumentu z 1720 roku, porządkującego wolności kozackie w duchu wolności Rzeczypospolitej, a przede wszystkim do wydanego dwa lata później przez hetmana Filipa Orlika *Wywodu praw Ukrainy – manifestu do państw europejskich*. Zostały w nim zapisane zdanie, które warto wciąż cytować, przypominać – sobie i możliwym tego świata: „Kozacy mają za sobą prawo ludzkie i naturalne, którego jedną z głównych zasad jest: naród zawsze ma prawo protestować przeciwko uciskowi i domagać

się przywrócenia tego, co niesprawiedliwie i przewagą siły było od nas zabrane. Międzynarodowe prawo wymaga udzielania pomocy w skrajnych przypadkach, gdy obywatele są gnębieni. Jest to słuszne, sprawiedliwe i zgodne z obowiązkiem nałożonym przez chrześcijaństwo i nawet humanizm, przyczyniać się do odbudowania państw cierpiących opresję tylko dlatego, iż uwierzyły w sojusz”.

Te słowa naprawdę zostały napisane w 1712 roku, choć brzmią tak, jakby napisano je w 2022 roku. Ukraińcy uwierzyli w układ, zwany traktatem budapesztańskim, kiedy w 1994 roku zrezygnowali z broni jądrowej. Na początku przede wszystkim pod presją Ameryki, która chciała, żeby dla USA był tylko jeden partner nuklearny, czyli Rosja – w miejsce dawnego ZSRS.



Pomnik Filipa Orlika w Kristianstad

FOT. © REGIONMUSEET SKÅNE



USA, Wielka Brytania i Rosja zmusiły wspólnie Ukrainę do oddania broni atomowej do zamian za sojusz, w którym Ameryka i Wielka Brytania zagwarantowały nienaruszalność terytorialną Ukrainy. To był rok 1994, a 20 lat później Ukraina została okrojona o Krym, Donbas, Ługańsk. Gwaramci *Memorandum Budapeszteńskiego*, USA i Wielka Brytania, którzy podpisali ten układ, formalnie do czegoś przecież się zobowiązując, nie udzielili wtedy Ukrainie żadnej pomocy. Dzisiaj udzielają, to trzeba przyznać – może więc jest to jakaś pozytywna lekcja z tego doświadczenia. Nie udzielaliby oczywiście i teraz tej pomocy, gdyby nie inna okoliczność, na którą ten sam apel Filipa Orlika do Europy z 1712 roku wskazuje, a więc – aby owa pomoc „ograniczyła moskiewskie państwo, które wkrótce może zamierzyć się na swobodę europejską”.

To o to właśnie chodzi, to dlatego państwa zachodniej Europy, powinny w imię własnego interesu, własnej wspólnoty cywilizacyjnej także pomagać Ukrainie. Nie tylko przez moralne zobowiązania, które wcześniej zламаły, ale wskutek geopolitycznej racji, która wynika z tego, że jeśli nie zatrzyma się ekspansji imperium rosyjskiego na Ukrainie, to Rosja zrealizuje swój pełny plan ekspansji, który bynajmniej nie kończy się tylko na Ukrainie, nie kończy się także na Polsce. Ten plan dotyczy podporządkowania całej Europy. „Ruski mir” potrzebny jest do czerpania ludzi z Ukrainy, z Białorusi, żeby Rosja znowu mogła prowadzić imperialną grę w Eurazji i we własnym pań-

*Memorandum Budapeszteńskie*, 5 grudnia 1994

stwie. Natomiast Europa w całości jest potrzebna Putinowi jako zapasowa siła technologiczna, ekonomiczna, by Rosja wydobyła się z pozycji chińskiej marchii

**„ Ukraina jest córką Rusi, wychowaną Rzeczypospolitą, zbuntowaną przeciwko macosze Moskwie, która zabrała jej imię i chce zabrać jej wszystko.**

prof. Andrzej Nowak

zachodniej, z takiej pozycji wobec Pekinu, którą można porównać do roli Łukaszenki w stosunku do Moskwy. To jest logiczne, a nie szalone bynajmniej, rozumowanie strategiczne Putina – to jest świadomie, na zimno realizowany plan Rosji.

Ukraina dziedziczy wspaniałe tradycje wolności. Oczywiście, może być ona i bywała nieraz nadużywana; może przerodzić się w dziką anarchię, może być źle skierowana, np. przeciwko własnej „wychowawczyni” – Rzeczypospolitej. Dziś jednak tej wolności, której duch i towarzysząca mu odwaga są tak wspaniale reprezentowane przez Ukraińców, możemy zawdzięczać punkt zwrotny w dziejach. W tym miejscu, gdzie Worskła, gdzie Połtawa, może po dwóch klęskach za trzecim razem nastąpi zwycięstwo, od którego zacznie się koniec „imperium zła”.

ANDRZEJ NOWAK ■

Powyższy tekst stanowi zapis wykładu-analzy historycznych i obecnych relacji pomiędzy Polską i Rosją, wygłoszonego przez prof. Andrzeja Nowaka w hali krakowskiego „Sokoła”, podczas kwietniowej premiery książki pt. *Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X-XXI w.* (Biały Kruk, Kraków 2022). Dziękujemy redakcji miesięcznika „Wiara, Patriotyzm i Sztuka” za udostępnienie zapisu tegoż wykładu. RED. ■



Podpisanie *Memorandum Budapeszteńskiego*; od lewej: prezydent Rosji Boris N. Jelcyn, prezydent USA William J. (Bill) Clinton, prezydent Ukrainy Leonid D. Kuczma i premier Zjednoczonego Królestwa John Major. FOT. JAGIELLONIA.ORG



# Ukradziony Pomnik Katyński i bracia Melakowie

■ ANNA MIESZCZANEK



skiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta. W tym garażu Arkadiusz przygotowywał od pewnego czasu pomnik...

**31** lipca 1981 roku, tuż przy Olszynie Grochowskiej, przed garażem Arkadiusza Melaka, wtedy trzydziestolatka, kierowcy bazy transportowej podstawili kontener Miej-

## Uwertura

Elementy krzyża, który ważył kilka ton i płytę z napisem „KATYŃ 1940” czyli pierwszy w Polsce pomnik katyński przewieźli na Powązki i w dwie godziny

zmontowali pod kierunkiem brata Arka, Stefana. Krzyż był wysoki na cztery i pół metra, była na nim data „1940”, orzeł w koronie, obok słupki z nazwami obozów sowieckiej policji politycznej NKWD, gdzie po agresji ZSRR na Polskę w 1939 roku przebywali w niewoli polscy jeńcy wojenni.

Z Melakami było jakieś trzydzieści osób z Warszawy, Lublina, Gdańska, Katowic i Siedlec. Odśpiewali *Boże, coś Polskę* i hymn, a że działo się to w przeddzień rocznicy wybuchu Powstania '44, część pojechała od razu na manifestację na ówczesnym placu Zwycięstwa, a część do katedry św. Jana na nabożeństwo. I tu i tam przekazywali ludziom informację o postawieniu Pomnika Katyńskiego, żeby następnego dnia zebrać się tam na modlitwę.

Ale tego następnego dnia pomnika już na Powązkach nie było. Na żądanie ambasady ZSRR kilka godzin po jego ustawieniu, w nocy Służba Bezpieczeństwa zwyczajnie go zrabowała i wywiozła. Nie wiadomo gdzie. Miesiąc później uchwałę w obronie zrabowanego pomnika przyjął Zjazd „Solidarność”. Ale dopiero po ośmiu latach SB podrzucił pod cmentarz duże, drewniane skrzynie z tym, co zabrała, a sam pomnik nową już władza uroczystie odsłoni za kolejne sześć lat. Tyle, że w 1981 roku żaden z trzech braci Melaków nie mógł jeszcze o tym wiedzieć. Ani Arek, ani Andrzej, ani Stefan, który w 2010 roku zginie pod Smoleńskiem.

## Dolinka Katyńska

Skąd pomysł Pomnika? Jesienią 1980 roku, w dniu Wszystkich Świętych, wokół Dolinki Katyńskiej na Powązkach zgromadziły się setki ludzi, żeby oddać hołd zamordowanym. Wiosną '81, w kolejną rocznicę pierwszego transportu jeńców z Kozielska do Katynia, która przypadała 3 kwietnia, w Dolince Katyńskiej znów zorganizowano uroczystości upamiętniające ofiary. Tego już nie wytrzymała Moskwa. W gazecie „Prawda” napisano wtedy, że „antysowieckie i kontrrewolucyjne siły urządziły na warszawskim cmentarzu antysowiecki sabat”. Bo dopiero dziewięć lat później, w kwietniu 1990 roku Michaił Gorbaczow przyznał oficjalnie, że to ZSRR jest winien tej zbrodni.



Pomnik katyński ustawiony 31 lipca 1981 roku w tzw. Dolince Katyńskiej na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA MELAKA





A tej samej wiosny 1981 roku, kiedy ludzie znosili kwiaty i znicze na 3 kwietnia, trochę później, w maju, w Warszawie powstał – nielegalny – Komitet Obywatelski Budowy Pomnika Katyńskiego. 1 sierpnia

1981 roku, czyli zaraz po kradzieży Krzyża z Powązek, zaczął zbierać fundusze na wzniesienie w Dolince Katyńskiej nowego, ale takiego samego jak skradziony przez SB, pomnika. W sierpniu 1981 roku w Dolince Katyńskiej zbierały się codziennie tysiące osób, a 6 grudnia 1981 roku w obecności kilku tysięcy zgromadzonych wmurowano kamień węgielny i akt erekcyjny pod budowę nowego pomnika i ustawiono tymczasowy, brzoźowy krzyż. Ten, podobnie jak pomnik z lipca '81 miał być niedługo, po 13 grudnia, usunięty, no ale przecież tego gromadzący się wtedy ludzie też nie mogli wiedzieć.

### Uherce 1982

Pod wieczór 24 grudnia 1982, w Wigilię, z ośrodka w Uhercach w Bieszczadach wypuścili – jako ostatniego z internowanych tam – Arkadiusza Melaka. Współprojektanta i twórcę Pomnika Katyńskiego na Powązkach.

Wcześniej był internowany w Białoleęce – siedział tam razem z bratem Stefanem



Wzniesienie na Powązkach Krzyża Katyńskiego zniszczonego następnego dnia przez SB, Warszawa, 31 lipca 1981

FOT. © ARCHIWUM KRZYSZTOFA KRÓLA

i jak wszyscy inni drukowali solidarnościowe znaczki, robili z gumoleum stemple, wymieniali herbatę na papierosy i odwrotnie. Potem Stefan wyszedł, a Arkadiusz przeszedł jeszcze przez Załęże i w końcu

jej uczestników nosiło się na pamiątkę krzyżyk z drzewa olchowego – no bo to przecież „Olszynka”.

Ciąg dalszy na s. 36 ▶

trafił do Uherców. W tę wigilię 1982 roku miejscowy ksiądz odwiózł go na stację kolejową, więc pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia był w domu.

### Olszynka

Arkadiusz i jego bracia – Stefan, Andrzej i Sławomir – mieszkali tuż obok Olszynki Grochowskiej, gdzie było kobiece więzienie, które zaraz po 13 grudnia odwiedzała Kalina Jędrusik, ale i miejsce najważniejszej bitwy Powstania Listopadowego. W 1831 roku Olszynka uniemożliwiła rosyjskim wojskom szturm na Warszawę. Po tej bitwie, w której zginęło prawie siedem tysięcy polskich żołnierzy, w wielu rodzinach



Złożenie przez konfederatów kwiatów w tzw. Dolince Katyńskiej, przemawia Andrzej Szomański, szarfę od wieńca trzyma m.in. Stefan Melak, Warszawa 1981 FOT. © ARCHIWUM KRZYSZTOFA KRÓLA





Podczas Gali Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”; od lewej: Stefan Melak, ks. Wacław Karłowicz i prezes IPN Janusz Kurtyka FOT. © PRZYSTANEKHISTORIA.PL

#### ► Ciąg dalszy ze s. 35

Jeszcze przed odzyskaniem Niepodległości, w 1916 roku, na miejsce bitwy przyjechało niemal sto tysięcy ludzi, żeby ustawić tam drewniany krzyż z daszkiem, zaprojektowany przez znakomitego architekta, Stefana Szyllera, autora gmachów warszawskiej Zachęty, Politechniki i Biblioteki Uniwersyteckiej. W setną rocznicę bitwy, w 1931 roku, prezydent Ignacy Mościcki i Józef Piłsudski wmurowali tam akt erekcyjny pod mauzoleum, które miało powstać później, ale nie powstało.



Stefan Melak był przewodniczącym Komitetu Katyńskiego FOT. © LECH GAWUC/REPORTER

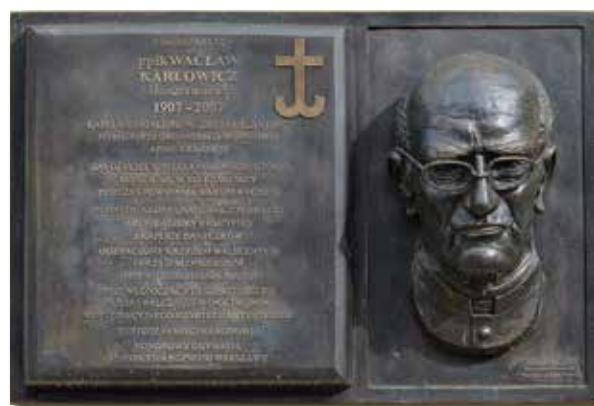
Od jesieni 1944, nieformalnie, a od 1962 roku już urzędowo tym miejscem opiekowało się XIX Liceum Ogólnokształcące im. Powstańców Warszawy. Zaczęło działać na Grochowie zaraz po Powstaniu w mieszkaniu jednej z nauczycielek, Zofii Czajowej, w niedalekiej, przedwojennej kolonii dworkowych domków. Praski hufiec harcowski zaczął organizować coroczny rajd upamiętniający żołnierzy walczących w bitwie. W marcu 2020 roku odbył się już sześćdziesiąty drugi raz.

Bracia Melakowie od dzieciństwa chodzili tam często z dziadkami i ciotką, żoną przedwojennego oficera, którego brat został zamordowany w Katyniu, stąd cała rodzina wiedziała jak naprawdę było, choć w PRL-u wiedzieć tego nie było wolno.

W ich parafii na Grochowie proboszczem był ksiądz Wacław Karłowicz, wyświęcony jako 25-latek w 1932 roku. W 1939 brał udział w obronie Warszawy, potem był katechetą tajnego nauczania, współpracownikiem Kurii Polowej AK, w jego mieszkaniu działał punkt kontaktowy dla kurierów kursujących między Warszawą a Londynem. W czasie Powstania Warszawskiego był kapłanem batalionu „Gustaw” – „Antoni”, współorganizował powstańczy szpital w dawnym pałacu Raczyńskich przy ul. Długiej. W innej epoce, w 2015 roku, na fasadzie pałacu (dziś Archiwum Akt Dawnych) odsłonięto tablicę poświęconą pamięci księdza.

#### Krąg Pamięci

Ale zanim to się stało, w latach 70., w kolejne rocznice wybuchu Powstania Listopadowego na prośbę braci Melaków, ksiądz Karłowicz zaczął odprawiać Msze Święte w Olszynie Grochowskiej. W 150. rocznicę – w 1974 roku – założyli Krąg Pamięci Narodowej, z warszawskim Cechem Krawców postawili na warszawskiej Cytadeli krzyż w miejscu stracenia Romualda Traugutta i czterech innych członków Rządu Narodowego z okresu Powstania Styczniowego. Od tego czasu w rocznicę stracenia i rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego zawsze gromadzili się tu ludzie na Mszy.



W 1979, kiedy Stefan – rocznik 1946, prawnik z wykształcenia – był już członkiem KPN, przekształcili Krąg Pamięci Narodowej w Konspiracyjny Komitet Katyński. Za „karnawału” Stefan był członkiem redakcji pism KPN, potem to on kierował akcją ustawiania pomnika na Powązkach w 1981 roku. Internowali go 13 grudnia, tak jak jego brata Arkadiusza, „ustawiacza” Pomnika Katyńskiego. Konfederacja Polski Niepodległej była dla



nich naturalnym wyborem – głośno mówiło się tam o zbrodni katyńskiej, o dyktacie Jałty, o sowieckim „imperium zła”. KPN wysuwała też wprost postulat odbudowy suwerenności Polski, co wówczas wcale nie było takie oczywiste dla całej opozycji.

Trzeci z braci, Andrzej, rocznik 1944 ekonomista, który w latach 60. pracował w Domach Towarowych Centrum w Warszawie, w stanie wojennym był taksówkarzem. Po 1989 roku założył z braćmi rodzinny zakład ślusarski, a kiedy Stefan, wtedy już prezes oficjalnego Komitetu Katyńskiego w 2010 zginął w Smoleńsku, w drodze na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej – został posłem.

Ale w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia '82 byli w domu razem.

ANNA MIESZCZANEK ■

Powyższy materiał stanowi rozszerzoną wersję rozdziałów z książki *Dzień bez Teleranka. Jak się żyło w stanie wojennym*, Warszawa 2021.



## z Nowego Jorku

# Oświadczenie KPA ws. Pomnika Katyńskiego

W 1991 roku w Exchange Place w Jersey City w stanie New Jersey odsłonięto pomnik upamiętniający ofiary zbrodni katyńskiej, dokonanej przez Związek Radziecki w 1940 roku. Pomnik Katyński to 34-metrowy posąg z brązu wykonany przez rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego. Pomnik jest uderzającym symbolem brutalności Związku Radzieckiego wobec Narodu Polskiego w czasie II wojny światowej, a co za tym idzie wobec milionów ofiar reżimów komunistycznych.

W Katyniu, w kwietniu 1940 roku, NKWD na rozkaz Józefa Stalina, zamordowało około 22 tys. polskich oficerów. Związek Radziecki przez dziesięciolecia zaprzeczał dokonaniu tej zbrodni. W 1990 roku ostatecznie przyznał się do odpowiedzialności za czyn popełniony 50 lat wcześniej. W 2010 roku Rosja oficjalnie oświadczyła, że Stalin i inni przywódcy sowieccy są odpowiedzialni za egzekucję polskich oficerów w Katyniu.

W 2018 roku Exchange Place Alliance Special Improvement District w New Jersey zaproponował przeniesienie pomnika upamiętniającego pamięć zbrodni katyńskiej w inne miejsce. Plan ten został skutecznie odrzucony, a miejsce pamięci pozostało tam, gdzie zostało pierwotnie ustanowione.

W 2022 roku nowy plan został zaproponowany przez Exchange Place Alliance

Special Improvement District Exchange Place. Plany te nie wzywają do usunięcia miejsca pamięci, jednak wygląda na to, że proponowane zmiany architektoniczne dookoła pomnika w znacznym stopniu go zasłonią oraz utrudnią dostęp do niego.

Ważne dla Polaków i Polonii miejsce pamięci ma zostać ukryte, za drzewami, krzewami i ławkami. Pomnik pozostanie na tym samym miejscu, jednak wszystko wskazuje na to, że poprzez zasłonięcie i trudny dostęp nie będzie miał takiego samego znaczenia, jak kiedyś.

Kongres Polonii Amerykańskiej, który reprezentowany jest przez Zarząd Krajowy, rozumie potrzebę postępu i ulepszenia naszych miast, jednak nie zgadza się i protestuje zasłonięcie tak ważnego dla Amerykańskiej Polonii, a także Polaków w Polsce, pomnika. Rozumiemy, że plac i jego otoczenie wymagają poprawy i chcemy, aby okolica była jak najbardziej przyjazna i atrakcyjna, aby więcej osób niż kiedykolwiek miało powód, by odwiedzić to miejsce. Nie sprzeciwiamy się postępowi, domagamy się, jednak, aby pomnik nie został zasłonięty oraz aby nie ograniczono i nie utrudniono do niego dostępu.

KPA wzywa burmistrza Stevena Fulopa i Radę Miasta Jersey do dyskusji i spotkania z Polonią, w celu omówienia planów i wysłuchania uzasadnionych obaw zgłaszanych przez naszą społeczność.



Kongres Polonii Amerykańskiej ma nadzieję, że liderzy Jersey City wezmą sobie do serca nasze przesłanie i poszukają rozwiązania, które zadowoli wszystkich interesariuszy w tej sprawie.

ZARZĄD KRAJOWY KPA ■

□ **Od redakcji:** 8 września 2022 roku Rada Jersey City zatwierdziła budżet Exchange Place Alliance Special Improvement District (EPA SID) w wysokości 3,75 mln dolarów na renowację obszaru otaczającego Pomnik Katyński w Jersey City. Członkowie Rady głosowali: 6 za, 1 przeciw i 1 wstrzymujący się. Plany projektowe wywołały wielkie kontrowersje wśród amerykańskiej Polonii, czego przejawem było wydanie powyższego *Oświadczenia*. Po decyzji z Rady, KPA pozostaje przy swoim stanowisku i apeluje do urzędników w Jersey City, aby spotkali się ze społecznością polską i znaleźli wspólną płaszczyznę oraz szukali zadowalającego rozwiązania.



## Żeglarz

O, morze zjawisk! skąd ta noc i słońce?  
 Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu:  
 Dziś, jakie fale, jaki wicher miota!  
 Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu:  
 A więc porzucić korab żywota?

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi  
 Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!  
 Gdy noc się zgęszcza, wzmagają powodzi,  
 Ta puchar daje, ta odśłania lice,  
 Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, kto i samej ulubował Cnocie,  
 Dopłynie, kędy sławy góruje opoka,  
 Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;  
 Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,  
 Dopłynie we krwi i w pocie.

A komu Piękność całe pokaże oblicze,  
 Potem wśród drogi zdradliwa odlata,  
 Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze, –  
 Ach, jakaż później czczość  
 w obszarach świata!  
 Już nie dość krzepią i Cnoty słodocze.

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,  
 Walczyć z ustawną burzą, jęczeć  
 pośród cienia,  
 Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,  
 Zamiast jej rączek, chwycić za ręce  
 z kamienia,  
 I długo wśród takiego nie ustać zawodu?

Zawód tak trudny; zakończyć tak snadnie!  
 Nie będziem dłużej ómieni, więcej kołatani,  
 Lecz wszystkoż z nami w tych  
 falach przepadnie?  
 Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,  
 Nie zdola z niej wylecieć ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie – tak na mnie świat woła,  
 Za cóż głos ten wewnętrznej wiary  
 nie wyiębi,  
 Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdola  
 I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,  
 Póki czas wieczne toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął od lądu? jakie słysząc żale?  
 Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,  
 Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale?  
 I tak się oko wasze znudzenia nie boi,  
 Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,  
 Będą łzy na szaleństwo, na  
 niewdzięczność skarga,  
 Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,  
 Nie słysząc z dala wicheru, co tu liny targa,  
 Grom, co tu bije, dla was tylko błyska.

I razem ze mną, pod strzałami gromu  
 Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!  
 Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu.  
 Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być,  
 lecz we mnie.  
 – Ja płynę dalej, wy idźcie do domu.

ADAM MICKIEWICZ

17 kwietnia 1821



# Wrzucony do bytu otchłani

## Egzystencjalna lektura *Żeglarza*

■ KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI



**Z**eglarz, datowany na 17 kwietnia 1821 roku, to pierwszy wielki liryk filozoficzny Mickiewicza. Jego wartość tkwi zarówno w szeregu głębokich medytacji, jak i w monumentalizmie obrazów ujętych w szeroki miarowy rytm mowy poetyckiej, przechodzących w symboliczne wizje i nabierających alegorycznych znaczeń. To nic, że „morze zjawisk” mogło być już przed Mickiewiczem niejednokrotnie używane w poezji, podobnie jak i niektóre inne akcesoria stylistyczne. Nie były one jednak użyte nigdy bodaj z takim jak u niego skutkiem estetycznym i być może nikt z polskich poetów nie nadał im takiego napięcia egzystencjalnego jak on. Dokonajmy zatem egzystencjalnej lektury tego wiersza.

Można w nim wyodrębnić trzy plany problemowe częściowo na siebie zachodzące. Jeden z nich to plan medytacji najogólniejszej, metafizycznej. Dochodzi on do najwyższego napięcia w strofach szóstej i siódmej, zwłaszcza w wierszach 28-35. Ale jego zapowiedź mieści już w sobie strofa pierwsza, stanowiąca jak gdyby potężną uwerturę egzystencjalną i metafizyczną. Plan drugi to zawarty w strofach od drugiej do piątej (w. 6-20) swoisty wykład etyki jako sztuki szczęśliwego życia i zapory wobec jego zagrożeń. Wreszcie ostatnie trzy strofy (w. 36-50), w odróżnieniu od wszystkich poprzednich mających charakter jednoznacznie monologiczny, przybierają postać quasi-dialogu z bliskimi sobie osobami, przyjaciółmi, w którym jednak tylko sam bohater mówi – za siebie i niejako za nich. Ta część utworu traktuje o samotności w sensie egzystencjalnym. I ze względu na nią można określić *Żeglarza* jako wiersz o cierpieniu samotności, która otwiera pejzaż cierpienia metafizycznego (por. *O cierpieniu metafizycznym*, w: K. Świegocki, *Kamień i czas. Wiersze, poematy i eseje*, Łódź 2014).

Do motywu samotności dołącza się tu również motyw wygnania. Jest o nim mowa już w pierwszej strofie. Dowiadujemy się z niej, że stan obecny bohatera, stan przebywania pośród „nocy” i „słoty” i przeciwnych mu żywiołów „fal” i „wiatrów”, poprzedzony był stanem dobroczynnej pogody (*Była jutrznia i cisza, gdym był*



Portret Adama Mickiewicza z czasów wileńskich

RYŚ. WALENTY WANKOWICZ, 1823

*bliski brzegu!*). Nastąpić więc musiało jakieś tajemnicze przejście od pierwotnego stanu harmonii ze światem do dramatycznej z nim dysharmonii. To przejście nie ma tu racjonalnej motywacji. Dlatego można je nazwać wygnaniem w znaczeniu symbolicznym analogicznie do biblijnego wygnania z raju. Spada ono na bohatera nieoczekiwanie i wbrew jego woli. W odróżnieniu jednak od wygnania człowieka z raju, nie jest ono niczym zawinione. Dlatego pada tak dramatyczne, choć w istocie retoryczne pytanie o rację tego wygnania: *O morze zjawisk! skąd ta noc i słota?* Bohater wiersza zatem uosabia człowieka znajdującego się nie w sytuacji Adama, który przecież był świadom swojego upadku i z pokorą przyjął los wygnańca, ale raczej Hioba, nie mogącego znaleźć zrozumienia swoich niezawinionych cierpień.

Jednakże na tym się kończą biblijne analogie i koneksje, gdyż dwa ostatnie wersy tej strofy (4 i 5) zawierają problem, jakiego Biblia nie notuje. Jest nim kwestionowanie przez człowieka samego faktu swego istnienia w takiej postaci, jaką otrzymał od swojej stwórczej mocy. Z tego wynika, że bohater pośrednio i milcząco rzuca wyzwanie owej mocy stwórczej, inaczej mówiąc, kwestionuje zastany porządek rzeczywistości:

*Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!* (w. 4)

– te słowa podkreślają paradoksalność sposobu istnienia, na jaki został skazany. Owa paradoksalność bycia jest właśnie tym, co skłania bohatera do buntu przeciwko ustrojowi świata, w sytuacji paradoksu bowiem istnieć się nie da.

Ciąg dalszy na s. 40 ►



► Ciąg dalszy ze s. 39

Jedynym wyjściem wydaje się samouni-  
cestwienie – ostateczny akt negacji dzieła  
stworzenia i jego stwórcy. I to wyrażają  
słowa kończące pierwszą strofę:

*A więc porzucić korab żywota?* (w. 5)  
– choć wyrażają to nie w formie kate-  
gorycznej, lecz w formie pytania delibe-  
ratywnego.

Druga strofa zaczyna się od ściszonej  
skargi na los, który nie dał bohaterowi  
gotowych wzorów zachowań:

*Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi  
Cnota i Piękność [...].*

Jego egzystencji nie poprzedza żadna  
esencja. Nie jest to z pewnością jeszcze  
egzystencjalizm, według którego esencji  
żadnej po prostu nie ma. Wszak czytamy  
tu, że są przecież tacy, którzy dostępują  
łaski losu obdarzającego ich ową szczęśli-  
wą „esencją” – by się tu trzymać wygodnej  
terminologii egzystencjalistycznej – „Cno-  
tą” i „Pięknością”, które ich bronią przed  
przeciwnościami i trudami istnienia:

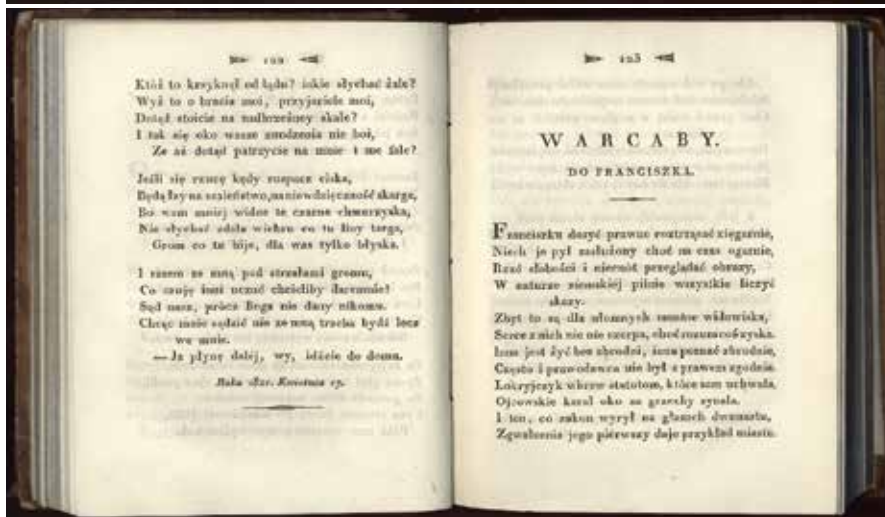
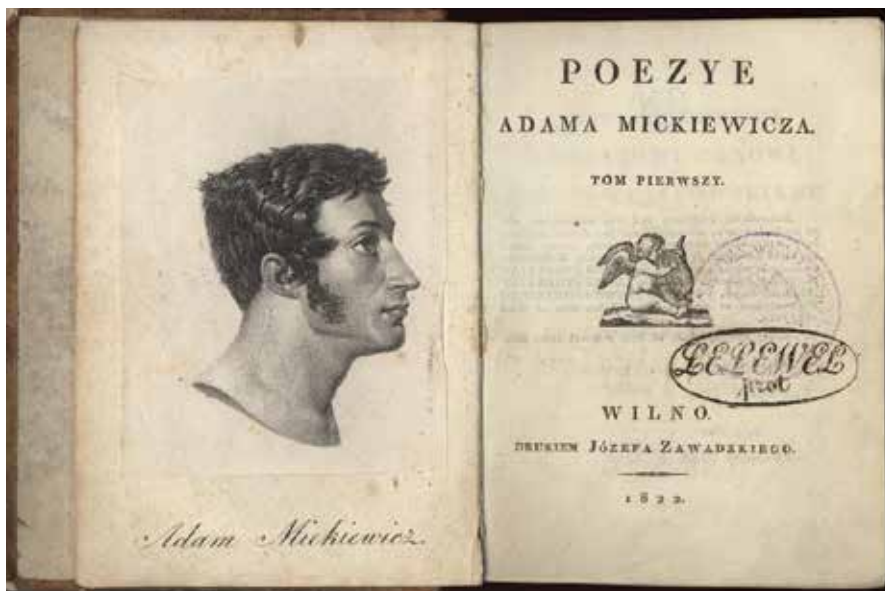
*Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,  
Ta puchar daje, ta odsłania lice,  
Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi*  
(w. 8-10).

Dalsze strofy: trzecia i czwarta, rozważają  
zalety tych dwóch wielkich wartości, jakie  
co najmniej od czasów Platona wymienia  
się jako naczelnne filary duchowej kultury  
europejskiej, i które zostały również prze-  
jęte przez chrześcijaństwo. Poeta podkreśla  
ich nierozwalną jedność. Gdy w życiu  
człowieka działają w złączeniu, tak jakby  
były dwiema tylko stronami tej samej rze-  
czy („niebieskie siostrzyce”), spełniać mogą  
rolę zarazem życiowej busoli, jak i źródła  
sensu i harmonii. Gdy natomiast jedności  
tej między nimi nie ma, niemożliwy staje się  
do osiągnięcia stan pożądanej wewnętrznej  
harmonii i pojawia się cierpienie. Mówią  
o tym zarówno dwa końcowe wersy trzeciej  
strofy sławiącej *Cnotę*, jak i dwa końco-  
we wersy strofy czwartej. Oto człowiek,  
którego w swą opiekę wzięła tylko *Cnota*,  
a zaniechała *Piękność*, osiągnie wprawdzie  
cel podróży życiowej, ale

*Dopłynię we krwi i w pocie* (w. 15).

Ten zaś, którego łaskami darzyła sama  
*Piękność*, dozna wielkiego rozczarowania,  
gdyż *Piękność* bez *Cnoty* okazuje się płonna  
(*śród drogi zdradliwa odlata*), niweczy  
pokładaną w niej nadzieję (*Nadziei z sobą  
mary unosząc zwodnicze*) i pozostawia  
człowieka z poczuciem wielkiej pustki,  
której potem nie jest już w stanie zapewnić  
treścią egzystencjalnego sensu nawet *Cnota*  
*Ach, jakąż później czczość w obszarach  
świata!*

*Już nie dość krzepią i Cnoty słodycze*  
(w. 19-20).



Żeglarz wydrukowany w edycji wileńskiej Poezji Adama Mickiewicza, 1822

Dwuwersz rozpoczynający strofę drugą  
sugeruje wyraźnie, że bohater nie doznaje  
szczęścia jako wybraniec obu „niebieskich  
siostrzyc”. A dopełnia tego wyznania cała  
strofa piąta, która pokazuje sytuację czło-  
wieka doświadczającego przeciwnych tym  
wartościom, czyli dobru (*Cnocie*) i pięknu  
(*Piękności*) – antywartości wyrażonych sym-  
bolami „burzy”, „cienia”, „łodu” i „kamienia”.

Strofy te mówią o rzeczach należących do  
etyki życia szczęśliwego, a więc swoistej, rzec  
by można, felicytologii, dziedziny chętnie  
uprawianej w starożytności, renesansie i we  
wszystkich epokach o charakterze klasycz-  
nym, to znaczy takich, które uważały, że  
możliwy jest pewien niewzruszony kodeks  
ludzkiego postępowania, gwarantujący czło-  
wiekowi szczęście, i że one są w stanie mu



taki kodeks podsunąć, aby go praktykował. Jest to zawsze propozycja pewnego modelu mądrości. Najbardziej znane w historii kultury europejskiej to mądrość stoicka, epikurejska, a także wcześniejsza od nich mądrość perypatetycka czy pitagorejsko-platońska i późniejsza chrześcijańska, która poza mądrością naturalną wyrażaną filozoficznie głosi również większą od niej i ważną ostatecznie, płynącą z Objawienia mądrość nadprzyrodzoną. Nasz bohater jednakże nie doświadcza zbawiennej siły ani mądrości naturalnej, której symbole w omawianych tu strofach przytacza, ani tym bardziej nadprzyrodzonej, skoro poważnie rozważa możliwość samobójstwa, co, jakśmy już zauważyli, jest próbą zakwestionowania porządku świata, a zatem i samego Stwórcy tego świata.

Motyw samobójstwa powraca w strofie szóstej, która wraz z następującą po niej strofą siódmą stanowi wielkie poetyckie wyzwanie losu i sił powodujących bytem człowieka. Mamy tu już do czynienia z wielką metafizyczną poezją, rozważającą eschatologiczne problemy ludzkiej egzystencji. Przyjrzyjmy się najpierw samej owej egzystencji, jej strukturze i wektorom działających nań sił. Wróćmy więc do zawieszonych rozważań nad pierwszą strofą, w której wykryliśmy egzystencjalny motyw wygnania, a także paradoksalność sposobu istnienia ludzkiego jestestwa wyrażonego w słowach: *Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!* Słowa te wyrażają może nawet coś więcej niż paradoksalność czy antynomiczność warunków, w jakich egzystencja człowieka ma się spełniać, bo i w pewnym sensie tragiczność, jeśli rozumieć ją jako sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia. Ruch egzystencji jest tutaj narzuconą z zewnątrz koniecznością, którą wcześniej określiliśmy jako „wygnanie”, ale nie może się on swobodnie rozwijać, gdyż zderza się z przeciwną tej – koniecznością bezruchu. Tak uwięziona w uścisku dwu sprzecznych względem siebie determinacji egzystencja ta staje się tragicznym momentem i węzłem kosmosu. Z sytuacji tej nie ma innego wyjścia jak samobójstwo. Stąd słowa poety:

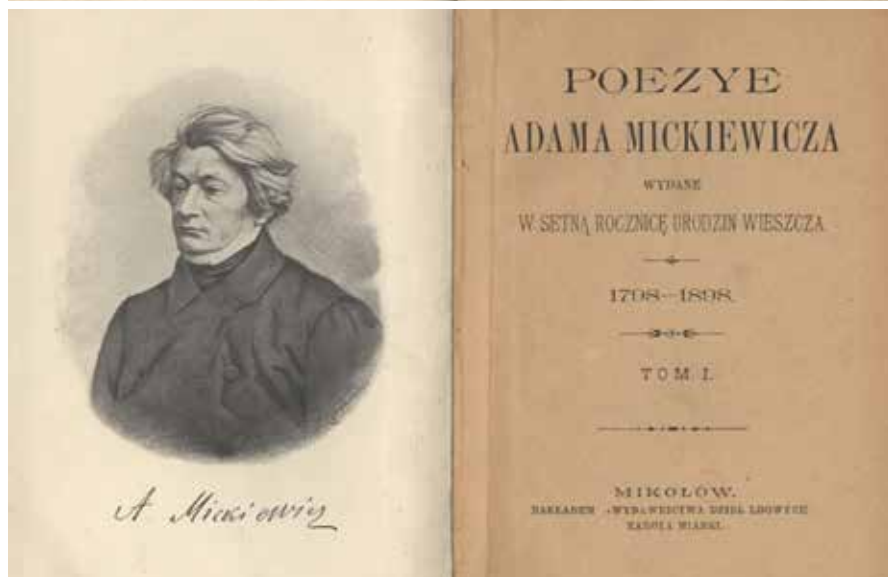
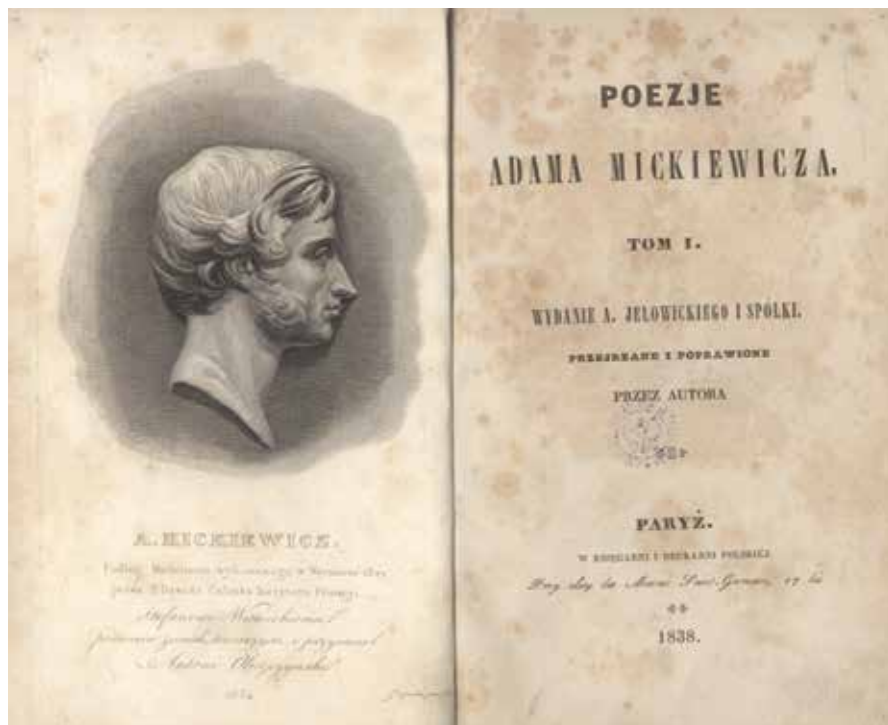
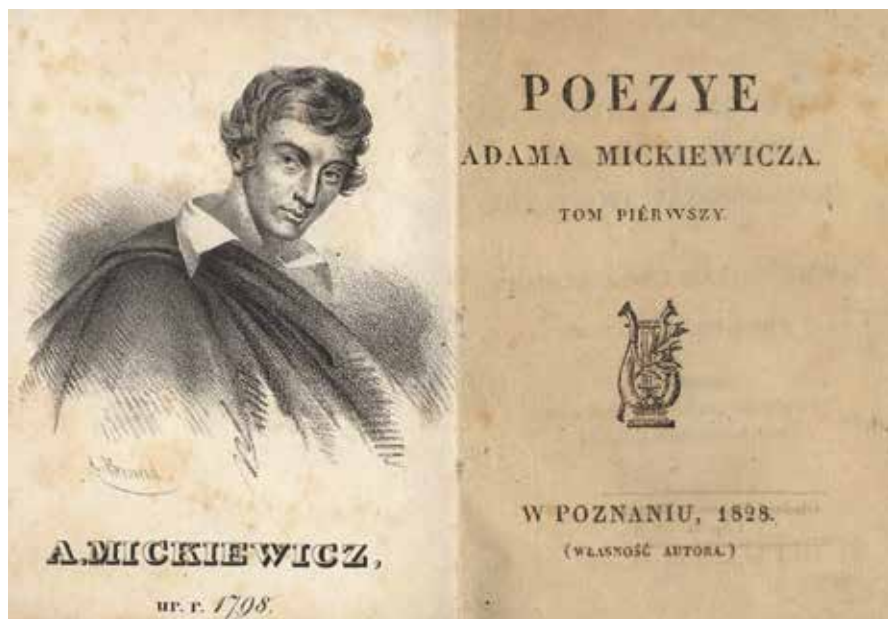
*A więc porzucić korab żywota? (w. 5).*

Pokusa samouniżenia zostanie na nowo rozważona we wspomnianej strofie szóstej:

*Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!  
Nie będziem dłużej ćmiemi, więcej kołatani  
(w. 26-27).*

Kolejny jednak wers przynosi dramatyczne pytanie deliberatywne:

*Lecz wszystkoż z nami w tych falach  
przepadnie? (w. 28).*



► Ciąg dalszy na s. 42

Edycje poezji Adama Mickiewicza: Poznań 1828, Paryż 1838, Mikołów 1898



## ► Ciąg dalszy ze s. 41

I ono otwiera metafizyczny pejzaż i dyskurs poetycki zarazem. Jest wstępem do filozoficznej medytacji o życiu ludzkim jako trudnym do odgadnięcia zdarzeniu w historii bytu świata. Zostaje w nich ukazana zwłaszcza jego marność, na którą nie chce się zgodzić świadomy własnej kondycji podmiot tychże medytacji, więc pytanie to pogłębia kolejnym pytaniem, także ściśle metafizycznym, zawierającym jednakże pewien cień nadziei:

*Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,  
Nie zdoła z niej wylecieć ani zginąć  
na dnie?*

(w. 29-30).

Nadzieja to zresztą dwuznaczna, bo wskazuje co prawda alternatywę smutnej wizji unicestwienia totalnego, o którym była mowa w pytaniu poprzednim, a jest nią wizja istnienia nigdy się nie kończącego, ale nic nie przesądza jakości tego możliwego (choć nie całkiem jednak pewnego) istnienia. A wielką jeszcze wątpliwość budzić może niejako sama struktura ontologiczna zarysowanej tutaj sytuacji człowieka w kosmosie. Wielki niepokój bowiem można odczytać w słowach: *wrzucony do bytu otchłani*. „Otchłani” jest tu słowem pejoratywnie nacechowanym, a „wrzucenie” sugeruje akt wcześniej nadmienionego przez nas wygnania. „Otchłani” byłaby zatem jego docelowym miejscem. Czyż takie istnienie nie posiada znamion istnienia przekłętogo? Skoro jesteśmy „wrzuceni” w świat (do bytu otchłani), to fakt ten oznacza, że los nasz nie jest w naszych rękach. Nie tylko nie powołujemy się sami do istnienia, ale odkrywamy coś, co bez naszej wiedzy i woli zmusza nas do egzystencji w podyktowanych przez siebie warunkach. A te stanowią miejsce przymusowego odosobnienia, przestrzeń samotności, z których siłami własnej woli wydostać się niepodobna. Na takie istnienie byt ludzki jest „skazany”. Od niego nie ma odwołania. Jeśliby miało ono mieć charakter nieskończony, oznaczać by mogło to zarazem nieskończoność udręki istnienia.

A zatem dwuznaczność tego wielkiego pytania i kryjącej się w nim nadziei jest trudna do zakwestionowania. Jednym z jego znaczeń jest przerażenie, a przynajmniej niepokojące zdumienie wobec faktu, iż człowiek jest skazany na istnienie w sposób nieodwołalny, tak że choćby pragnął wyzwolić się od tego istnienia uwierającego jego byt, to nie może tego uczynić, nie on bowiem o nim decyduje. Drugim zaś znaczeniem jest przerażenie myślą o – przeciwnym nieskończonemu istnieniu – całkowitym unicestwieniu ludzkiego bytu:

*Lecz wszystkoż z nami w tych fa-  
lach przepadnie?*

(w. 28).

Bo i jakież wówczas jest sens istnienia jakiegokolwiek – dobrego czy złego, radosnego czy smutnego, chcianego czy niechcianego? Śmierć absolutna kończąca życie czyni je zarówno niepojętym, jak i absurdalnym, wszystko bowiem, co je wypełnia, staje się w tej perspektywie zbędne, niepotrzebne, bezcelowe, a więc i bezsensowne, a jednak nie pozbawione swojej faktyczności.

Znajdujemy się zatem w nierozzerwalnie dylematycznej sytuacji o tragicznej perspektywie. Jej tragizm zdaje się polegać na tym, że każda z dwu zarysowanych tu możliwości ontologicznych – zarówno istnienie nieskończone, jak i skończone – napiętnowana jest aksjologiczną pustką, czyli paraliżującym wolę istnienia (w obu wersjach) poczuciem jego bezsensu. Istnienie, które staje się problemem dla świadomości, przestaje być radosne. Jeśli nie jest wypełnione sensem, może być tylko udręką. Świadomość, zajmując się owym istnieniem, czyli w istocie istnieniem samej siebie, dystansuje się wobec świata, rozpoznając go jako sferę obcego. W ten sposób rodzi się samotność metafizyczna, egzystencjalna – z rozerwania harmonii między świadomością a bytem, z poczucia obcości świata.

Jednakże przyjęte dotychczas rozwiązanie zagadki filozoficznej, kryjącej się w niezwykle słowach dwuwiersza 29-30 (*Czyli kto raz wrzucony...*), rozwiązanie wskazujące perspektywę tragiczną, nie wydaje się ostatnim akordem jego filozoficznego przesłania. Dwuwiersz ów ma bowiem postać pytania retoryczno-deliberatywnego. Nie jest więc twierdzeniem kategoriowym o tym, że człowiek znajduje się w absolutnej władzy fatum, narzucającym mu nieodwołalnie zarysowaną wyżej tragiczną perspektywę. Pytanie tutaj bowiem z racji swej formalnej natury – w przeciwieństwie do twierdzenia – właśnie dopuszcza w jakimś sensie możliwość innej rzeczywistości niż ta, na którą wskazywałoby twierdzenie o beznadziejności sytuacji bytu ludzkiego. Ta możliwość kryje się w słowie „wylecieć” w drugim wersie. Sugeruje ono myśl czy chęć wyrwania się poza obszar tego istnienia, które zostało nam narzucone przez los. Nie ma w nim przekleństwa istnienia we wszelkich możliwych postaciach. Zawiera ono w sobie nadzieję na istnienie inne niż to, które dzieje się w przestrzeni tragicznego dylematu. Wylecieć z kołowrotu istnienia „wrzuconego” do „otchłani bytu” to tyle, co uwolnić się od jego konieczności, to tyle, co wyjść ze świata zniewolenia do świata wolności. Tak więc rozważany tu problem egzystencji ludzkiej rzuconej na burzliwe „morze zjawisk” i nie mogącej odnaleźć na nim własnego sensu, czyli sta-

nu wewnętrznej harmonii między własną świadomością a własnym bytem, istnieniem, stanu błogości samozrozumienia, nie zmierza do nihilistycznej konkluzji jak w Byronowskiej *Euthanazji*: [*wyznasz człowieku, / Czymkolwiek byłeś, że lepiej być niczem*] *lecz otwiera, jeśli nie perspektywę nadziei, to przynajmniej możliwość takiej perspektywy*.

Po tym wielkim pytaniu poddającym w wątpliwość wartość życia ludzkiego mającego piętno przeznaczenia, lecz, jak zauważyliśmy, pytaniu nieprzekraczającym progę nihilizmu, następuje pełna napięcia, choć pozornie spokojna, strofa wielkiej refleksji metafizycznej. Jej spokój bierze się z doskonałości klasycznej formy zewnętrznej, napięcie zaś z wizyjnego zestawienia dwu eschatologicznych perspektyw: ludzkiej i kosmicznej. Mówi ona o istnieniu w głębi ludzkiego bytu nieśmiertelnego, racjonalnie niezrozumiałego pierwiastka wiary we własną nieśmiertelność, a ściślej – w nieśmiertelność własnego ducha, która to wiara czyni bezsensownym i bezcelowym samobójstwo. Ta wiara daje wiedzę, że od własnego przeznaczenia nie ma ucieczki.

Strofa ta należy do największych strof Mickiewicza. Monumentalnie zarysowana wizja ducha ludzkiego krążącego jak gwiazda daje wymiar kosmiczny egzystencji, zaś obrazowo przedstawiony czas toczący się po symbolicznych kołach daje jej wymiar metafizyczny (koło oznacza tutaj zamkniętość, sytuację bez wyjścia, wieczne powroty i symbolizuje ostateczną strukturę bytu, jego konieczność i wieczność). Nie religijna, ale raczej filozoficzno-metafizyczna myśl została tu wyrażona. Wiara w nieśmiertelność ducha ludzkiego tutaj to nie pokorne wyznanie wiary, jakie cechuje religijnego człowieka, poddającego się z ufnością Bogu, lecz raczej filozoficzne zdziwienie nad faktem niepojętym dla rozumu: skąd bierze się we mnie wiara w nieśmiertelność, skoro wszystko, co obserwuję w świecie, wskazuje wyraźnie i jednoznacznie, że prawem naczelnym świata jest prawo przemijania (*Co żyje – niknie – tak na mnie świat wola, w. 31*). I skoro widoczne jest, że wszystkie żywioty świata są przeciwko mnie. Myśl zatem o własnej nieśmiertelności jest tu myślą nie tylko antropologiczno-teologiczną, ale i poniekąd meta-religijną.

Po tych rozważaniach nastrojonych na wysoki metafizyczny ton następuje powrót na ziemię – do przyjaciół. Jakby poeta ocknął się z metafizycznej medytacji i przypomniał sobie o zwykłych, choć przecież ważnych i istotnych realiach swojego życia, do których należeli przyjaciele. Cóż, oni jednak nie zrozumieli niczego z jego



problemów. Ich duchowy świat na niższym, bardziej ziemskim poziomie jest usytuowany. Oni skłonni są go potępić za akt lub tylko próbę samobójstwa:

*Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,*

*Będą lży na szaleństwo, na niewdzięczność skarga*

(w. 41-42).

Ta ogromna burza duchowa, która przewala się przez jego wewnętrzny świat, jest dla nich niepojęta. Dostrzegają tylko to, co zewnętrzne. Nie są w stanie czuć tego, co czuje romantyczny poeta metafizycznie nastrojony na sprawy ostateczne.

I ta sytuacja ma znowu wymowę tragiczną. Nie zrozumiany przez przyjaciół (symbolizujących tutaj „świat naturalny”) poeta czuje się skazany na samotność. To, co się w nim dzieje, owo potężne kołysanie metafizyczne jego bytu, staje się z tego powodu wyłącznie jego udziałem, dzieje się na jego własny rachunek, w którym zawiera się także ryzyko błędu. Dlatego mówi:

*Chcę mnie poznać, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie*

(w. 49).

Widnieje jednak w trzecim wersie tej ostatniej strofy Bóg-sędzia:

*Sąd nasz, prócz Boga nie dany nikomu*

(w. 48).

Nie ma tu jednak pewności, czy jest on Opatrznością pochylającą się nad człowiekiem z troską o jego byt i z miłością, czy też tylko imieniem konieczności – nieubłaganej i surowej. To, co tutaj jest naprawdę pewne i realne, to dramat egzystencjalny jednostki ludzkiej w obcym jej świecie, do którego została wrzucona mocą niepojętej konieczności, dramat tym większy, że nieodwracalny. Jego bohater musi go spełnić do końca:

*– Ja płynę dalej, wy idźcie do domu*

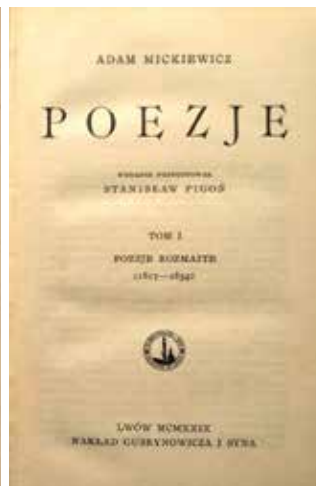
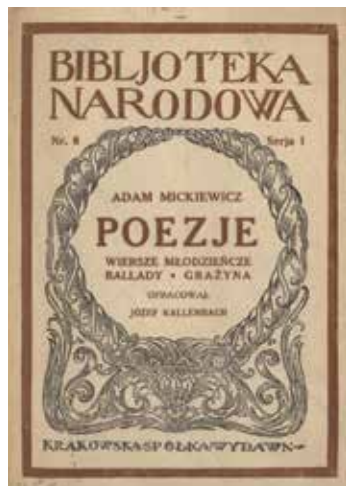
(w. 50).

Tu nie pomogą przyjaciele, nawet najbliżsi, bo nikt i nic nie może pomóc. Taka jest natura samotności egzystencjalnej. Burza, która się w nim rozpętała, wewnętrzna burza egzystencjalna, nie może dla nich stać się pojęta ani nawet dobrze widoczna:

*Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,  
Nie słyhać z dala wichru, co tu liny targa,  
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska*

(w. 43-45).

Kolejne słowa tworzące teraz ostatnią strofę, zawierają dwie różne myśli i związane z nimi dwie różne postawy czy propozycje antropologiczne. Pierwszą jest swoista дума z przeżywania tej sytuacji, którą scharakteryzowaliśmy wyżej, дума



Edycje poezji Adama Mickiewicza: Kraków 1919, Lwów 1929, Kraków 1948

z własnej samotności, bo choć na cierpieniu oparta i cierpienie rodząca, jednak ma potężną moc uwznioślenia cierpiącego podmiotu i z bolesnego egzystencjalnego przeżywania czyni niejako użytek ontologiczny: wynosi w porządku bytowym rzeczywistości samotnego poetę ponad resztę ludzkiej społeczności: co czuję, **inni uczuć chcieliby** daremnie (podkr. – KŚ). Samotność egzystencjalna paradoksalnie staje się wartością dodatnią i niejako ontycznie ubogaca poetę (motyw ten wróci spotęgowany w *Wielkiej Improwizacji*).

Druga myśl wiąże się ściśle z pierwszą, a nawet z niej poniekąd wynika. Poeta, będąc istotą wyżej od zwykłych ludzi (tzn. nie-poetów) postawioną w hierarchii bytowej świata, nie podlega prawom, którym podlegają oni. Nie oni więc, a tylko Bóg może go sądzić. Bo jedynie On może znać jego życie wewnętrzne, rozumieć jego egzystencjalny, głęboko w duszy dziejący się dramat. On jedyny może nie tylko „ze mną być, lecz we mnie”. Oto romantyczny indywidualizm! Poeta jawi się tutaj jako nadczłowiek, krewny samego Boga, istota w każdym bądź razie bliższa Jemu niż zwykłemu człowiekowi. Zdaje się mówić ów nadczłowiek: jest nas dwóch – Ja i Bóg! Rzec by można w takiej sytuacji, jeśliby ktoś chciał patrzeć na nią z perspektywy religijnej – dobrze, że ów Bóg ma chociaż władzę sądu nad poetą i nie jest tylko jakimś majestatycznym kosmicznym statystą jego losu, jak to będzie można oglądać w kosmicznej scenarii *Wielkiej Improwizacji*. Choć i to przyznanie mu władzy sądu nie jest równoznaczne bynajmniej z wyznaniem pokory i poddania. Człowiek symbolizowany przez podmiot tego wiersza nie odczuwa winy żadnej przed Bogiem. Raczej czuje się wielkim ponad resztę ludzkich istot i wobec Niego – wielki własnym cierpieniem i samotnością, i własną odrębnością wobec całego świata.

Jest rzeczą znamienne, że autor tego wiersza-monologu, rozważający wielkie

metafizyczne sprawy, kieruje trzy z dziesięciu swoich strof do przyjaciół, a wymowa ich czyni je jakby pożegnaniem z nimi. Niewątpliwie pewne znaczenie może w tym mieć biografia poety, któremu przyjaciele niemal przez całe życie zastępowali rodzinę, tak że przyjaźń stawiał on zawsze w rzędzie wielkich cnót i miał ją za wartość usensowniającą życie. Jest ona też bardzo częstym motywem jego liryki. W *Żeglarzu* wydaje się pełnić rolę szczególnego tła, na którym tym ostrzej, dobitniej i głębiej mógł wyrazić dramat swojej samotności – dramat właśnie egzystencjalny, a nie jedynie psychologiczny. Ten ostatni bowiem można leczyć wielorako, a przyjaźń może stanowić szczególne na niego antidotum. Właśnie znamienne, że ów dramat samotności rozgrywa się obok przyjaciół, na ich oczach. Jest to pośredni dowód, że przyjaźń jako cnota naturalna nie wyczerpuje bynajmniej ostatecznych aspiracji i potrzeb człowieka, te są bowiem natury transcendentalnej. Dlatego musiał się tutaj pojawić Bóg jako znak transcendencji – porządku, w którym dopiero mogą się rozstrzygnąć ostateczne sprawy człowieka.

Ten głęboko duchowy i w istocie niewyrażalny dramat został w wierszu przedstawiony w typowy dla Mickiewicza sposób: konkretny i zarazem symboliczny. Spójrzmy choćby na trzy ostatnie strofki. Jego przyjaciel oglądamy w oddaleniu fizycznym. On sam jest niby na morzu, oni zaś na lądzie (*Któż to krzyknął od lądu?*). Oni stoją „na nadbrzeżnej skale” i stamtąd patrzą na jego zmagania w istocie przecież najgłębiej duchowe, ale tak, jakby to były jakieś zmagania fizyczne (*dotąd patrzycie na mnie i na me fale*). Sceneria zatem fizycznie przestrzenna i rozległa, ale symboliczności nadaje jej morze i skała, i związane z nimi kosmiczne żywioły: grom, błyskawica, wiatr, chmury, wreszcie symbol najwyższy – symbol wszystkich symboli – Bóg.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI ■



# Ach, ta młodość

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA BARTKOWSKIEGO, 1967

■ ANDRZEJ BARTKOWSKI



**D**ziewięć miesięcy przed moim urodzeniem, moi rodzice przytulili się i z pewnością powiedzieli sobie, że bardzo się kochają. Było to w Warszawie, w schronie pełnym zgębionych wojną ludzi w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, a więc zaraz po wybuchu Powstania Warszawskiego.

Z opowiadań matki niebo nad Warszawą było pełne ognia i trwały bombardowania. Takie sceny, na szczęście, znamy dziś w Europie z filmów i opowiadań, aż tu nagle Rosjanie uświadamiają nam, że to nie do Hitlera należy w tym względzie ostatnie słowo.

Od wspomnianego przytulenia się moich rodziców upłynęło dziewięć miesięcy i oto, 2 maja 1945 roku, cały różowutki przychodzi na świat. Przyjaciele, znając okoliczności mojego poczęcia, próbują tym wytłumaczyć przyczyny mojego, niewątpliwie wybuchowego charakteru.

**Ś**wiat, na który przychodzi jest wtedy niestety bardzo szary i już nie jestem w Warszawie, a w Izbicy Kujawskiej. W międzyczasie mój ojciec, wywieziony z Warszawy, w połowie Powstania Warszawskiego, zaginął i nigdy nie został odnaleziony. Najprawdopodobniej zginął w obozie koncentracyjnym w Zwickau (KL Flossenbürg).

Mama w marcu 1945 roku, z moją dziewięcioletnią siostrą Lilą, wyjechała z prawie pustej Warszawy i pojechała do dziadków. Ja natomiast, w brzuchu mamy, pojecha-

łem na tzw. pace wojskowej ruskiej ciężarówki by... urodzić się w Izbicy Kujawskiej. Opisałem tę historię dokładnie w tekście *Nadzieja i „iskierka dobra”*, zamieszczonym na łamach jednego z poprzednich wydań „Ostoj” (nr 1/2022, s. 10-12).

Niewiele z tej podróży pamiętam, ale mama opowiadała, że Ruscy byli bardzo uprzejmi i opiekuńczy. W końcu... przyjaciele. Jak dziwnie by to wówczas brzmiało i jak inaczej, i o wiele dziwniej, brzmi dzisiaj. Analiza medyczna ciąży mojej mamy, według doświadczonej akuszerki pani Zacharkowej, przewidywała rozwiązanie w dniu 1 maja. Jednak prawdopodobnie, wielkie poczucie socjalistycznej odpowiedzialności, jakie się wtedy spontanicznie rodziło w społeczeństwie, mimo trwającego jeszcze pod Berlinem frontu, nakazywało mamie uczestniczyć w pierwszym pochodzie pierwszomajowym organizowanym w prawie „wolnej Polsce” i przez to przenosić ciężar o jeden dzień. Ujrzałem więc świat 2 maja 1945 roku. Niby to przesunięcie o jeden dzień nie ma większego znaczenia dla świata, ale niestety dla mnie ma. Przez całe życie ciągle mi tego jednego dnia brakuje.

W Izbicy Kujawskiej pozostałem do matury w 1962 roku, a więc przez siedemnaście lat bo poszedłem do szkoły jako sześciolatek i podobno dawałem sobie znakomicie radę z programem nauczania, niewątpliwie kontrowersyjnym w tamtym czasie... wychodząc na człowieka. Wprawdzie, z tym „wychodzeniem na człowieka”, to jest na razie tylko moje zdanie.

Z pobytu w Izbicy Kujawskiej mam mnóstwo wspomnień. Z pewnością nie najważ-

niejsze, ale bardzo oryginalne było jechanie na świni, kiedy miałem pięć lat. Dziadek sprawił mi uprzęż na świnię, którą hodował sobie na emeryturze i przejechałem na niej przez całe miasto. Z centralnej ulicy Żwirki i Wigury do oddalonego o prawie 2 km Augustynowa. Moja świnią udawała się tam na intymne *rendez vous* ze znanym w okolicy flirciarzem-knurem. Skupiałem się jednak wtedy bardziej na jeździectwie niż nad etymologią słowa knur. No, i Liceum Ogólnokształcące w Izbicy Kujawskiej. Tysiące absolwentów, dziś profesorów, generałów, biskupów, naukowców. Dla mnie i moich kolegów, z którymi mimo moich 77 lat, chodzimy dość często „na kieliszczyk” i „gęsi pipek”, to niewyczerpana kopalnia wspomnień. Jedno z nich, ale niebagatelne, i do którego ciągle wracamy to, rozliczne sytuacje, kiedy to w namiętnej zieleni i sędziwym szeleście krzaków za salą gimnastyczną naszego Liceum, w tzw. wałach ochraniających licealną strzelnicę, jeszcze niesprawni w czułościach czarowaliśmy płochliwe abiturientki naszą młodzieńczą urodą, lekturową elokwencją, a czasem jakże delikatnym i ryzykownym wzajemnym dotknięciem palców i drżących rąk. Piękne jest to, że na kolejnych zjazdach, w naszych rozmowach, po sześćdziesięciu prawie latach, ciągle w tych samych koleżankach widzimy anioły. Mało tego, ciągle trwa w nas, o te nasze koleżanki, wzajemna zazdrość.

W Liceum najbardziej lubiłem język polski. Polonistka wspaniała, jednak nie przepuściła nic. Jeden błąd i trzeba było powtarzać wypracowanie. Ale wiersze z Liceum znam do dziś. Łapałem kiedyś czas i obliczyłem,



że jest tego na półtorej godziny mówienia z pamięci. Na pogrzeb naszej sędziwej Pani Profesor, pięćdziesiąt lat po maturze, pojechaliśmy z kolegami do Torunia. Była to wyprawa dla nas bardzo ważna. Słowo, z całym jego kapitałem, budzi zawsze we mnie wielki szacunek, przyjemność, podziw i wyzwanie. Słowo, potrafi nieść odwagę, gotowość wyrzeczeń i cierpień, ale także radość i spełnienie. Słowo, postrzegam także jako największą z istniejących sił i oczywiście nadzieję na rozwiązanie wszelkich problemów. Na zgodę, na radość życia, na pokój, na... miłość. Także teraz, kiedy nasze już nie piekielko, ale „polskie piekło” osiągnęło wręcz niewiarygodny wymiar.

Może właśnie dziś, kiedy wyraźnie widać, że zawiodą kompetencje Państwa, i niestety nasza Ojczyzna wyraźnie odczuwa słabszą kondycję, wierzę, może naiwnie, że właśnie słowo i rozum wezmą górę byśmy nie podzielili degrengolady z Rosjanami. Mam już bardzo dużo lat i wiem, że czas się kończy, ale chłonę Polskę każdego dnia i czytając gazety także każdej nocy. Los mojej Ojczyzny, mimo moich rozlicznych zainteresowań, stał się dla mnie tematem najważniejszym. Boleję nad, niestety, Jej słabnącą pozycją gospodarczą i polityczną. Jednak wierzę mocno, że nagle się coś odmieni i zrodzi się konstruktywny ruch jak w 1989 roku, nadający naszej kochanej Polsce rangę, ważność i prestiż. Byśmy mogli, z naszej Polski, być uzasadnienie dumni, kiedy powstanie znowu w formie pięknej, stworzonej przez ludzi mądrych, kompetentnych, wykształconych, odpowiedzialnych i bez reszty Jej oddanych.



Wychowankowie Liceum Ogólnokształcącego w Izbicy podczas Zjazdu Absolwentów; od lewej: Jacek Gajzlerski (matura 1959), Sławomir Biernacki (1962), prof. Włodzimierz Winclawski (1960), Andrzej Bartkowski (1962) i Karol Gębka (1963), Izbica Kujawska, 8 września 2012 FOT. ARCHIWUM A. BARTKOWSKIEGO

Takich ludzi znała nasza przeszłość i dziś ich nie brakuje. Istnieli w naszej historii i kulturze. Wiem, że dziś istnieją ludzie wspaniali, choć często kuriozalne splątanie polityki, historii, układów i przypadku nie tworzy im warunków do głównych i pięknych ról. Historia, nader często darzy nas skazaniem na zablakane indywidua, które z powodzeniem wiodą nas w sfery doznań, od dyskomfortu poprzez wstyd do katastrofy i dramatu.

Taka, niewyobrażalna katastrofa dokonuje się teraz na wschód od naszych granic. Doświadczamy jej teraz w naszych sercach, duszach i sumieniach, bo jest to także nasza wielka cywilizacyjna tragedia. Tu zamilknę, wszak to inny, choć jakże bolesny temat. Zresztą, trudno jest tu o jakiś mądry komentarz.

Wróć jeszcze na chwilę do mojej polonistki, pani profesor Barbary Wysłouch. Pozostał we mnie wielki dla niej szacunek. Tak sobie wyobrażam idealnego nauczyciela. Dostrzegam jej wielki udział w mojej ogromnej sympatii do poezji i literatury, mimo że wtedy większość lektur tylko kartkowałem. Ale cóż, rozsądek lubi się spóźniać.

Muszę tu wspomnieć też Jej męża, dyrektora naszego Liceum, Henryka Wysłoucha. Wiele razy, nawet dość brutalnie, „przezołgał” mnie, ale chwala mu za to. Wspomnę tu moją szczeniacką głupotę, w którą wprost nie mogę dziś uwierzyć. Była w liceum tzw. duża przerwa i wtedy była przez panią woźną podawana kawa pita z przyniesioną z domu kanapką.

Ciąg dalszy na s. 46 ▶



Mój dom rodzinny przy ulicy Żwirki i Wigury nr 7



Ta pompa zaopatrywała w wodę pół miasta



Tu była kiedyś księgarnia; kraty i zamknięcie na sztaby jak przed laty...



Na dawnej stacji kolejki wąskotorowej FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BARTKOWSKIEGO



## ► Ciąg dalszy ze s. 45

Ja, jeden, poczułem się na tyle wytrawnym smakoszem, że ta kawa mi nie leżała. Przez wiele dużych przerw zwracałem się do pani woźnej z szyderczym żądaniem „no, niech pani naleje tej swojej lury”. Po pewnym czasie i kolejnej mojej idiotycznej zagrywce, dostałem mocno w łeb chochlą pani woźnej aż krople kawy z mlekiem było widać na szkolnych fartuszkach moich koleżanek. Do dziś widzę i czuję łzy na twarzy woźnej Pani Twardowskiej oraz mój do dziś odczuwalny wstyd. Dziś oczywiście chciałbym ją przeprosić. Nie mam słów na moje usprawiedliwienie. Dyrektor wyrzucił mnie ze szkoły. Uważam, że słusznie. Ach, co to było. Rozpacz mojej mamy i dwa tygodnie jej zabiegania bym mógł kontynuować naukę. Dyrektor w końcu przywrócił mnie, ale dziś jestem po jego stronie. Otrzymałem od niego lekcję pokory i stwierdzam, że był to wyjątkowy i wspaniały nauczyciel. Imponował mi wiedzą, szacunkiem dla poezji i intelektem, w którym wtedy zacząłem zaledwie się orientować.

Kiedy przyszedł na zastępstwo do klasy i pięknie wyrecytował *Maraton* Kornela Ujejskiego, wiersz składający się z siedmiozwrotkowego wstępu i ośmiu części, czyli około dziesięciu minut recytacji. W holdzie, tak, w holdzie dla jego decyzji o wyrzuceniu mnie ze szkoły postanowiłem się tego *Maratonu* nauczyć na pamięć. I przy wielu okazjach przez całe życie recytowałem go w całości. Dziś pamiętam tylko wstęp i pierwszą część.

Kiedy ukończyłem szesnaście lat, tzn. po dziesiątej klasie, w wakacje 1961 roku i rok później, zaraz po maturze i oblaniu egzaminu wstępnego na Politechnikę (czerwiec '62), pracowałem jako asystent operatora filmowego w Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka”, aż do jesieni 1963. Były to najpierw filmy wojskowe, a później krótkie filmy fabularyzowane z udziałem wtedy debiutujących, ale do dziś bardzo znanych artystów, jak Jan Nowicki, Anna Seniuk, Ewa Demarczyk, Piotr Skrzynecki i wielu innych.

Praca dzień i noc, i to w bardzo ciekawych miejscach Polski. Przytoczę kilka tytułów filmów: *Wesele góralskie w Zakopanem*, *Tratwę przez Mazury*, *Kraków nocą*, *Jazz i piwnice*, *Polowanie na dziki* i jeszcze kilka. Największa przygoda mego życia, która ma piękny i niekończący się ciąg dalszy.

Mimo wspaniałych łask nieba w postaci wielkiej i udanej przygody z rozległymi i pełnymi treści podróżami zagranicznymi oraz wręcz tak udanej, że aż trudnej do uwierzenia, przygody z biznesem... to jednak na starość zawładnęła mną sztuka. Sztuka niesiona talentem artystów. Jej treść, przesłanie i satysfakcja jaką daje, jest moim spełnieniem. Kontakt ze sztuką w młodości, wręcz nalo-



Dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Izbicy Henryk Wystlouch



Profesorowie liceum - od lewej: Marceli Kosman, Barbara Wystlouch, Karol Synowiec

FOT. GIMNAZJUM I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE W IZBICY KUJAWSKIEJ

gowe chodzenie do teatru i kina w czasie studiów, teraz, w starczym wieku tak daje mi o sobie znać, że stałem się mecenasem sztuki i kultury. Organizuję i finansuję liczne koncerty, wystawy malarstwa i rzeźby, rozmowy ze znanymi artystami. Uczestniczyło w nich już kilkadziesiąt tysięcy ludzi bezpłatnie. Przeżywam z nimi wszystkie te spotkania z kulturą bardzo emocjonalnie. Ale, o tym innym razem.

Planowałem studia na Wydziale Operatorów Szkoły Filmowej w Łodzi, z mocną zachętą „moich” operatorów, sławnych niegdyś Witolda Leśniewicza i Sergiusza Sprudina. Wówczas na Wydział Operatorów było czterdziestu kandydatów na jedno miejsce i po nieudanej próbie na Politechnikę, demotywowany przez bliskich, zrezygnowałem. Zostałem więc studentem, sam nie wiem dlaczego, Wydziału Melioracji Wodnych SGGW. Mocno się wstydę przynajmniej, że zdobywana przez pięć lat wiedza uczelniana była mi dość silnie obca. Nie interesowała mnie. Ot, trzeba było, to zdawałem egzaminy. Nauczenie się do egzaminu tak, żeby tylko zdać, myślę, że i dziś to niezbyt trudne. Ale ten studencki okres

życia, wtedy był mimo to wspaniały. Przyznaję, z pewnym – ale z nie za dużym zaangażowaniem – że nie miałem wtedy żadnych ambicji zawodowych. Ba, nie dopuszczałem do siebie myśli, że będę kiedyś, nie daj Boże, pracował jako meliorant, nawet jakbym miał być profesorem czy ministrem. Ot, pomyłka w wyborze studiów. Młodzież przestrzegam.

Och, jaki był piękny ten studencki czas. Miałem fajnych kolegów, prześmieszne wojsko w każdą środę i na obozach wojskowych, i... przenaświetszą młodość. Mieszkałem w akademikach, a szczególnie „na Jelonkach”. Było prymitywne, ale... cudownie. Jak patrzę na swoje, z tamtej PRL-owskiej epoki, zdjęcia, to, co tu mówić, taka uroda ode mnie bije, że nawet się nie dziwię, że „szły na mnie” nie tylko piękne, ale co najważniejsze, bardzo kulturalne dziewczyny. A co?! Ciągnęły mnie do klubów dyskusyjnych, kin, kabaretów, filharmonii, teatrów, gdzie zawsze siedzieliśmy na schodach, gdyż przychodziliśmy w ostatniej chwili i wchodziliśmy „za dychę” dla biletera. Ale nawet jeśli siedzieliśmy na schodach i nie dało się ukryć, że to, co na scenie nas nie zachwyca, to nie żalowaliśmy. Zawsze było warto. Pamiętam, że tłumaczyliśmy sobie wtedy, że w przygotowaniu takiego spektaklu musiało uczestniczyć kilkadziesiąt wrażliwych i oddanych teatrowi ludzi, i jeśli to ich dzieło nie po naszej myśli, to trzeba jednak te starania uszanować. Chyba tu trochę w tej dobroci przedobrzyłem?

Tańczyłem wtedy w zespołach tanecznych Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej, a także byłem kierownikiem zespołu tańca SGGW. W klubie „Stodoła” byłem solistą tanecznym wtedy w pierwszym polskim musicalu wystawianym na Pomorzu *Kto to wie* (może „Ktokolwiek wie” – nie pamiętam) z udziałem m.in. Magdy Umer, Tomka Andrzejewskiego oraz Andrzeja Rosiewicza, mojego kolegi z uczelni. Ten spektakl z pełnym rozmachem scenicznym miał być prezentowany stale w Warszawie, na scenie DS Riwiera. Latem, chyba 1971 roku, wyjechaliśmy całym zespołem, big-bandem



Autor przed maturą, Izbica 1962

FOT. ARCHIWUM AB



i solistami do Darłowa gdzie spaliśmy w jakimś ośrodku wypoczynkowym na znanych nam z akademików zsuniętych, jedno przy drugim, żelaznych łózkach. Trwały tam całonocne próby, a co drugi wieczór odbywały się spektakle „na drugiej”, wzorem przedpremierowych Broadwayowskich teatrów. Tą prowincją – przepraszam mieszkańców – były wtedy miasta Słupsk, Ustka, Sławno, ale i Koszalin, a może i Kołobrzeg.

Ukazywały się znakomite recenzje w lokalnej prasie, ale niestety musical z przyczyn nieartystycznych nie miał kontynuacji w Warszawie. Przytoczę jedną, trochę humorystyczną, sytuację... Pamiętam moją solową prezentację w sekwencji chińskiej musicalu, kiedy pośrodku sceny wykonywałem mój popisowy taniec Chińczyka z siedmiometrową szarfą. I, pierwszy raz w życiu, ta moja, zawsze posłuszna mi szarfa, nagle... się zaplątała. Nie chciała fruwać. Była to moja klęska. Miałem ochotę w pokorze oddać się głębinom Bałtyku. Aż tu, aż tu... brawa, brawa, brawa. Oczywiście zrozumiałem łaskawość widowni. Każdemu może się przydarzyć. Po spektaklu jednak dowiedziałem się, że salę prawie w całości wypełniała zorganizowana społeczność niewidomych. To nie jest żart. Fakt ten, traktuję jako ten mój fart, którego wcześniej i później, a nawet dzisiaj doświadczam. Ciekaw jestem, czy to się nie zmieni... tam, gdzie już, niestety, orbitują moje myśli.

Później też produkowałem się w układach tanecznych w warszawskim musicalu Klubu Stodoła *Och, jak mi dobrze w pomarańczowym jest z udziałem m.in. Elżbiety Jodłowskiej i Andrzeja Rosiewicza*. Z Andrzejem Rosiewiczem, moim kolegą z uczelni, też meliorantem, zawzięcie trenowaliśmy stepowanie pod okiem wiekowego już tancerza z Ameryki, w klubie „Jajko” na SGPiS-ie (dziś Szkoła Główna Handlowa), ale później to Andrzej Rosiewicz stał się gwiazdą, a ja raczej... zniczem, przynajmniej jeśli chodzi o stepa, chociaż czuję ciągle do tego typu tańca wielki sentyment i dziś, jak chcę zabłysnąć w towarzystwie, to popisuję się kilkoma wytrenowanymi *pas*. Ach, co tam Fred Astaire.

Pracowałem także w radiowęzle studenckim, niewiele w tej materii potrafiąc i dopiero teraz, kiedy zaczęto głośno mówić o niekompetencjach prezesów spółek skarbu państwa zaczęły mi odchodzić wyrzuty sumienia.

Wręcz namiętnie, bywałem aktywnym balowiczem wszystkich klubów studenckich, choć bardzo mi przeszkadzała w nich zbyt głośna muzyka, bo zawsze przedkładałem możliwość pogadania i pożartowania nad absolutnie nietaneczne bujanie się w rytm łomotu głośników.

No, i jeszcze jedno wspomnienie. Na pierwszym roku studiów byłem bardzo bied-



Praca w filmie jako asystent operatora, 1962

ny. Nie załapałem się ani na akademik, ani na stołóvkę studencką. Mieszkałem „na waleta” w akademiku przy ulicy Madalińskiego, w pokoju 307. Spałem z moim kochanym kolegą z Izbicy Kujawskiej, Zdzichem Urbańskim, w jednym łóżku. Ja wahałem jego nogi, on moje. A nasze młodzieńcze dupska dotykały podłogi, bo sprężyny akademikowych łóżek były dość rozciągliwe. Pamiętam, jak w tym czasie chodziliśmy ze Zdzichem do nowo otwartego Supersamu na placu Unii Lubelskiej, by poprzyglądać się pięknie podświetlonemu i – tym nowoczesnym wtedy światłem – podgrzewanemu kalafiorowi z zasmażką. Wracaliśmy jednak do akademika tylko z wrażeniami wizualnymi, bo cena kalafiora była dla nas zaporą.

W gościnnym dla mnie akademiku, jadłem przez blisko pół roku chleb przyniesiony przez moich kolegów ze stołówki. Dżem miałem swój, a herbatę Ulung piłem ze strasznie potłuczonego aluminiowego kubka. Czasem chodziłem na stołóvkę do akademika żeńskiego na tzw. „sępa”, gdzie dziesięć minut przed końcem wydawania kolacji już nikt nikogo nie sprawdzał i załapywałem się na fasolkę po bretońsku, a raczej sos po fasolce. Ten sos łagodnie oblewał mój kciuk, trzymający wypełniony po brzegi talerz. Nigdy nie zapomnę spełnienia po oblizaniu kciuka wyciągniętego z sosu. A potem to fantastyczne upojenie się samym sosem wyciąganym z talerza kromkami chleba, który już można było brać z kosza bez ograniczenia. A jeśli w sosie pojawiało się siedem, no niech będzie nawet dziewięć dorodnych, zabłąkanych do chochli kucharek ziaren fasoli, to wysmarowawszy chlebem cały sos zostawiałem te ziarna na deser. Dotykałem je chlebem, wycierałem z sosu i na koniec miażdżyłem je językiem o podniebienie z rozkoszą jaką – poznani

później – smakosze francuscy nie mogli mieć nawet degustując najdroższy kawior świata Royal Oscietra Caviar i popijając szampanem Dom Perignon. Jakaż to była rozkosz i ucztą! Ten smak, sosu po fasolce po bretońsku, w stołówce akademika na ulicy Madalińskiego przewyższa wszystkie smaki, które się później z wielkimi nawet rozkoszami pojawiały w moim bogatym życiu.

Pamiętam jeszcze, że opanował nas w tym akademiku wtedy... szatan poker. Graliśmy i graliśmy. Jak głupi. Całe noce. Na pieniądze, ach pieniądze, to były grosze, bo pieniędzy to nie mieliśmy. Często wygrywałem, bo nauczyłem się oszukiwać. Wciągała mnie rola mini szulera. Jeden złoty i sześćdziesiąt groszy, ale to jednak... wygrana. Wygrywałem te grosze, ale zacząłem przegrywać... egzaminy. Całą letnią sesję egzaminacyjną przegraliśmy w idiotycznego groszowego pokera, który nas pożarł. Cud, że w wakacje otrzeźwiałem i zdałem we wrześniu wszystkie egzaminy. Boże, jakie szczęście, że się wtedy opamiętałem, gdyż później dane mi było poznać wielu hazardzistów, wręcz samobójców. Ratunkiem znowu okazała się praca.

Zacząłem pracować w spółdzielniach studenckich. Pierwsze mycie okien dostałem, o zgrozo, na własnej uczelni. Jak ja się wstydzilem. Zamieniałem się cały w te moje szmaty do mycia okien. Staralem się pod nimi ukryć. Wydawało mi się, że wszystkim, którzy mnie znają, a więc profesorom, asystentom i moim kolegom studentom narażę się na kpiny. Szczęśliwie, z czasem, praca zaczęła mi imponować. No, i od tego czasu to już mam wielką sztamę z pracą w kilkudziesięciu formach. Stała mi się ona przyjaciółką i dzięki temu prawie całe dorosłe życie nie mam problemu z pieniędzmi. Pozwolą Państwo, że na wszelki wypadek użyję tu formy bezokolicznikowej czasownika „odpukać”.

Wstawałem wtedy o czwartej rano, jechałem zatłoczonym Chaussonem z Jelonek na Mokotów, do Studenckiej Spółdzielni Pracy „Bartus”. Czekałem na przydział szmat i zaiwaniałem wszystkie okna w firmach państwowych, bo innych nie było. Najczęściej w budynkach rządowych i ministerstwach, skutecznie zawyżając obmiar powierzchni mytych szyb i ram okiennych. Ten właśnie proceder, wielu powie, naganany, jednak traktowałem jako moją prywatną walkę z nieprzychylnie postrzeganym przeze mnie panującym wtedy systemem politycznym i gospodarczym. Kasowałem więcej od PRL-u niż się należało za umyte szyby i ramy okienne. Chciałem ten system jakby wewnętrznie osłabić, powiem więcej – rozsadzić od środka. Dziś zaczynam mieć wątpliwości, czy mogę zapisać to sobie na poczet mojego kombatanctwa.

Ciąg dalszy na s. 48 ▶



## ► Ciąg dalszy ze s. 47

Gdybym ja wtedy wiedział, o ile prostszy i wygodniejszy jest sposób ze spaniem na styropianie, ale kto wiedział wtedy, że taka możliwość istnieje, a i potrafi być trampoliną na najbardziej eksponowane stanowiska.

Poza pracą w spółdzielniach studenckich obowiązywały mnie tzw. balangi, prywatki, bale studenckie, podróże z „Almaturom” i autostop po całej Europie. No i jeszcze dorzucę coś dla ducha, a więc kina, teatry, koncerty, upojne randki no i – och, zapomniałbym – wykłady, ćwiczenia, zaliczenia i egzaminy. W tym okresie, o ile sobie przypominam, to prawie wcale nie spałem, a jeśli już, to zawsze budziłem się z niemalym kacem, bo trzeba wszystkim wiedzieć, że wtedy (w latach 60.) studenci, a przynajmniej ci aktywni, wypijali przeciętnie po półtora „Jabola” dziennie. I, o dziwo, przeżyliśmy. Do dziś mnie dręczy ten fenomen biologiczny. Utwierdza mnie to w przekonaniu na moją wyjątkowość, choć powielanie tego modelu zachowania uważam za zbyt ryzykowne.

Stan studencki przedłużyłem więc sobie niemało. Owszem, miałem w związku z tym pewną... traumę. Szukając usprawiedliwienia wpadłem w Wikipedii na hasło „Kopernik”. I się okazuje, że człowiek studiował... dwadzieścia lat! Pomijam stan wiedzy, nie o tym teraz mowa.

**O**stro podróżowałem po Europie i Afryce Północnej i to... autostopem. Byłem prekursorem tych podróży, a kompaniami od 1968 roku byli moi wspaniali przyjaciele Andrzej Koziczyński i Sławek Biernacki, z którymi do dziś wspominamy i wspominamy nieraz dochodząc nawet do „ćwierć na głowę”, ale z drogą zakąską. Organizowałem wyjazdy dziesiątkom studentów w akademiku, którzy do dziś są mi wdzięczni za załatwienie im wyjazdu, który miał wpływ na ich kariery zawodowe, życiowe losy, ale też znajomość języków i przywiązanie do spotkanych po drodze kultur. Nikt z nas wtedy (a było nas kilkudziesięciu) nie miał żadnych relacji z władzami czy tzw. służbami. Przynajmniej ja, jako działacz, w tym zakresie nic o tym nie wiem. Nie ryzykowałbym takiego stwierdzenia, gdyby nie kilkudziesięciu kolegów do dziś szczęśliwie żyjących świadków. Drażni mnie więc powszechna opinia, że w tym czasie, by wyjechać za granicę, trzeba było „współpracować” z ówczesną władzą, czyli – jak się powszechnie mniema – donosić. Ciekaw jestem, co my, studenci moglibyśmy wtedy ciekawego donieść władzy. Niewątpliwie przypadki takiej współpracy musiały być, bo system jak wiemy był podły. Ani ja (przysięgam!), który w latach 1967-1974

Winobranie w Carcassonne, 1967

FOT. ARCHIWUM AB



załatwiłem kilkadziesiąt tzw. zaproszeń do Francji dla moich kolegów studentów, ani oni, nie mieli żadnych ograniczeń w wyjazdach na zachód, poza obowiązkami wizowymi, które oczywiście były trudne.

Pasporty i wizy otrzymywaliśmy po przedstawieniu tzw. „zaproszenia”, które było oczywiście fikcyjne, od jakiejś rzeczywistej rodziny, która niby to, zobowiązywała się do pokrycia kosztu naszego pobytu we Francji. Z racji moich prywatnych relacji z Francuzami, a raczej Francuzkami, pięknymi studentkami poznanymi, kiedy już pracowałem w „Almaturom” jako pilot grup francuskich studentów, zaproszenia te załatwiałem bywając później u nich w Paryżu, w znacznych rodzinach i pięknych mieszkaniach w 8. dzielnicy, i zdobywając, co tu dużo gadać, zaufanie ich rodziców. Tak naprawdę, jak większość spraw w tym naszym PRL-u, jak już zazaczyłem, to była fikcja, ale właśnie ta fikcja, była wtedy naszą gwiazdą i niby w co mielibyśmy wtedy wierzyć? Któż to dziś zrozumie.

Niby wtedy nie można było wyjeżdżać z Polski, a ja z kolegą Jackiem Nawrockim, w 1967 roku (uwaga: 55 lat temu!), odbyłem dwumiesięczną podróż autostopem po kilkunastu krajach Europy (mam dokładny kalendarzyk podróży), a w późniejszych latach bywałem to w Niemczech, to we Włoszech, to w Hiszpanii. Absolutnie legalnie, nawet, raz, wykorzystując państwowy przydział na 230 dolarów po kursie oficjalnym do realizacji w... Algierii! Takiej kombinacji PRL-owskich przepisów nie wymyślili nawet w Związku Radzieckim czy w koreańskim gangu Kim-ów, a ja i moi koledzy, i może jeszcze kilku cwaniaków-rodaków, w absurdalnych oparach polskiego komunizmu wyjechaliśmy przez Hiszpanię, Algeciras-Gibraltar, Tanger, Maroko do Algierii, by... zamieniać wtedy dinary algierskie (niewymienialne) na dolary amerykańskie (wymienialne). Ale gdzie to było możliwe?... na lotnisku w Algierze, w transakcjach znanych spod Pewexu *change many* z cudzoziemca-

mi wylatującymi z Algieru, zobowiązanymi do opłaty lotniskowej w walucie lokalnej. Celowo podaję tę szaradę, która dziś wydaje się trudną. Zresztą, wtedy też była, przez co załapywali się tylko spryciarze. No, nie żeby się przechwalać, ale wtedy za granicę byliśmy naprawdę nieliczni i trzeba było mocno pogłódkować. Dziś powraca system absurdalny. Z pewnością czekają nas przygody, ale i będzie potrzebna – poza proponowaną przez ministra Czarnka – dodatkowa edukacja, by przetrwać.

Podczas moich młodzięcych pobytów we Francji, bardzo dużo i bardzo ciężko pracowałem, oraz załatwiałem tam tę trudną, ale jakże radosną wtedy pracę wielu polskim studentom. Najpierw pracowałem przy winobranii przy granicy z Hiszpanią. Miałem szczęście też nosić przez kilka nocy, świńskie półtusze w starych halach paryskich, co czyni mnie, w pewnym sensie, bądź co bądź twórcą paryskiej kultury. Później w okolicach Tuluzy zrywałem winogrona i jabłka, które każdego roku z wielkiej chęci przywiezienia jakiegoś grosza do domu, wystarczały mi przez ponad miesiąc jako jedyne pożywienie. Takie, przedłużone wakacje powtarzały się, aż wreszcie znalazłem swoje przeznaczenie i przez kilka sezonów zasuwałem jako *déménageur* („przeprowadzacz”). Nosilem pianina i kredensy nie byle komu, bo przeprowadzaliśmy tylko dyrektorów Banque de France (Centralny Bank Francji), a więc... otarłem się też o wielkie finanse. O Jezu, jaka to była ciężka praca. Padałem na tak zwany pysk i na *trottoir*, kiedy wieczorem wysiadałem z ciężarówki. Nauczyłem się tam jednak szacunku dla pracy, który mi się bardzo przydał w dorosłym życiu. Tu znów mała dygresja – pamiętam, że te nasze przeprowadzki dyrektorów Banque de France z departamentu (odp. województwa) do zawsze bardzo odległego departamentu Francji miały wtedy miejsce co dwa lata by zminimalizować możliwość powstania lokalnej korupcji. Miało to miejsce już... ponad pięćdziesiąt lat temu!?



Z tych wojaży (to już w 1968 roku), przywiozłem sobie jakże „piękny” samochód – Simca Montlhery z białymi oponami i białą „skórą”. Przywiozłem ją bez prawa jazdy. Jeden raz byłem kontrolowany w RFN. Do wszystkiego się Niemiec przyczepiał, ale nie żądał prawa jazdy. Najgroźniejszym recenzentem okazała się wtedy moja kochana Mama, która rzekła: „Oj, synu, skąd ty taki złom wytrzasnąłeś?”. Podróż Simcą z Paryża do Warszawy, ze wspomnianymi wcześniej Andrzejem Koziczynskim i Sławkiem Biernackim, a szczególnie odcinek przez NRD w 1968 roku, to wręcz opowieść kalibru *W pustyni i w puszczy*, a może nawet *Indiana Jones*. Kosztowała ta Simca 120 dolarów, ale grała wtedy w Warszawie za supergwiazdę. Każdy mój egzamin na uczelni profesor zaczynał od tematu samochodu, co nie uchroniło mnie od kilku dwój i to na dwie kratki w indeksie.

Simca była moja, ale należała też do całej super ferajny moich kolegów studentów. Mogłoby nas jechać czterdziestu na imprezę, ale „jechaliśmy Simcą”, i mało tego, mimo tych alpag i jaboli, też „wracaliśmy Simcą”. Ta Simca za 120 dolarów, już po polskim remoncie, bordowa, lśniąca, z czarnym dachem, w latach 60. i początku 70. była dobrą znajomą braci studenckiej z wielu uczelni Warszawy. Kto wtedy miał samochód?! Nic nie bujam. Telewizja zrobiła o nas duży reportaż, który do dzisiaj jest w Internecie. Simca grała w czterech filmach fabularnych, zarabiając chyba dziesięć razy więcej niż kosztowała. Dziś czytam w wielu książkach o podobnej roli z tamtych lat motorówki Agnieszki Osieckiej. Oczywiście *toutes proportions gardées*.

No, i wreszcie trzeba było iść do pracy i sprawdzić się jako... inżynier. Nie mogłem sobie tego wyobrazić, szczególnie nie mogąc opuścić dziesiątek moich ugruntowanych pozycji w establishmencie studenckim, czy to na bramkach klubów, gdzie często wystarczała graba, żeby wejść. Pal diabli te parę groszy za bilet, ale jaki szpan. Ciężko było mi odejść od zespołów tanecznych. Nie umiałem zrezygnować z wylewania potu do późnej nocy ćwicząc mazury, krakowiaki albo stepując. No i niby, cholera wie po co? A jednak. A jednak!

Los jednak dał mi jeszcze jedną szansę zawodowego wyzwania. Chcąc przedłużyć sobie żywot studencki po ukończeniu studiów na SGGW wstąpiłem na dwuletnie podyplomowe Studium Afrykanistyczne Uniwersytetu Warszawskiego. Wreszcie poznałem przyjemność studiowania. Etnografia, geografia, historia, religie, język francuski, ale techniczny, a nawet język... hausa. Z tego ostatniego zostały zeszyty i podręczniki, ale w głowie już pustka. A oto moje wyzwanie. Tuż po ukończeniu studium zaproponowano mi, inżynierowi-afrykaniście, bym wyjechał

na dwa lata do Gabonu na budowę wielkiego jazu. I tu nie podolałem wyzwaniu, choć była to ostatnia szansa, by zostać meliorantem. Pomógł mi wtedy konsulat Gabonu w Paryżu odmawiając mnie i kilku moim kolegom inżynierom wiz. Wyszli ze skądinąd słusznego założenia, że bez baby nie damy rady przez dwa lata. Z perspektywy lat pozostał mi duży respekt dla Gabończyków za ich słusze i perspektywiczne myślenie.

Pracując we Francji, ostro trenowałem język francuski. No i przydało się. Zaczęłem pracę najpierw w studenckim „Almaturze” pilotując grupy francuskich studentów. Zaczęłem od dwutygodniowego tournée po Polsce Choeur Universitaire de Paris. Byłem nie tylko pilotem, ale także konferansjerem koncertów tego chóru. Koncerty w miastach powiatowych były szeroko anonsowane i oczywiście dla ludu darmowe. Chór jak chór, zawsze to jest wydarzenie prawie wysokiej kultury, a więc pierwsze wielce ambitne spektakle w równie ambitnym tournée waliliśmy ambitnie przy sześciu, siedmiu widzach na sali wliczając obsługę. Pięknych uniwersyteckich chórzystek z Paryża było pięćdziesiąt. Po drugim takim koncercie chórzystki zaczęły powątpiewać w wartość swojego talentu i rację swojego powołania i misji. Zapytywały o możliwość wcześniejszego powrotu do Paryża, olewając zaplanowane tournée.

Pamiętam, że mając wtedy wielki respekt dla wysokiej sztuki i kultury francuskiej, absolutnie zdesperowany, kupiłem w miejscowym MHD siatkę win marki „Wino” ogólnie znane jako „Patykiem pisane” na ewentualne dowartościowanie młodych artystek. Wczorazem sam wypilem dwie butelki w nadziei na nadejście jakiegoś pomysłu. Aż tu nagle, przy drugiej połowie trzeciej butelki, wpada mi do głowy idea, żeby do akcji wciągnąć zawsze niezawodne Wojsko Polskie. Do boju, więc! Cap za książkę telefoniczną. Może telefony armijne nie są tajne. Tak! – telefon

do komendanta miejscowej jednostki wojskowej. Komendant bystrzak... panienki?, piękne chórzystki? Wojsko zawsze z ludem! Miejsce? Godzina? Tak jest! Stawiamy się, obowiązku! No, i lud żołnierski zaczął nam robić buchającą frekwencję na pozostałych dziewięciu koncertach.

Nawet tak trudno przeze mnie anonsowane pieśni francuskie, jak np. *En passant par la Loraine avec mes sabots* chłonęli chłopcy w mundurach, że tak powiem „całym ciałem”, kiedy łabędzi śpiew się wydobywał z gardeł pięknych, młodych i utalentowanych chórzystek, i to gdzie... „w Łomży lub Nakle”, w roku 1972. Był czas wczesnego Gierka. Francja na fali. Po każdym koncercie, przed lokalnym Ośrodkiem Kultury, była piękna feta integracji polskiej, męskiej żołnierskiej braci z bratnim żeńskim narodem francuskim, utalentowanym wokalnie i mającym na wyposażeniu nieprzeciętną i zagraniczną urodę. Zachwyty i komplementy z braku znajomości języka wyrażane były nie tylko językiem. Wymiana adresów, no i pachnące *Soir de Paris* ręce francuskich, pięknych studentek spletały się, z wprowadzie młodymi, ale nawykłymi do prania onuc i trzymania wyciorów dłońmi polskich żołnierzy poborowych. Łzy w oczach pełnych uwielbienia dla przyjaźni polsko-francuskiej, mimo iż ówczesna ideologia sugerowałaby dyskretną separację. Dłonie francuskich artystek i humanistek w szorstkawyach dłoniach obrońców polskich granic. Moc historyczna, uczucie, metafizyka!... koniec!

Padła wreszcie, cholera, ta tragiczna dla żołnierzy i pięknych chórzystek komenda sierżanta: „W dwuszeregu zbiórka!”, „Oddział, do ciężarówek, marsz!”. Rozkaz to rozkaz, ale co sobie wojsko myślało to nie daj Boże księdzu wiedzieć. Wojsko odjeżdżało. A ja zostawałem z chórzystkami sam. Każdy dobrze wie, że... samotność nie jest łatwa.

ANDRZEJ BARTKOWSKI ■



Legendarna Simca Andrzeja Bartkowskiego, przywieziona z Francji w 1968 roku. FOT. ARCHIWUM AB



□ W przeddzień 79. rocznicy „krwawej niedzieli” na Wołyniu – kulminacyjnego dnia rzezi wołyńskiej, akcji masowego ludobójstwa polskiej ludności cywilnej przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B), Ukraińską Powstańczą Armię (UPA) oraz ukraińską ludność cywilną – 10 lipca 2022 roku w Domostawie na Podkarpaciu odbyła się uroczystość wmurowania Aktu erekcyjnego oraz ziemi pobranej z miejsc kaźni na Wołyniu w fundament przyszłego cokotu pomnika *Rzeź Wołyńska*. Pomnik autorstwa Andrzeja Pityńskiego, o którym pisaliśmy na łamach „Ostoi” (nr 2/2021, s. 6-11), dzięki odważnym przedstawicielom lokalnej władzy Jarocina, ma stać przy drodze ekspresowej S19, stanowiącej fragment Via Carpatia – międzynarodowej trasy wiodącej z Kłajpedy na Litwie do Salonik w Grecji.

# Pomnik wyklęty?

## Czy ktoś specjalnie blokuje przekazanie *Rzezi Wołyńskiej*



**24** czerwca mieliśmy, po wcześniejszych uzgodnieniach z dyrektorem odlewni, zdemontować pomnik i przewieźć go do Jarocina. Pod Krakowem wynajęliśmy specja od demontażu, a w Stalowej Woli firmę transportową. Ale dzień wcześniej dyrektor odlewni zadzwonił do mnie i powiedział, żebyśmy nie przyjeżdżali, bo nas nie wpuści do zakładu i nie wyda pomnika – tak wójt gminy Jarocin, Zbigniew Walczak, opisuje kulisy pierwszej, nieudanej próby „wydobycia” pomnika *Rzeź Wołyńska* z Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych.

Monument, autorstwa Andrzeja Pityńskiego (1947-2020), artysty-rzeźbiarza z Ulanowa przez lata mieszkającego w USA, upamiętnia masowe mordy na polskich mieszkańcach Wołynia i Małopolski Wschodniej, dokonanych w latach 1943-1944 przez nacjonalistów z OUN-UPA, wspieranych często przez miejscową, ukraińską ludność.



FOT. © ZBIGNIEW WALCZAK



Odlano go w 2017 roku z brązu w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych, a fundatorem było Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Okręg 2. w Nowym Jorku.

### Niechciane dzieło Pityńskiego

Pomnik nie mógł jednak znaleźć miejsca, bo lokalizacji odmawiały kolejne miasta: Jelenia Góra, Stalowa Wola, Rzeszów, Kielce i Toruń. Argumentowano, że jest zbyt kontrowersyjny i drastyczny, ponieważ jego ważnym elementem jest małe dziecko nadziane na długie, trójzębne widły, oraz główki dzieci wbite na sztachetach.

– W sumie, w tym pomniku chodzi o prawdę i oddanie czci i hołdu tysiącom bestialsko pomordowanych Polaków. Bez ujawnienia tej prawdy i przyznania się winowajców, nie można mówić o współpracy Polski i Ukrainy w przyszłości – tak Andrzej Pityński mówił o swoim dziele w wywiadzie dla „Sztafety” [lokalnej gazety na Podkarpaciu; sztafeta.pl], podczas swej wizyty w Polsce, latem 2017 roku.

### Znaleźli miejsce przy drodze

W końcu pomnik „przygarnęła” gmina Jarocin w powiecie nizańskim. Powstał tu Społeczny Komitet Budowy na czele z wójtem Zbigniewem Walczakiem. Rada Gminy podjęła w tej sprawie stosowną uchwałę, kupiono także działki w Domostawie, przy drodze S19, gdzie monument ma stanąć. Ruszyła też zbiórka pieniędzy – do tej pory na konto społecznego komitetu wpłynęło prawie 72 tys. złotych, a na internetowej zrzutkę – prawie 32 tys. złotych.

Z kolei 10 lipca br. w Domostawie odbyła się uroczystość poświęcenia i wmurowania Aktu Erekcyjnego oraz urny z prochami pobranymi z miejsc kaźni na Wołyniu pod budowę pomnika *Rzeź Wołyńska*. Wmurowano je w fundament przyszłego cokołu pomnika.

### Zakłady zatrzymały pomnik

Tymczasem monument cały czas stoi na terenie Odlewni Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych. Początkowo wydawało się, że z jego demontażem i transportem na Podkarpacie nie będzie problemu. Ale te pojawiły się po wybuchu wojny na Ukrainie.

W czerwcu br. wójt Walczak poinformował w mediach społecznościowych, że dyrektor Odlewni, uzasadniając to obecną sytuacją geopolityczną, odmówił udostępnienia szablonu potrzebnego do zamontowania pomnika i wycofał się także z obietnicy jego demontażu, przewiezienia i ponownego ustawienia monumentu. „Kazał mi poszukać sobie firmy, która to uczyni” – napisał wójt.

Gmina znalazła więc firmę pod Krakowem, która podjęła się demontażu *Rzezi*

*Wołyńskiej*, wynajęła też firmę transportową ze Stalowej Woli, która elementy pomnika miała przewieźć do Jarocina, gdzie oczekiwałyby na przygotowanie cokołu i całego miejsca lokalizacji monumentu. Ustalono już termin demontażu i przewiezienia – 24 czerwca br. Dzień wcześniej dyrektor odlewni zadzwonił jednak do wójta Walczaka i odwołał całą operację.

### Ktoś tu rżnie głupa

Jak twierdzi wójt Walczak, druga strona usilnie szukała pretekstu, by *Rzezi Wołyńskiej* nie wydać. Nawet prezes zakładów w Gliwicach napisała np. e-mail do fundatorów w USA, by ci notarialnie potwierdzili, komu należy przekazać pomnik: gminie Jarocin czy firmie, która ma go zdemontować i przygotować do transportu.

– Doskonale wiedział, że firma ta działa na nasze zlecenie. Mało tego, nawet przekazali jej gabaryty poszczególnych elementów. To świadczy o ich złej woli, powiem wprost: o rżnięciu głupa – komentuje dosadnie tę sytuację wójt Walczak.

Dodaje też, że potem zakłady w Gliwicach zaczęły stawiać warunki, co do kwalifikacji i uprawnień osób, które miały zdemontować pomnik i przygotować go do transportu. Wyciągnięto też zapis z umowy z fundatorami, że prace te mają wykonać zakłady, ale tylko w przypadku transportu pomnika do... USA.

Komentarza w tej sprawie zakładów w Gliwicach nie udało nam się uzyskać.

### Odślonięcie za rok

– Przygotowujemy się więc raz jeszcze, i tak chcemy zadbać o wszelkie szczegóły techniczno-organizacyjne, by znowu nie spotkała nas w Gliwicach nieprzyjemna niespodzianka. Choć jak ktoś się uprze, to zawsze jakiś pretekst znajdzie – podkreśla wójt Zbigniew Walczak.

Jego zdaniem, w tej sytuacji realnym terminem poświęcenia i odślonięcia pomnika jest 11 lipiec 2023 roku – 80. rocznica tzw. krwawej niedzieli, czyli zorganizowanego ataku na blisko 100 miejscowości na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, uznawanego za początek masowych i okrutnych mordów na polskiej ludności w latach 1943-1944.

Wójt zapewnia też, że pomnik będzie kompletny, czyli jego częściami będą też zdemontowane teraz w Gliwicach dwa ważne i drastyczne zarazem elementy: długie widły z nadzianym dzieckiem i dziecięce główki wbite na sztachetach.

### Prawda i przestroga

– Pomnik ten jest oryginalnym, wstrząsającym dziełem sztuki, oddającym w pełni prawdę o strasliwym ludobójstwie dokonanym przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskich Kresów. Na Ukrainie

doszło do niesłychanego zakłamywania historii, rozwinięcia państwowego kultu ludobójców, a co najgorsze edukacji najmłodszych w tym duchu. Pomnik Mistrza Pityńskiego z artystyczną precyzją i historyczną wiernością, ukazującą prawdę o zbrodni ludobójstwa, będzie jednocześnie przestrogą dla przyszłych pokoleń, do czego prowadzić może wyznawanie zbrodniczych ideologii – to fragment z Aktu erekcyjnego pomnika, wmurowanego 10 lipca br.

STANISŁAW CHUDY  
„SZTAFETA” ©

## AKT EREKCYJNY POD BUDOWĘ POMNIKA RZEZI WOŁYŃSKA AUTORSTWA MISTRZA ANDRZEJA PITYŃSKIEGO UPAMIĘTNIAJĄCEGO OFIARY LUDOBÓJSTWA UKRAIŃSKIEGO NA WOŁYNIU I W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ

Uznając potrzebę dbałości o prawdę historyczną oraz oddając hołd pomordowanym polskim mieszkańcom Wołynia i Małopolski Wschodniej wmurowano ten Akt w miejscu, gdzie stanie pomnik *Rzezi Wołyńskiej* autorstwa Mistrza Andrzeja Pityńskiego z Ulanowa, kawalera Orderu Orła Białego. Pomnik ten jest oryginalnym, wstrząsającym dziełem sztuki, oddającym w pełni prawdę o strasliwym ludobójstwie dokonanym przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskich Kresów.

Na Ukrainie doszło do niesłychanego zakłamywania historii, rozwinięcia państwowego kultu ludobójców, a co najgorsze edukacji najmłodszych w tym duchu. Pomnik Mistrza Pityńskiego z artystyczną precyzją i historyczną wiernością ukazującą prawdę o zbrodni ludobójstwa będzie jednocześnie przestrogą dla przyszłych pokoleń, do czego prowadzić może wyznawanie zbrodniczych ideologii.

Pomnik został ufundowany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Odlany został w odlewni GZUT w Gliwicach w 2017 roku.

Pomysłodawcą wzniesienia pomnika w tym miejscu był Zbigniew Walczak wójt Gminy Jarocin. Niniejsza lokalizacja została zaakceptowana przez Mistrza Andrzeja Pityńskiego w listopadzie 2018 roku.

W dniu 22 kwietnia 2021 roku Rada Gminy Jarocin podjęła uchwałę Nr XXIII.160.2021 w sprawie wzniesienia pomnika *Rzeź Wołyńska* na działkach zakupionych przez gminę w bezpośrednim sąsiedztwie trasy S19 tzw. Via Carpatia. Po wzniesieniu pomnika planowana jest budowa mauzoleum, którego głównym zadaniem byłoby dokumentowanie tragicznych losów mieszkańców wsi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1939-1947.

Ciąg dalszy na s. 53 ▶





FOT. © SKBP „RW” / FB

## Uroczystość podpisania i wmurowania Aktu erekcyjnego pod pomnik Rzeź Wotyńska, Domostawa, 10 lipca 2022



Grzegorz Braun



Aniela Olszówka



Uczestnicy uroczystości podczas Mszy św. polowej



Witold Zych



Urny z ziemią z miejsc ludobójstwa na Wotyniu – dar Myśliwych i Leśników (PZŁ Tarnobrzeg)



Poświęcenie Aktu erekcyjnego



Jolanta Wołoszyn



Grupy Rekonstrukcyjno-Historyczne: im. płk. Tadeusza Zieleniewskiego (Majdan Obleszcze), im. cc. mjr. „Zapory” (Betzyce), 1. Pułku Legii Nadwiślańskiej im. Ziemi Lubelskiej NSZ (Lublin), im. Wojciecha Lisa (Mielec), Maczkowcy z Antwerpii (Belgia) FOT. © SKBP „RW” / FB



Zbigniew Wałczak







# Dokument o prześladowaniu Węgrów z Zakarpacia

**N**a Węgrzech powstał film pt. *Ukraina túszul ejtette a kárpátaljai magyarokat* (Ukraina wzięła jako zakładników zakarpackich Węgrów), przedstawiający aktualne łamanie praw autochtonicznej mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu przez władze Ukrainy i podległe jej służby.

Według węgierskiego filmu dokumentalnego, Ukraina wykorzystuje wojnę z Rosją do wywierania presji na mniejszość węgierską. Węgrzy z Zakarpacia mają być masowo wysyłani na front lub nakłaniani do wyjazdu z Ukrainy, na ich miejsce zaś sprowadzani są Ukraińcy z głębi kraju.

Jak czytamy w opisie filmu w serwisie YouTube, „Ukraina nie zdała egzaminu z praw człowieka”. Twórcy zarzucają państwu ukraińskiemu, że poważnie narusza indywidualne i zbiorowe prawa mniejszości narodowej Węgrów, będących rdzennymi mieszkańcami Zakarpacia. Zaznaczają, że dochodzi tam do „genocydu językowego”, także swego rodzaju „czystek etnicznych”, w efekcie przemieszczania ludności.

Według zaprezentowanego materiału, Ukraina wykorzystuje mniejszości narodowe i etniczne jako „mięso armatnie” na wojnie z Rosją. Jak podano, liczba zmobilizowanych Węgrów z Zakarpacia jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do etnicznych Ukraińców. Zdaniem części komentatorów, zakarpackim Węgrom daje się wybór: albo wyjechać z Ukrainy, albo trafić na front.

Jeden z Węgrów, który wypowiada się w filmie, opowiada, że na Zakarpaciu przyjeżdżają młodzi ludzie z centralnej Ukrainy, podczas gdy Węgrzy są mobilizowani i wysyłani na wojnę z Rosją. Twierdzi, że jednego Węgra, gdy jechał samochodem, zatrzymała ukraińska policja i „z miejsca zabrali go na front”. Jego zdaniem, celem jest wysłanie na wojnę jak największej liczby z Zakarpacia. Nieliczne wyjątki mają dotyczyć m.in. niepełnosprawnych i opiekunów takich osób. Jednocześnie, wewnątrzni przesiedleńcy z centralnej części kraju mają być umieszczani w jakoby „opuszczonych” przez Węgrów domach.

Według tych relacji, trudności dotyczą również osób, chcących spotkać się ze swoimi bliskimi, którzy wyjechali z Ukrainy, w ramach systemu łączenia rodzin. Skorzystanie z tzw. ścieżki humanitarnej jest – jak twierdzi mężczyzna z filmu –



Straty Ukrainy według podziału na obwody na podstawie nekrologów, grudzień 2022

bardzo trudny. Ponadto, Węgrom każe się wracać na Ukrainę w ciągu 30 dni, pod groźbą kar finansowych lub więzienia. Jego zdaniem, ci Węgrzy, którzy w czasie wojny wyjechali z Ukrainy na Węgry, raczej już na Zakarpaciu nie powrócą.

INTERNETFIGYELO.COM, KRESY.PL ■

□ Film – zrealizowany przez Krajową Służbę Ochrony Prawnej, Krajowe Stowarzyszenie Filmowców i PestiSrácok.hu – o naruszeniach popełnionych wobec Węgrów na Zakarpaciu, można obejrzeć na stronie internetowej: [vk.com/video-196565111\\_456239022](https://vk.com/video-196565111_456239022) lub [www.youtube.com/watch?v=k00JApGRhmE](https://www.youtube.com/watch?v=k00JApGRhmE)



Rozpad Austro-Węgier w 1918 roku

□ **Zakarpacie** lub **Ukraina Zakarpacka** (także Ruś Zakarpacka, Ruś Podkarpacka; ukr. Закарпаття, węg. Kárpátalja, rum. Transcarpatia, cz. i słow. Podkarpatská Rus, rus. Карпатська Русь) – region historyczny na obszarze obecnej zachodniej Ukrainy, na pograniczu Polski, Słowacji, Węgier i Rumunii. Ruś Zakarpacka była przez prawie 1 000 lat, do końca I wojny światowej, częścią składową Królestwa Węgier (od 1866 w składzie Austro-Węgier). Od traktatu w Trianon (1920) w granicach Czechosłowacji. Przed II wojną światową powróciła do Węgier. Pod koniec II wojny światowej (1944) zajęta przez Armię Czerwoną i traktatem z 29 czerwca 1945 roku pomiędzy Czechosłowacją a ZSRR wcielona w jego skład. 22 stycznia 1946 Prezydium Rady Najwyższej ZSRR utworzyło obwód zakarpacki w ramach Ukraińskiej SRR. Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę stała się jej częścią.



# W 79. rocznicę Zbrodni Wołyńskiej

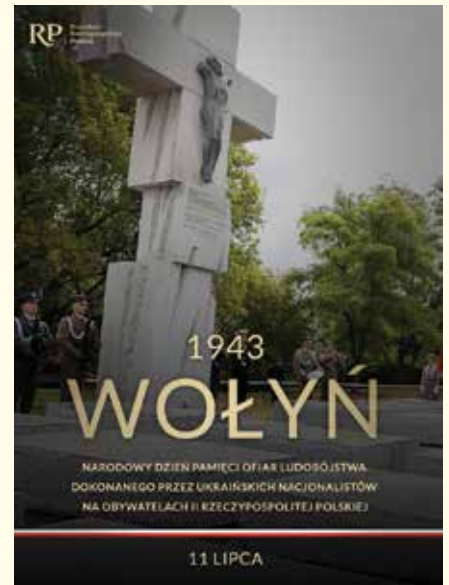
Spotykamy się pod tym pomnikiem co roku, ale w tym roku spotkanie ma znaczenie szczególne. W chwili, gdy Rosja dokonała bezprecedensowej agresji na niepodległą Ukrainę i wiemy, że także wydarzenia historyczne mogą być wykorzystywane przez propagandę rosyjską do tego, by zaburzać przyjaźń, jaka między Polakami i Ukraińcami w ostatnich miesiącach jest wyraźnie widoczna. Jesteśmy przekonani o tym, że tylko na prawdzie można budować wzajemne relacje. Żadne względy geopolityczne nie mogą zmieniać narracji historycznej.

Musimy pamiętać o ofiarach rzezi wołyńskiej i nie będzie to przekreślało pomocy, jaką wciąż będziemy okazywać naszym sąsiadom z Ukrainy. Nie będzie to także powstrzymywało nas przed konsekwentnym potępianiem rosyjskiej agresji.

Przyjdzie taki czas, że odnajdziemy groby ofiar rzezi wołyńskiej, będziemy je w stanie należycie upamiętnić. I Polaków, i Ukraińców. Staniemy nad tymi grobami, zbrodnię nazywając zbrodnią, a zbrodniarzy zbrodniarzami.

FILIP MUSIAŁ, IPN KRAKÓW ■

Cmentarz Rakowicki, 11 lipca 2022



□ **Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez Ukraińców na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej** obchodzony jest corocznie 11 lipca, w rocznicę tzw. krwawej niedzieli, gdy na Wołyniu doszło do największej fali mordów na Polakach. Zbrodnie dokonywane były niejednokrotnie z niebywałym okrucieństwem: ludzi palono żywcem, wrzucano do studni, używano siekier i widel, wymyślnie torturowano ofiary przed śmiercią, gwałcono kobiety. Badacze obliczają, że tylko tego jednego dnia, 11 lipca, mogło zginąć około 8 tys. Polaków – głównie kobiet, dzieci i starców. Akcja UPA była kulminacją trwającej już od początku 1943 roku fali mordowania i wypędzania Polaków z ich domów, w wyniku której na Kresach Południowo-Wschodnich – jak szacuje IPN – zginęło około 130 tys. Polaków. Sprawcami Zbrodni Wołyńskiej były Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – frakcja Stepana Bandery, podporządkowana jej Ukraińska Powstańcza Armia oraz ludność ukraińska uczestnicząca w mordach polskich sąsiadów. OUN-UPA nazywała swoje działania „antypolską akcją”. To określenie ukrywało zamiar, jakim było wymordowanie i wypędzenie Polaków. Za przeprowadzenie ludobójczej czystki etnicznej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej na polskiej ludności cywilnej bezpośrednią odpowiedzialność ponosi główny dowódca UPA, Roman Szuchewycz. Określenie „Zbrodni Wołyńska” dotyczy nie tylko masowych mordów dokonanych na terenach Wołynia, czyli byłego województwa wołyńskiego, ale także w województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim (Galicja Wschodnia), a także w województwach lubelskim i poleskim.

ISB / IPN ■



FOT. © JANUSZ SŁEZAŁ / IPN







Sowieckie samoloty szturmowe Iljuszyn Ił-2 nad Berlinem, 1945

FOT: BUNDESARCHIV//CC BY-SA 3.0

# Adolf Hitler. Koniec Legendy część 7

■ PETER RAINA



**T**rzecia Rzesza chyliła się ku upadkowi. Ów dramat rozgrywał się przez 30 dni kwietnia i jeden dzień maja. Niech więc same *dramatis personae*, naoczni świadkowie występujący w tej scenarii, opowiedzą swoimi słowami przebieg wydarzeń. Oto chronologiczny zapis wydarzeń tych dramatycznych dni...

## Rozpaczliwe dni kwietnia 21 kwietnia

**6.10** – Ostry ogień artylerii sowieckiej. Oddziały sowieckie przekroczyły Reichstrasse 2, stanęły już przed miastem Blumberg. Ostrzały artyleryjskie w centrum Berlina.

**9.30** – Kamerdyner Heinz Linge obudził Führera, żeby zbadał sytuację. Führer żąda obecności szefa sztabu generalnego gen. Krebsa. Nikt się nie liczył z takim szybkim posunięciem oddziałów nieprzyjaciela.

**10.00** – Powtórne ostrzały artyleryjskie na Berlin. Wczesnym rankiem Berlin opuszczają ministrowie: skarbu Ludwig Graf Schwerin-Krosigk, transportu dr Julius Dorpmüller, sprawiedliwości dr Otto Thurach, wychowania Bernard Rust, pracy Frau Seldte oraz Alfred Rosenberg i szef kancelarii prezydenta dr Otto Meissner. Ministrowie uciekać mogą jedynie drogą lotniczą z Gatow w Berlinie.

**13.00** – Hitler na obiedzie.

**14.30** – W bunkrze Führera odbywa się odprawa operacyjna. Obecni: Keitel, Dönitz, Jodl, Krebs. Führer i Krebs są zdania, że uderzenie sowieckie na północ od Berlina otwiera możliwości kontrataku – korpusu pancernego dowodzonego przez SS-Obergruppenführera Felixa Steinera. Będzie miał do dyspozycji wszystko, co jest potrzebne do walki i co znajduje się w rejonie Meklenburga.

Führer do Jodla: „Mogę Pana zapewnić, że walczyć będę tak długo, jak długo będę miał ostatniego żołnierza. Kiedy i ten mnie opuści, to się zastrzelę”.

**14.55** – Gen. Krebs przekazuje rozkaz Hitlera naczelnemu dowódcy Armii „Wisła” gen. Heinrici, że 9. Armia Busse’a wspólnie z armią Steinera ma nie tylko powrócić na linię frontu przez Königswusterhausen, ale także w tym samym czasie zaatakować jednostki Konjewa w tyle.

**16.50** – Hitler przekazuje rozkaz Steinerowi: „Od powodzenia tego, co zostało Panu zlecone zależy los stolicy Rzeszy”.

**21.00** – Dr Morell u Hitlera

Morell wspomina, że 21 kwietnia Führer był bardzo przygnębiony wskutek nocnej odprawy operacyjnej. Zrobił mu zastrzyk glukozy. Później chciał mu zrobić jeszcze jeden zastrzyk. Tym razem Führer się ze złościł. Chwytając Morella, krzyczał na niego. Oskarżył go, że chce mu wstrzyknąć morfinę. Zagroził, że zostanie rozstrzelany i nakazał mu, żeby natychmiast zdjął mundur mówiący o tym, że jest lekarzem

Führera. Morell poczuł się upokorzony, zemdłał i upadł na stopy Führera. Zachowanie Führera Morell tłumaczył tym, iż przypuszczał on, że Morell na zlecenie generałów miał zrobić zastrzyk usypiający, by można było go przewieźć do Obersalzberga.

Notatka dr. Morella: Zwolnienie!

Notatka Martina Bormanna: Rankiem odlot Puttkammera i zasadniczej grupy. Przed obiadem zaczyna się artyleryjski ostrzał Berlina.

## 22 kwietnia

**5.00** – Odlot części stenografów samolotem JU 352 do Monachium, potem samochodami do Berchtesgaden. Zabrali ze sobą kilka skrzynek zawierających protokoły z odpraw operacyjnych. Wśród podróżnych był także dentysta Hitlera dr Blashcke. Jego asystentce Käthe Heusermann zaproponowano wyjazd z Berlina. Odmówiła. Posiadała własne mieszkanie w Berlinie, dlatego nie chciała wyjeżdżać z miasta. Żalowała później swojej decyzji – Rosjanie na początku maja zatrzymali ją, dowiedziawszy się, że była asystentką dentysty Hitlera. Po przesłuchaniu oficer rosyjski ją zgwałcił, a potem przywiózł do Rosji, gdzie osadzono ją w więzieniu. Na wolność wyszła dopiero w 1955 roku.

**12.00** – Pierwsza odprawa operacyjna; obecni: Keitel, Jodl, Krebs, Burgdorf, Bormann. Kwaterna główna marynarki wojennej zostaje przeniesiona z Bernau do Plön. Führer zgadza się, żeby Göring, Dönitz, Himmler i von Ribbentrop wyjechali z Berlina na zachód.



Mianowano ich zastępców w Kwaterze Głównej Führera: Eckhard Christian zastępuje Göringa; wiceadmirał Hans Erich Voss Dönitza; SS-Gruppenführer Hermann Fegelein Himmlera i ambasador Walter Hewel Ribbentropa.

**15.50** – Druga odprawa operacyjna. Sytuacja jest beznadziejna. Oddziały sowieckie przedostały się już do północnej części Berlina (Buchholz, Heinsdorf, Pankow). Linia frontowa biegnie wzdłuż Gesundbrunnen – Bernauer Strasse; większa część Lichtenbergu, Friedrichsfelde, Mahlsdorfu i Biesdorfu znajduje się w rękach Sowietów. Na południu jednostki sowieckie posuwały się do Luckenwalde, Zossen, Beelitz.

Podczas konferencji Führer zapytał, co robi Steiner, czy wykonał wydane mu rozkazy z poprzedniego dnia. Gen. Krebs przyznaje się, że tego Steiner jeszcze nie zrobił. Wiadomość ta wyprowadziła Hitlera z równowagi. Podobno szalał ze złości. Krzychał, że to zdrada generałów. Opuścił salę konferencyjną bladej jak trup. Wycofał się do swojego gabinetu. Zawołał do siebie Keitla, Jodla i Bormanna. Powiedział im, że zdecydował się na pozostanie w Berlinie. Jodl oświadczył, że Berlin upadnie w ciągu 24. godzin. Na to Hitler odpowiedział, że nie może poddać wrogom stolicy Rzeszy, i z tego powodu pozostanie, by zachęcać żołnierzy do walki.

O postępowaniu Führera tego dnia ludzie opowiadali różnie. Steiner mówił, że nie wykonał rozkazu Hitlera, ponieważ nie miał nic, z czym mógłby wyruszyć przeciw nieprzyjacielowi. Obiecane mu dywizje nie pojawiły się. Nie chciał posługiwać się niedoświadczonymi, w pośpiechu zorganizowanymi grupami bojowymi. Nie chciał, aby te grupy zostały zniszczone

podczas natarcia, które od początku było chybione. Plan zaczepny był iluzją, opierał się na faktach, które nie istniały; były one jedynie fantazją kanclerza Rzeszy.

Naocznym świadkiem zachowania Führera był jego adiutant, Otto Günsche. „Kiedy Hitler – mówi Günsche – dowiedział się o bezczynności Steinera, zerwał się z krzesła wzburzony i oświadczył, że w takich warunkach nie może prowadzić wojny, że zostaje w Berlinie i tu się zastrzeli. Nastąpiły usilne prośby ze strony Keitla, Jodla, Dönitza, Bormanna, Goebbelsa, Fegeleina i Burgdorfa. Wchodzili oni pojedynczo lub we dwóch do gabinetu Führera. Wszyscy starali się go uspokoić. Sytuacja – powiedzieli mu – nie jest jeszcze tak beznadziejna. Przedstawili nowy plan obrony stolicy: przegrupowanie 12. Armii gen. Wencka i części armii Schörnera”.

Zeznaje inny adiutant Hitlera, Julius Schaub: „Podniesionym głosem Führer wyznał, że wojna jest przegrana; że generałowie go okłamali i oszukali. Wszystko już jest bezcelowe i bezsensowne. [...] Zrozumcie mnie dobrze, Panowie: na Berlin odsiecz już nie przyjdzie. Potem otworzyli się drzwi. Hitler szybkim krokiem, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, zgarbiony, twarz biała jak ściana, pomaszzerował przez korytarz do swojego gabinetu. Uczestnicy narady zmieszani i bezradni pozostali w pokoju konferencyjnym”.

Keitel oświadczył, że 22 kwietnia Führer zdecydował się pozostać w Berlinie. Powiedział, że w żadnym wypadku nie opuści stolicy, będzie bezpośrednio dowodził oddziałami i oczekiwać tego, co los przyniesie. „W tym dniu Führer wywierał na mnie przynębiające wrażenie. Nigdy do tej pory ani razu nie miałem wątpliwości,

co do jego pełnej psychicznej wartości. Pomimo ciężkich skutków zamachu w dniu 20 lipca 1944 roku panował nad sytuacją przez cały czas. Tymczasem wydawało mi się, że siły moralne Führera nikną, a jego wewnętrzny opór maleje. Nakazał mi natychmiast wyjechać do Berchtesgaden. Rozmowa między nami była niezwykle ostra i skończyła się tym, że Führer wyprzedził mnie z pokoju. Po wyjściu powiedziałem Jodlowi, że to już upadek”.

Rotmistrz Boldt nie był obecny na naradzie, ale dowiedział się o zachowaniu Hitlera od innych: Führer zapadł się w swoim krześle, szlochał jak dziecko i przyznał się otwarcie, że wszystko już skończone, wojna jest przegrana, a on się zastrzeli.

Po awanturze Hitlera Keitel, Krebs i Burgdorf naradzali się, jak teraz ocalić stolicę i pomóc Hitlerowi. Zgodzili się, że 12. Armia, która pod kierownictwem gen. Wencka jeszcze walczy przeciwko oddziałom amerykańskim na zachodzie ma obrócić się przeciw oddziałom Konjewa i posunąć się szybko naprzód, by bronić Berlina. Hitler się zgodził i Wenck otrzymał rozkaz.

O godzinie **17.20** Jodl wydał rozkaz generałowi Busse, że część jego 9. Armii ma przystąpić do ataku na Sowietów i połączyć się z 12. Armią Wencka. Akcja 9. Armii – zaznaczył Jodl – jest o tyle decydująca, że musi ona odciąć nieprzyjacielowi drogę do stolicy Rzeszy. Führer darzy zaufaniem swoich żołnierzy.

Führer nakazał Keitelowi i Jodlowi opuszczenie bunkra, żeby mogli z zewnątrz wyruszyć na odsiecz Berlinu.

**19.00** – Führer wysłał radiotelegram-rozkaz dla Dönitza: „Walka o Berlin, to bitwa o los Niemców. Wobec tego, wszystkie inne zadania i linie bojowe mają drugorzędne znaczenie. Dlatego należy wysłać pomoc do stolicy drogą lotniczą, morską i lądową, by wspierać walczące w Berlinie oddziały”.

**19.30** – Adiutant Hitlera, Julius Schaub, otrzymuje od niego rozkaz, by załadował benzynę do spalania zawartości znajdującej się w szafie pancerniej Führera.

Opowiada Julius Schaub: Führer dał mi klucze do swojej szafy pancerniej, która stała w jego sypialni w bunkrze. Była ona pełna akt, pism i papierów. W sypialni Führera w Kancelarii Rzeszy stały jeszcze dwie wielkie szafy pancerne pełne akt i pism. Materiał ten włożony został do pięciu dużych walizek i przewieziony do ogródka Kancelarii. Wszystkie akta i papiery zostały spalone w ogrodzie w obecności Führera w odległości 20.-25. m od wyjścia awaryjnego z bunkra. Cały czas Führer stał i patrzył w milczeniu na ogień.

Ciąg dalszy na s. 58 ▶



Bombardowanie Drezna, 13-14 lutego 1945 roku

FOT. BUNDESARCHIV//CC BY-SA 3.0





Hasso von Manteuffel – 3. Armia Pancerna



Gotthard Heinrici – Grupa Armii „Wisła”



Ferdinand Schörner – Grupa Armii „Środek”

► Ciąg dalszy ze s. 57

Hitler mianuje SS-Gruppenführera Wilhelma Mohnke wojennym komendantem ds. obrony Kancelarii Rzeszy. W tym dniu Führer poprosił Goebbelsa, żeby razem z żoną i dziećmi wprowadzili się do górnej części bunkra.

Notatka Martina Bormanna: Führer zostaje w Berlinie.

**23 kwietnia**

W nocy z 22 na 23 kwietnia z lotnisk Gatow i Staaken w Berlinie do Monachium i Salzburga leciały specjalne samoloty-kurierzy. Odbyły po kolei około 20. pojedynczych lotów. Jeden z tych samolotów typu JU352 spadł blisko miasta Bornersdorf. Zginął kamerdyner Hitlera (od 1943 r.) Wilhelm Arndt. Przewoził on ze sobą bagaże należące do Hitlera i Ewy Braun. Jednym z tych samolotów leciał do Monachium dr Morell.

**0.15** – Jodl udał się do Krampnitz/Poczdám, gdzie spotkał się z szefem sztabu lotnictwa gen. Karlem Kollerem. Zawiadomił go o wydarzeniu mającym miejsce 22 kwietnia w bunkrze Führera i o tym, że 12. Armia Wencka ma ruszyć do ataku przeciwko oddziałom sowieckim. Wszystko jedno co Amerykanie będą robić – powiedział Jodl Kollerowi, ale niech wiedzą, że walczymy przeciwko Sowietom. Koller czuł się zobowiązany poinformować Göringa (przebywającego w Obersalzbergu) o tym, czego dowiedział się od Jodla, szczególnie o postępowaniu Führera.

**1.00** – Marszałek Keitel w drodze do Wencka, do jego stanowiska bojowego, które znajdowało się w zamku myśliwskim w lesie Wiesenburg/Beeliz, na południowy zachód od Berlina.

**1.30** – Koller leci myśliwcem z Gatow do Monachium; stamtąd jedzie samochodem do Obersalzbergu, do Göringa.

Poranne wiadomości: przedmieścia Berlina (Pankow, Köpenik, Adlershop, Karlshorst) zostały zdobyte przez jednostki sowieckie. Linia bojowa od północy na południe ciągnie się od Tegel, Landsberger Chaussee, Frankfurter Allee do Teltowkanal.

**15.00** – Omówienie sytuacji. Rozkaz Führera: „Wszystkie rezerwy, nawet niedostatecznie uzbrojone i będące do dyspozycji Wencka mają wziąć udział w bitwie o Berlin”. Führer oświadcza, że jeżeli opuściliby teraz Berlin, to skutki byłyby następujące: na południu Niemiec zaistniałyby nowe fakty. Narodowy socjalizm zostałby zgladzony, a także znikłaby Rzesza Niemiecka. Ale jeżeli uda mu się skutecznie przebijać i utrzymać stolicę, wtedy może zastanowi to Anglików i Amerykanów, i ewentualnie zaczną działać z nami w walce przeciw bolszewickiemu niebezpieczeństwu. Właśnie jedynie Hitler jest w stanie prowadzić tę walkę.



Helmuth Otto L. Weidling – ostatni dowódca obrony okręgu berlińskiego podczas bitwy o Berlin FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

Zaraz po zakończeniu odprawy operacyjnej Bormann dostarczył Hitlerowi zaskakującą wiadomość od Göringa. Tekst telegramu brzmiał następująco: „Mój Führerze! W związku z Pańską decyzją pozostania na stanowisku w twierdzy berlińskiej, proszę o wyrażenie zgody na natychmiastowe objęcie przeze mnie jako Pana zastępcy ogólnego kierownictwa Rzeszy z pełną władzą w kraju i za granicą, zgodnie z Pańskim dekretem z 29 czerwca 1941 roku. Jeżeli żadna odpowiedź nie nadejdzie dziś do godziny 22.00 będę uważał, że Pan utracił swobodę działania, że tym samym warunki Pańskiego dekretu są wypełnione, i będę działał według najlepszego rozumienia interesów naszej ojczyzny i naszego narodu. Znane są Panu uczucia, jakie żywię dla Pana w tej najcięższej godzinie mego życia. Słów mi brak, żeby je wyrazić. Niech Bóg Pana strzeże i wbrew wszystkiemu sprowadzi rychło tutaj. Oddany Panu Hermann Göring”.

Göring zawiadomił Ribbentropa o swojej depeszy do Hitlera i prosił o natychmiastowy przylot i spotkanie z nim.

Führer natychmiast zareagował na posunięcie Göringa. Wysłał do niego następującą depeszę: „Za to, co Pan uczynił, powinien Pan zostać rozstrzelany, ze względu jednak na Pańskie doniosłe zasługi w przeszłości powstrzymam się od podejmowania jakichkolwiek kroków, o ile zrzeknie się Pan dobrowolnie wszystkich piastowanych urzędów i stanowisk. W przeciwnym wypadku kroki te zostaną z pewnością podjęte”.

Jednocześnie Bormann w imieniu Führera wydał rozkaz, by komendant jednostek SS stacjonujących w Obersalzbergu, Obersturmführer Bernard Frank, od razu aresztował Göringa. Oto krótki tekst depeszy Bormanna: „Natychmiast otoczyć wilę





Georgij Żukow – 1. Front Białoruski



Konstanty Rokossowski – 2. Front Białoruski



Iwan Koniew – 1. Front Ukraiński

Göringa i aresztować byłego Reichsmarszałka, łamiąc wszelki napotkany opór”.

**18.00** – Generał artylerii Helmuth Weidling przybył do Führera na rozmowę. Miał on być rozstrzelany na rozkaz Hitlera, ponieważ bez jego pozwolenia posuwał się od jednej do drugiej linii frontowej w walce o Berlin. Generał wytłumaczył Hitlerowi, że było to nieporozumienie. Hitler mu wybaczył. O spotkaniu z Hitlerem opowiedział później Weidling: „Kiedy wszedł do gabinetu Hitlera, ten siedział za stołem z mapami, starał się podnieść i podać Weidlingowi rękę. Zauważyłem z przerażeniem, jak ręka Hitlera i jedna z jego nóg bez przerwy drżały. Spojrzenie miał rozgorączkowane. Z wielkim trudem udało mu się podnieść. Z wykrzywionym uśmiechem podał mi rękę, jego twarz była podobna do uśmiechniętej maski. Z trudem usiadł na krześle. Nawet gdy siedział, jego lewa noga bez przerwy drżała, kolana obracały się jak wahadło zegara. Opuściłem pokój głęboko wstrząśnięty widokiem Führera”.

W tym dniu na rozkaz Führera gen. Mohnke zgromadził wszystkie oddziały SS w stolicy (wśród nich byli wartownicy Hitlera). Liczyły one 4 tys. osób. Oddziały te nazywano „grupą bojową Mohnke”. Do tej grupy należały także jednostki z wojsk lądowych, lotniczych, służb marynarki oraz chłopcy z Hitlerjugend.

Wielkie zamieszanie 23 kwietnia sprawiło niespodziewanie zameldowanie się Speera w bunkrze Führera. Speer, który przebywał w tym czasie w Hamburgu, chciał Hitlera „ostatni raz zobaczyć, pożegnać się z nim”.

Na temat swojej eskapady Speer sporządził drobiazgowy sprawozdanie. Należy tu przytoczyć fragmenty tego tekstu:

„Coraz silnej ogarniało mnie współczucie dla człowieka stojącego przed upadkiem. Być może w tych ostatnich dniach podob-

ne uczucia podzielało wielu członków jego świty. Wypełnianie obowiązków, przysięga, więzy wierności i wdzięczności łączyły się z rozgoryczeniem, osobistym bólem i poczuciem narodowego nieszczęścia; jedno i drugie spowodowała ta sama osoba: Hitler. [Berlin był teraz osiągalny tylko drogą lotniczą i dlatego Speer udał się na poligon doświadczalny Rechlin w Meklemburgii]. Znano mnie tutaj dobrze z wielu pokazów i mogłem liczyć na oddanie do mojej dyspozycji samolotu. Startowały stąd myśliwce do ataku z lotu koszącego na radzieckie oddziały znajdujące się na południe od Poczdamu. Dowódca jednostki lotniczej chciał mnie przetransportować do Gatow szkolnym samolotem myśliwskim. Przygotowano też dwa «Storchy», jednomotorowe samoloty rozpoznawcze o niewielkiej szybkości lądowania, którymi ja i mój oficer łącznikowy mieliśmy odbywać przeloty w obrębie Berlina i drogę powrotną. Podczas gdy przygotowywano maszyny do startu, studiowałem w sztabie naniesione na mapę położenie radzieckich wojsk okrążających.

Pod ochroną eskadry myśliwców, w sprzyjających warunkach atmosferycznych lecieliśmy na południe na wysokości około tysiąca metrów, w odległości kilku kilometrów od strefy walki. Oglądana z góry bitwa o stolicę Rzeszy przedstawiała się niezbyt groźne. Po stu pięćdziesięciu prawie latach Berlin miał być jeszcze raz zdobyty przez wojska nieprzyjacielskie, a dokonywało się to w dziwnie spokojnie wyglądającej okolicy, gdzie drogi, wioski i małe miasteczka znałem z licznych niepozorne, krótkie błyski wystrzałów artyleryjskich lub wybuchów, nie większe niż przy zapalaniu zapalki, oraz ogarnięte płomieniami, powoli zapadające się zabudowania. Natomiast na wschodnich gra-

nicach Berlina, daleko we mgle, widziało się większe kłęby dymu. Warkot silnika zagłuszał dalekie odgłosy walki.

Eskadra myśliwców poleciała dalej, by wykonać swoje zadania bojowe na południe od Poczdamu, a my wylądowaliśmy w Gatow. Lotnisko było prawie puste. Tylko generał Christian, należący jako współpracownik Jodla do ścisłego sztabu Hitlera, przygotowywał się właśnie do odlotu. Zamieniliśmy kilka banalnych słów. Potem wsiadłem wraz z towarzyszącymi mi osobami do dwóch przygotowanych «Storchów» – chociaż mogliśmy z powodzeniem pojechać samochodem – i odważając się na podniecającą przygodę, poleciliśmy na niskim pułapie tą samą osią wschód-zachód, którą przejechałem wspólnie z Hitlerem w przeddzień jego pięćdziesiątej rocznicy urodzin. Ku przerażeniu pasażerów niewielkich samochodów wylądowaliśmy na szerokiej ulicy niedaleko Bramy Brandenburskiej, zatrzymaliśmy samochód Wehrmachtu i kazaliśmy zawieźć się do Kancelarii Rzeszy. Tymczasem nadeszło późne popołudnie [...].

Kancelaria Rzeszy, którą budowałem przed siedmiu laty, znajdowała się już pod ogniem ciężkich dział radzieckich, ale w tym czasie trafienia zdarzały się jeszcze rzadko. Ich skutki wydawały się nieznaczne w porównaniu ze zniszczeniami, jakie w ostatnich tygodniach spowodowały tu dzienne naloty amerykańskie. Brnąc przez kłębowiska spalonych belek, pokonując zwalone stropy, dotarłem do pokoju, w którym przed kilkoma laty prowadziliśmy nasze długie wieczorne rozmowy, gdzie obradował Bismarck i gdzie teraz adiutant Hitlera, Schaub, pił koniak z kilmoma na ogół nieznanymi mi osobami. [...]

Ciąg dalszy na s. 60 ▶



► Ciąg dalszy ze s. 59

Schaub przywitał się ze mną serdecznie. [...] Potem adiutant opuścił nas, chcąc zameldować o moim przybyciu. [...] Powrócił adiutant Hitlera: «Führer chciałby z panem rozmawiać». Jakże często w ciągu ubiegłych dwunastu lat wypowiedziano tę stereotypową formułę, gdy proszono mnie do Hitlera! [...] Pierwszą osobą, jaką spotkałem na dole, był Bormann. Wyszedł mi naprzeciw i przywitał mnie tak niezwykle uprzejmie, że mogłem się poczuć pewniej. Po zachowaniu Bormanna albo Schauba można było zawsze wywnioskować, w jakim nastroju znajduje się Hitler. Bormann powiedział skromnie: «Gdy będzie pan rozmawiał z Führerem... zapyta zapewne, czy powinniśmy zostać w Berlinie, czy też polecieć do Berchtesgaden; najwyższy już przecież czas, aby przejął dowództwo w Niemczech południowych... Są to ostatnie godziny, kiedy jest to jeszcze możliwe. Nakłoni go pan przecież do odlotu?». Jeżeli ktoś w schronie obawiał się o swoje życie, to przede wszystkim Bormann, który jeszcze przed trzema tygodniami wzywał funkcjonariuszy partii do przewyciężenia wszelkich słabości i rzucał hasło: zwycięstwo albo śmierć. Odpowiedziałem mu wymijająco i doznałem uczucia spóźnionego triumfu nad tym niemal błagającym człowiekiem.

Następnie zaprowadzono mnie do pokoju Hitlera w schronie. Mój widok nie wywarł na nim takiego wrażenia, jak to miało miejsce jeszcze przed kilkoma tygodniami, gdy przyrzekłem mu wierność. Nie okazał w ogóle żadnego wzruszenia. Miałem znów uczucie, że wieje z niego pustka, że jest bez życia. Przybrał kupiecką minę, za którą mogło się kryć wszystko, zapytywał, jakie też wrażenie wywarł na mnie styl pracy Dönitza. Byłem całkowicie przekonany, że jego zainteresowanie nie dotyczy samej osoby Dönitza,



Adolf Hitler odznacza członków Hitlerjugend w ostatnich dniach wojny, Berlin, 25 kwietnia 1945

FOT. BUNDESARCHIV // CC BY-SA 3.0

lecz problemu następcy Hitlera. Jeszcze dzisiaj sędzę, że z tą smutną spuścizną, która miała mu niespodziewanie przypaść, Dönitz poradził sobie mądrzej, bardziej godnie i przezornie, niż uczyniłby to Bormann lub Himmler. Podzieliłem się z Hitlerem swoimi pozytywnymi spostrzeżeniami, upiększając niekiedy relację szczegółami, które musiały przypaść mu do gustu. Ale pomny dawnych doświadczeń, nie próbowałem opowiadać się za Dönitzem, gdyż mogłem wywołać przeciwny zamierzonemu skutek.

Hitler zapytał mnie wprost: «Jak pan sądzi? Czy mam pozostać tutaj, czy też polecieć do Berchtesgaden?». Jodl powiedział mi, że jeszcze do jutra jest na to czas. Nie namyślając się, poradziłem mu, aby pozostał w Berlinie. Cóż chciałby jeszcze robić w Obersalzbergu? Gdy padnie Berlin, walka i tak się już skończy. «Myślę, że będzie lepiej, jeżeli dokona pan swojego życia jako Führer – skoro tak już być musi – tutaj w stolicy, a nie w swym domu weekendowym». Znów byłem przejęty. Uważałem to wówczas za

dobrą radę; była jednak zła, bo jego odlot do Obersalzbergu skróciłby prawdopodobnie o jeden tydzień bitwę o Berlin.

Tego dnia Hitler nie twierdził, że nadchodzi zmiana na lepsze, że istnieje jeszcze nadzieja. Apatyczny, zmęczony zaczął mówić o swej śmierci, jakby o czymś oczywistym: «Zdecydowałem się pozostać tutaj. Chciałem tylko usłyszeć raz jeszcze pańskie zdanie». I bez jakiegokolwiek podniecenia kontynuował: «Nie będę walczył. Zbyt duże istnieje niebezpieczeństwo, że zostanę tylko ranny i wpadnę żywy w ręce Rosjan. Nie chciałbym również dopuścić, ażeby nieprzyjaciele zbezczeszcili moje zwłoki. Zarządziłem, aby je spalono. Panna Braun chce razem ze mną pozbawić się życia, a przedtem zastrzelił Blondiego. Proszę mi wierzyć, panie Speer, że rozstanie z życiem przychodzi mi łatwo. Tylko chwila i uwolnię się od wszystkiego, od tego pełnego udręki żywota». Miałem uczucie, że rozmawiam już z martwym. Atmosfera stawała się coraz bardziej dramatyczna, tragedia zbliżała się do końca.

W ostatnich miesiącach nienawidziłem go niekiedy, zwalczałem, oszukiwałem i okłamywałem, ale w tym momencie ogarnęło mnie zażenowanie i wzruszenie.

Speszony przyznałem się, ku mojemu własnemu przerażeniu, że nie zrealizowałem żadnych zniszczeń, a nawet uniemożliwiłem ich dokonywanie. Na chwilę jego oczy zasły łzami. Ale nie reagował. Nie interesował się już teraz tak ważnymi jeszcze kilka tygodni temu sprawami. Nieprzytomnie wpatrywał się we mnie, gdy ociągając się zaproponowałem mu, że zostanę w Berlinie. Milczał. Może podejrzewał, że kłamię. [...] W tym momencie zameldowano przybycie generała Krebsa, szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, który miał zreferować sytuację. Nic więc się nie zmieniło: naczelny dowódca Wehrmachtu przyjmował jak zawsze meldunki o sytuacji na frontach. Ale podczas



Hitler podpisujący pakt monachijski; po prawej stronie osobisty adiutant Führera – Julius Schaub, 1938

FOT. BUNDESARCHIV // CC BY-SA 3.0



gdy jeszcze przed trzema dniami gabinet w schronie, w którym omawiano sytuację, mógł zaledwie pomieścić generałów i wyższych oficerów, dowódców rodzajów broni i SS, teraz już prawie wszyscy odeszli [...], pozostali jeszcze oficerowie łącznikowi niższych stopni. Sam referat o sytuacji również wyglądał inaczej: z zewnątrz nadchodziły jedynie fragmentaryczne informacje, szef Sztabu Generalnego mógł opierać się raczej na przypuszczeniach. Mapa, którą rozłożył przed Hitlerem, obejmowała zaledwie obszar wokół Berlina i Poczdamu. Ale nawet tutaj dane dotyczące radzieckiego natarcia nie zgadzały się ze stanem faktycznym, jaki widziałem przed kilkoma godzinami na stanowisku dowodzenia jednostki lotnictwa myśliwskiego. Radzieckie oddziały od dawna już znajdowały się bliżej, niż to uwidoczniło na mapie. Byłem zaskoczony, gdy w trakcie narady Hitler usiłował jeszcze raz zademonstrować optymizm, chociaż na krótko przedtem w rozmowie ze mną mówił o bliskiej śmierci i wydanych dyspozycjach co do swych zwłok. Stracił wszakże wiele z dawnej siły przekonywania. Krebs słuchał go cierpliwie i uprzejmie. Kiedyś często myślałem, że Hitler, wskazując drogę wyjścia z rozpaczliwych sytuacji, całkowicie wierzył w słuszność swoich poczynań; teraz okazało się, że posługiwał się dwoma językami. Jak długo okłamywał nas?

Po szybkim pożegnaniu opuściliśmy pomieszczenie, które przeżyło ponury okres błędów; uchybień i zbrodni. Hitler, jak gdyby nie z jego właśnie powodu przyleciał do Berlina, potraktował mnie jak codziennego gościa, nawet nie zapytał, czy chcę jeszcze zostać, czy też pożegnać się. Rozstaliśmy się bez uścisku dłoni, zwyczajnie, jakbyśmy jutro znów się mieli zobaczyć. Na zewnątrz spotkałem Goebbelsa. [...] Goebbels opowiadał mi, że jego żona i sześcioro dzieci mieszkają teraz w schronie jako goście Hitlera, ażeby w tym historycznym miejscu, jak się wyraził, zakończyć swoje życie. W przeciwieństwie do Hitlera całkowicie panował nad uczuciami, nie można było poznać po nim, że zamierza rozstać się z życiem.

Było już późne popołudnie: lekarz SS zakomunikował mi, że pani Goebbels leży w łóżku bardzo słaba, miewa ataki serca. Kazałem poprosić, aby mnie przyjęła. Chętnie porozmawiałbym z nią sam na sam, ale Goebbels już czekał w przedpokoju i zaprowadził mnie do małego pomieszczenia w schronie, gdzie leżała na zwykłym łóżku. Była blada, mówiła cicho o sprawach błahych, chociaż wyczuwało się, że cierpiała na myśl o nieuchronnie zbliżającej się godzinie gwałtownej śmierci jej dzieci. Goebbels uparczywie stał przy mnie, tak że mogliśmy rozmawiać jedynie o stanie jej

zdrowia. Dopiero pod koniec dała mi do zrozumienia, co w istocie przeżywa: «Jaka jestem szczęśliwa, że przynajmniej Harald (jej syn z pierwszego małżeństwa) pozostanie przy życiu». Milczałem, nie znajdując odpowiednich słów – cóż można było w tej sytuacji powiedzieć? Pożegnaliśmy się bez słowa, skrępowani. Jej mąż nie opuścił nas nawet na minutę.

Tymczasem w korytarzu zapanowało ożywienie. Bormann śpieszył doręczyć Hitlerowi telegram, który nadszedł właśnie od Göringa. Wiedziony ciekawością, bezceremonialnie udałem się za nim. Göring zapytał jedynie Hitlera, czy zgodnie z uprawnieniami następcy powinien przejąć ogólne kierownictwo Rzeszy, jeżeli Hitler pozostanie w twierdzy berlińskiej. Bormann jednak przypisywał Göringowi dokonanie zamachu stanu – może była to jego ostatnia próba zasugerowania Hitlerowi, by udał się do Berchtesgaden w celu zaprowadzenia tam porządku. Ale po otrzymaniu tej wiadomości Hitler nadal trwał w apatii, w jakiej pogrążony był przez cały dzień. Bormann zaś zyskał dodatkowy argument, gdy doręczono następny telegram Göringa. [...] Bormann sądząc, że uzyskał nowy argument, krzychał zdenerwowany: «Göring zdradza. Wysłał już telegramy do członków rządu i komunikuje Panu, że na podstawie swych pełnomocnictw obejmuje dzisiaj w nocy, o godzinie dwudziestej czwartej, pański urząd, mein Führer».

Po nadejściu pierwszego telegramu Hitler zachowywał się raczej spokojnie – teraz Bormann rozegrał partię na swoją korzyść. Zaproponowany przez niego radiogram odbierał jego staremu rywalowi, Göringowi, uprawnienia następcy, obwiniając go jednocześnie o zdradę Hitlera i narodowego socjalizmu. Ponadto Hitler kazał mu zakomunikować, że nie wyciągnie dalszych konsekwencji, jeżeli Göring ze względów

zdrowotnych złoży rezygnację ze wszystkich stanowisk. W ten sposób Bormannowi udało się wreszcie wyrwać Hitlera z letargu. Nastąpił wybuch niepohamowanej wściekłości, w którym mieszały się uczucia rozgoryczenia i bezsilności, ubolewanie nad sobą i zwątpienie. Pąsowa twarz Hitlera i jego dziki wzrok sprawiały wrażenie, że zapomniał o swym otoczeniu. «Wiem to już od dawna. Wiem, że Göring jest leniwy. Dopuszczał do rozkładu lotnictwa. Jest zdemoralizowany. Jego przykład sprzyjał demoralizacji w naszym państwie. A przede wszystkim od lat jest morfinistą. Wiem już o tym od dawna». A więc Hitler wiedział o wszystkim i mimo to niczego nie przedsięwziął. Nagle zmienił się, ogarnęła go znów apatia: «Ale, moim zdaniem, Göring może prowadzić rokowania na temat kapitulacji. Jeżeli wojna jest przegrana, obojętne, kto to robi». Ujawniła się w tym cała pogarda dla narodu niemieckiego: do tego celu Göring był nadal wystarczająco dobry. Zaraz potem Hitler zupełnie opadł z sił – zaczął mówić zmęczonym głosem, tak charakterystycznym dla niego w tym dniu [...].

Pół godziny potem Bormann przyniósł telegram z odpowiedzią Göringa: zrezygnował on ze wszystkich swoich stanowisk z powodu ciężkiej choroby serca. Którego to już raz Hitler usuwał niewygodnego człowieka nie w drodze zwolnienia, lecz pod pozorem choroby, tylko po to, by nie zachwiać w niemieckim narodzie wiary w jedność kierownictwa. Tymi względami kierował się nawet jeszcze teraz, aż do samego prawie końca [...].

Około północy Ewa Braun kazała dyżurnemu SS poprosić mnie, bym przyszedł do jej małego pomieszczenia w schronie, które jednocześnie spełniało funkcję pokoju dziennego i sypialnego.

**Ciąg dalszy na s. 62 ▶**



Amerykański żołnierz 12. Dywizji Pancerniej z grupą jeńców niemieckich, 1945 FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0



### ► Ciąg dalszy ze s. 61

Pokój był przytulnie urządzone, zabrała ze sobą z górnego piętra niezbędne meble, które przed laty projektowałaś do jej dwóch pokoi w mieszkaniu kanclerskim. Ani proporce, ani wybrane formiry nie pasowały do mrocznego otoczenia. A na dodatek mozaika na drzwiach komody miała wystylizowane jej inicjały w kształcie szczęśliwej koniczynki.

Mogliśmy rozmawiać spokojnie, ponieważ Hitler już poszedł. W istocie rzeczy ona jedyna spośród osób oczekujących śmierci w tym schronie wykazywała godne podziwu opanowanie i rozsądek. W chwili gdy inni egzaltowali się bohaterstwem jak Goebbels, myśleli o ratunku jak Bormann, byli zgaszeni jak Hitler albo złamani jak pani Goebbels, Ewę Braun cechował niemal pogodny spokój: «Może by tak wypić butelkę szampana na pożegnanie? I trochę konfitury? Zapewne od dłuższego już czasu nie miał pan nic w ustach».



Kolumna czołgów 2. Gwardyjskiej Armii Pancerniej w drodze na Berlin

FOT: BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

Ze wzruszeniem przyjąłem już choćby sam fakt, że ona pierwsza, po wielu godzinach mojego pobytu w schronie, pomyślała, iż mogę być głodny. Kamerdyner przyniósł butelkę «Moet et Chandon», ciasto, konfitury. Pozostaliśmy sami: «Dobrze się stało, że przybył pan jeszcze raz. Führer przypuszczał, że pan będzie występował przeciwko niemu. Ale pańska wizyta przekonała go o czymś innym. Prawda?». Nie odpowiedziałem. «Nawiasem mówiąc, bardzo podobało mu się to, co pan dziś powiedział. Zdecydował się pozostać tutaj, a ja razem z nim. A co do dalszych losów, to wie pan. Chciał mnie odesłać z powrotem do Monachium. Ale się nie zgodziłam, przyjechałem tutaj, aby oczekiwać końca». Była jedyną osobą w schronie, która potrafiła się kierować ludzkimi względami. «Dlaczego jeszcze tyle ludzi musi ginąć?» – zapytała. «Przecież to wszystko jest już daremne. Zresztą mógłby pan nas tutaj nie zastać. Wczoraj sytuacja

wyglądała tak groźne, że musieliśmy się liczyć z szybkim zajęciem Berlina przez Rosjan. Führer chciał już zrezygnować. Ale Goebbels przekonał go. I pozostaliśmy». Rozmawiała ze mną swobodnie, czyniąc kilka aluzji pod adresem intrygującego wciąż jeszcze Bormanna; stale powracała jednak do tego, że jest szczęśliwa mogąc przebywać tutaj w schronie.

Nadeszła godzina trzecia nad ranem. Hitler wstał. Kazałem mu powiedzieć, że chciałem się z nim pożegnać. Dzień ten wyczerpał mnie i obawiałem się, że przy pożegnaniu nie będę się mógł opanować. Stał przede mną, po raz ostatni, drżący starzec; ten, któremu przed dwunastu laty poświęciłem swoje życie. Byłem wzruszony i jednocześnie zakłopotany. On natomiast, kiedy tak staliśmy naprzeciwko siebie, nie okazywał żadnych uczuć. Jego słowa były tak samo zimne, jak jego dłoń: «A więc jedzie pan? Dobrze. Do widzenia». Żadnych pozdrowień dla mojej rodziny, żadnych życzeń, podzię-

kowań, żadnego pożegnania. Na moment ogarnął mnie niepokój. Powiedziałem, że przyjadę jeszcze raz. Ale łatwo mógł poznać, że to tylko kłamstwo wynikłe z kłopotliwej sytuacji, i zwrócił się do pozostałych osób. Mogłem odejść. W dziesięć minut potem opuszczałem mieszkanie kanclerza; wszyscy, którzy tam pozostawali, milczeli».

### 24 kwietnia

**3.30** – Albert Speer opuścił Berlin. Opowiada: „Ulica biegnąca od Bramy Brandenburskiej do Kolumny Zwycięstwa przekształcona została przy pomocy kilku czerwonych latarń w pas startowy, drużyny robocze zasypywały leje po ostatnich wybuchach pocisków. Wystartowaliśmy bez przeszkód; z prawej strony mignął nam cień – Kolumna Zwycięstwa. Lot mieliśmy spokojny. W Berlinie i wokół miasta dostrzegaliśmy liczne duże pożary, błyski wystrzałów artyleryjskich, pociski świetlne, które wyglądały jak robaczki świętojańskie;

jednakże nie można było tego porównywać z obrazem ciężkiego nalotu na Berlin. Wzięliśmy kurs w tym kierunku, gdzie zaznaczała się luka w pierścieniu strzelających dział, gdzie jeszcze panowała niezmacona ciemność. O wczesnym brasku dnia, około godziny piątej, osiągnęliśmy znów poligon doświadczalny Rechlin”.

**12.00** – W południowych dzielnicach Berlina połączyły się już oddziały 1. Białoruskiego Frontu i 1. Ukraińskiego Frontu. Okrążona została 9. Armia niemiecka. Nieprzyjaciel zajął inne dzielnice Berlina: Tegel, Wittenau i Reinichendorf na północy, a Rudow na południu. Walki uliczne rozgorzały w Zehlendorf, Tempelhof i Neukölln; zacięte walki trwały we Friedrichshein, Frankfurter Allee, Küstriner Platz i Schlesiisches Tor. Zameldowano ostrzał artylerii sowieckiej na lotnisko Tempelhof.

Führer wyznacza gen. Weidlinga na wojennego komendanta Berlina. Weidling zgromadził 44 600 żołnierzy (42 500 z Vokssturmu, 3 500 chłopców z Hitlerjugend i członków organizacji „Śmierć”), by odeprzeć atak dwóch i pół miliona żołnierzy sowieckich. Weidling jest przekonany, że Berlina nie da się obronić, ponieważ niemieckie oddziały nie posiadają wystarczającej siły i broni.

**17.00** – Lotnisko Gatow jest pod ostrym ostrzałem artylerii sowieckiej. Rozkaz Führera, by natychmiast przygotować pas startowy na Charlottenburger Chaussee, biegnący od Bramy Brandenburskiej do Kolumny Zwycięstwa (tzw. oś wschód-zachód). Kandelabry mają być zburzone. Zaraz na końcu pasa startowego lądowały samoloty JU 52 z dwustu marynarzami. Skoro trzymotorowy samolot JU 52 miał miejsca tylko dla dwudziestu osób, konieczne były kilkakrotne przyloty i odloty.

### 25 kwietnia

**W nocy z 24 na 25 kwietnia** ostre ostrzeliwanie artylerii sowieckiej na Kancelarię Rzeszy.

Notatka Martina Bormanna: Göring usunięty z partii! Pierwszy duży nalot na Obersalzberg. Berlin okrążony!

**Przedpołudnie** – odprawa operacyjna.

Sytuacja w Berlinie staje się coraz gorsza. Rozkaz Führera: „Musimy wyczerpać wszystkie możliwości, aby zmobilizować mieszkańców Berlina, by wspierali walczące oddziały w Berlinie”. Führer mówi, że nie widzi już żadnego sensu, by polecieć na południe Niemiec, nie będzie miał tam żadnego wpływu na sytuację, ponieważ nie istnieje tam już żadna armia. Dlatego widzi jedyną możliwość naprawienia historii osiągnięciem sukcesu w jednym miejscu. Może tylko tu, w Berlinie odnieść zwycięstwo. Jeżeli do tego dojdzie, nawet





Sowiecka artyleria ostrzeliwuje pozycje niemieckie podczas walk o wzgórze Seelow FOT: BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

jeśli będzie to tylko zwycięstwo moralne, da to przede wszystkim możliwość zachowania twarzy i pozyskania czasu.

**12.00** – Oddziały 1. Białoruskiego Frontu i 1. Ukraińskiego Frontu ułożyły się w ten sposób, że stolica Rzeszy była już całkowicie okrążona. Altglienicke, Tegel, Wittenau, Reinickendorf, Mariendorf, Lankwitz zostały zdobyte przez Sowieców.

**13.00** – W Torgau nad Elbą spotykają się oddziały sowieckie i amerykańskie.

**14.30** – Omówienie sytuacji u Führera. Wiceadmirał Voss melduje Hitlerowi, że przyjdzie gen. Wenck, dowódca 12. Armii. Nie wiadomo, uważa Voss, czy Wenckowi uda się samemu ocalić stolicę. Na to Führer: „Wyobraźcie sobie, jak błyskawicznie rozchodzić się będzie wiadomość wśród berlińczyków, gdy się dowiedzą, że armia niemiecka wyłamała się z zachodu, i nawiąże kontakt z Twierdzą. Rosjanin może jedynie utrzymać swoją rozciągniętą pozycję. Rosjanin już zużył swoje siły; zupełnie się wyczerpał zarówno w bitwie nad Odrą, jak i w walkach ulicznych w Berlinie. Jeżeli dałoby się zniszczyć około 50. czołgów dziennie, to w ciągu 10. dni straconych zostanie 500 czołgów sowieckich. Więc dziś mogą spokojnie się położyć”.

Hitler prosił, żeby go obudzić tylko wtedy, jeśli czołgi sowieckie staną pod jego sypialnią, żeby miał czas załatwić swoje sprawy. Trzeba, mówił, utrzymać Berlin, albowiem tylko tu Rosjanina można zmusić do wykrwawienia się.

**19.00** – Omówienie sytuacji u Führera. Radiotelegram Führera do Jodla i Wencka: „Zaostrzenie sytuacji w Berlinie wymaga szybkiego skoordynowania wszystkich sił na odsiecz Berlina. Nie zwracać uwagi na boki. Konieczne jest z największą bezwzględnością i stanowczością przebicie się przez front nieprzyjaciela. Trzeba zgładzić nieprzyjaciela gdzie tylko można. Tylko w ten sposób 9. Armia może dotrzeć do Berlina”.

Generał wojsk lotniczych Robert Ritter von Greim będąc w Monachium otrzymał rozkaz, by przylecieć do Führera.

Rezydencja „Berghof” Hitlera w Obersalzbergu została całkowicie zniszczona przez amerykańskie bombowce. Przypuszczano, że Führer i jego sztab tam właśnie się ukryli.

## 26 kwietnia

**00.25** – Radiotelegram Führera do Jodla i dowódcy 12. Armii: Jak najszybciej i nieubłaganie trzeba atakować wszystkimi siłami w kierunku już ustalonym. 12. Armia ma przystąpić do walki na linii Beelitz–Ferch i bezzwłocznie uderzyć od wschodniej strony i połączyć się z 9. Armią, a 9. Armia ma najkrótszą drogą podążyć na zachód i połączyć się z 12. Armią. Po połączeniu się armie te mają posunąć się naprzód, zniszczyć oddziały nieprzyjaciela w południowej części Berlina i nawiązać kontakt z miastem.

Na berlińskich ulicach trwają zażarte walki. Oddziały niemieckie stawiają wytrwały opór. Nad ranem oddziały sowieckie zajmują Andreasplatz i wieczorem U-Bahnhof Schillingstrasse. Zbliżają się

do Alexanderplatz. Kancelaria Rzeszy jest pod stałym ostrzałem artylerii sowieckiej. Wentylacje bunkra Führera muszą być wyłączone. Dwa samoloty transportowe JU z posiłkami lądują na Charlottenburger Chaussee (oś wschód-zachód). Weidling melduje, że sytuacja w stolicy jest katastrofalna; brak zapasów bojowych.

**18.00** – Ostatnia rozmowa telefoniczna Führera z Jodlem. Rozkaz Hitlera, że 9. Armia musi stanowczo ruszyć na północ, by odciążyć walczących w Berlinie.

**18.00/19.00** – Gen. Robert Ritter von Greim leci do Berlina w towarzystwie pilotki Hanny Reitsch. Przy lądowaniu w Gatow zostaje ranny odłamkami pocisku pancernego. Z Gatow leci dalej samolotem prowadzonym przez Hannę Reitsch, lądują na Charlottenburger Chaussee. Stamtąd generał i Hanna Reitsch udają się samochodem ciężarowym do bunkra Führera. Tu Führer wita ich serdecznie. Generał zostaje natychmiast poddany leczeniu w lazarecie Kancelarii Rzeszy przez lekarzy dr. Haase i dr. Stampfeggera.

**22.00** – Führer mianuje Greima marszałkiem i naczelnym wodzem lotniczych sił zbrojnych na miejsce Göringa.

**22.12** – Wiceadmirał Voss informuje przez radiotelefon Dönitza o rzekomo „pomysłnych sukcesach” w bitwie o Berlin. Uderzenia Armii Wencka z zachodu i 9. Armii ze wschodu oraz grupy Steinera z północy robią postępy. Natomiast w śródmieściu stolicy sytuacja się zaostrzyła. Kancelaria Rzeszy jest wystawiona na stały i ciężki ogień nieprzyjaciela. Führer pokłada nadzieję w operacji poza Berlinem, co może przynieść ulgę w śródmieściu. Wszelkie możliwe kroki mają być podjęte celem obrony stolicy. Najbliższe 48 godzin (według jego przekonania) będzie decydujące.

Notatka Martina Bormanna: Himmler i Jodl zatrzymują dywizje idące nam na pomoc!

CDN.

PETER RAINA ■



Walki na przedmieściach Berlina

FOT: BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0



# Hel jest hen

FOT. © STEFAN TRUSZCZYŃSKI

■ STEFAN TRUSZCZYŃSKI



**P**olska jest odwrócona czterema literami do morza. Zmarnowano dorobek...

– Panie, ten Wądołowski truje Dudę!  
– Jak to?

– Widzi pan to żelastwo sterczące z wody? O tu, na prawo, kilkadziesiąt metrów od brzegu. Po dnie idą tam rury z wodą ściekową z ulic Helu. Wszystko do Zatoki, a tam dalej to już rezydencja prezydencka. Kąpią się i szaleją skuterami ich goście.

W ratuszu zarzekają się, że wszystko jest OK, że rynsztokowa woda jest odcedzona. Wiadomo jednak – przykład to zatruwana przez lata Odra, co doprowadziło do zarazy – że kontrola ścieków w naszym kraju to fikcja. Inspektorzy ochrony środowiska nie mogą samodzielnie badać zanieczyszczeń odprowadzanych z oczyszczalni do wód lub ziemi. *Panta rhei*.

## Hel – cudo natury

To natura jak najbardziej chciała i helską kosę usypała. Ponad czterdziestokilometrowa *peninsula* (tak po angielsku nazywany jest półwysep) cienką i grubiejącą nitką zdobi nasz kraj, osłania od północy Polskę.

Zachwyty nad tą kaszubską ziemią zacząć trzeba wcześniej. Już od Pucka, leżącego po przeciwnej stronie Zatoki. To piękne, reklamowe miasteczko, dopieszczone, z wielkim rynkiem otoczonym kolorowymi kamieniczkami, ze wspniałą, wiekową farą, jest co roku w czerwcu miejscem rybackich pielgrzymek. Płyną wówczas kutry i łodzie udekorowane bogato, a przy sterach i rumplach mają tabliczki „Bóg z nami”. Radośnie i smacznie jest tu w lip-

cu, gdy zjeżdżają się w porcie Kaszubi w swoich barwnych ludowych strojach, grają kapele, a stoły zastawione są przysmakami tej ziemi i morza.

Niedaleko Swarzewo. Z zabytkowym kościołem, strzelistą wieżą z dala prowadzącą rybaków i żeglarzy do portu. Tam też nad ołtarzem jest mała figurka Matki Bożej, traktowana od wieków jak relikwia, do której wędrują pielgrzymki.

Dalej Władysławowo. Nazwane na pamiątkę imienia króla, który wiązał nas z morzem. Tutaj przed ponad pół wiekiem, w szczerym polu na wyżynie ówczesny minister żeglugi o nazwisku Popiel wybudował wielki Dom Rybaka, z wieżą. Ze szczytu można oglądać półwysep i nasze bałtyckie morze – hen, hen. To już dziś zabytek. Wspaniały. Mógłby być super hotelem, ale jest urzędniczym biurem.

W lecie plaża „Władka” zapelnia się okrutnie. Przybysze z całej Polski leżą jak śledzie.

## Kopiec Kaszubów – Początek Polski

FOT. © IZA G-K



Szkoda, że władza nie pomyślała o ciuchci, która za darmo rozwoziłaby wczasowiczów na prawo i lewo wzdłuż brzegu.

Dalej są słynne, również dzięki Wodeckiemu – Chałupy. To dziś mekka windsurferów i kajarzy. Rośnie tu wielkie drzewo na wydmie. Może i stuletnie, dzielnie opiera się wiatrom sztormowym. Ale niestety nie widać, by o nie dbano. Wbito tu w dno przy brzegu w ostatnich latach tysiące łamaczy fal, które nie dają morzu zbyt łatwo zabierać piach.

Wkrótce dalej, przed Kuźnicą, z rybaką zabudową po części, powstanie wał ochronny od strony morza. Już głązy i kamienie zwieziono, piramida ciągnie się na plaży na kilkaset metrów. Te wszystkie niezbędne dla ochrony półwyspu prace wykonuje renomowana – stuletnia – austriacka firma Poor, budująca na całym świecie. Tyle, że polskimi rękami pracowników świetnych i ważnych naszych Hydrobudów. Bo je sprzedano jak naszą flotę, stocznie. Polacy budują, polską ziemię chronią zwiezione z kraju polskie głązy, a pieniądze kosi Austriak.

Jeszcze pięć kilometrów złocistym brzegiem i jesteśmy w Jastarni. Mijamy po drodze niedokończoną bunkrową linię obronną zbudowaną w '39. Na plaży bałtyckiej podmywany drapieżny *Sęp*, w lesie *Saragossa* i *Sabala*, nad zatoką *Sokół*. Tylko jeden z nich wykorzystywany jest turystycznie. I tylko dlatego, że zajął się nim hobbysta, który w lecie przyjeżdża tu z południa Polski i zrobił małe muzeum.

Od strony zatoki miasteczko ma popularny wśród żeglarzy port. Ale woda się podnosi z roku na rok i chroniące go falochrony mogą okazać się dla przystani i miasta zbyt niskie. I oto – nie wiem, jak to zrobili jastarniaczy na czele z burmistrzem, rodowitym tu od pokoleń, Tyberiuszem Narkowiczem – bo pozyskali miliony



złoty na wielką przebudowę nabrzeża, falochronu, wałów ochronnych.

Wędruję po budowie. Imponujący rozmach. Pierwszy etap ma być ukończony już na najbliższy sezon. Następny rok później. To będzie nowa od strony zatoki Jastarnia z wielką plażą, bezpiecznym brzegiem.

W drodze na Hel kolej na Juratę ze słynną „Bryzą” Niemczyckiego. Rozrosła się, ale i obok zbudowano za morskimi wydmami dziesiątki nowych pensjonatów. Między nimi wcisnięte stare domki modnego w okresie 20-lecia kurortu. Było skromnie, choć gustownie. Teraz jest bogato. Bo i milionerów mamy więcej.

Tyle wędrówki brzegiem puckiej zatoki, którą od gdańskiej oddziela długa łacha piaskowa. To teraz wyspa kormoranów. Ciągnie się na wysokości Rewy do Kuźnicy niemal. Wymyślono doroczny *Marsz Śledzia* przez wodę zatoki. Trzeba kawał drogi przeczłapać i trochę przepłynąć przez dwie głębie. Chętnych jest więcej niż miejsc. Świetna zabawa. Przed tą kilkumetrową, wąską wyspą jest złomowisko starych kutrów, łodzi rybackich, a nawet sterczy rozbity pociskami kiosk okrętu podwodnego. Bo jeszcze pół wieku temu ćwiczone tu strzelanie z samolotów. Teraz panuje cisza i można tu przypląć. W ciągu ostatnich lat byłem tam wielokrotnie w towarzystwie tysięcy kormoranów.

Pora na Hel, czyli koniec albo początek Polski. Mijamy osadę Bór, garaże i obiekty po wojsku, prezydenckie tereny w lesie, od których opowieść zacząłem.

Jedziemy wąską, krętą drogą, upstrzoną ograniczeniami nawet do 30. kilometrów na godzinę, choć to ruchliwa trasa i nakazu utrzymywania takich prędkości się nie przestrzega. W lecie droga ta jest permanentnie zakorkowana. Obok jezdni, nawet w odległości kilkudziesięciu centymetrów, rosną drzewa. Wiele z nich ma korę obdartą przez samochody. Na poboczach często kapliczki po ofiarach wypadków, krzyże i znicze. Tu stale giną ludzie! Wszyscy o tym wiedzą, od lat nic się nie zmienia. Władze lokalne, leśne, drogowe oglądają się jedne na drugich. Pasa bezpieczeństwa o szerokości 1.-2. metrów nikt nie wycina. Głucho też o przesunięciu trasy, którą rocznie przejeżdżają setki tysięcy pojazdów za wydmy. A do tego wszystkiego biegnący wzdłuż drogi, kilkunastymetrowy rowek w asfalcie jest nieczyszczony, woda deszczowa wylewa się i w zimie zamara. Ilu ludzi ma tu jeszcze zginąć?

### Helskie porządki

Z dogadywaniem się władzy na Helu też jest źle. Kaszubska wymowa mieszkańców jest zróżnicowana, ale oni porozumiewają się bez problemu. Natomiast funkcyjni – to już gorzej. Napisałem niedawno do



marszałka województwa pomorskiego, Mieczysława Struka, w sprawie rury gazowej na półwyspie. W końcu on rodem stąd i mógłby pomóc. Brak około 14 km rury gazowej między Władysławowem a Kuźnicą. Walczą o to od lat mieszkańcy Chałup. Nadaremno. Słyszą tylko obietniczki cacanki. Poznańska firma, z którą władza negocjowała, teraz, po wielu latach mówi, że nieuporządkowane są nadal sprawy prawne gruntów, przez które ta rurka (zaledwie kilkunastocentymetrowej średnicy) miałaby przebiegać. Poznaniacy mieli zainwestować i eksploatować z zyskiem. Może teraz perypetie gazowe w skali makro ich odstraszą. Czekają. A gaz wożony jest przez cały półwysep z Władysławowa w butlach. Kosztuje to tysiące. Marszałek Struk zapomniał w Gdańsku o rodakach.

Jest jeszcze podobny skandal na Helu – benzynowy. Otóż to prawie nie do wiary, ale miasteczko Hel nie ma stacji benzynowej ani bazy paliwowej dla morskich jednostek. Po benzynę trzeba się najeździć. Jest dostępna dopiero w Jastarni.

Orlen chce zbudować stację benzynową i bazę paliwa dla statków, ale trzeba poprowadzić około 200 metrów rury boczną uliczką. Blokuje to restaurator, wietrząc zysk za odszkodowanie. Nieporadnie władze Helu nie potrafią sprawy rozwiązać. Tak jak i kwestii parkowania śmieciarek. Ich zagroda zajmuje teren wyjątkowy – styk miasta i lasu. Tędy wędrują ludzie na helski cypel i plażę. Tu zaczyna się historyczna ulica Wiejska. To zabytkowe, stu- i więcej letnie domki rybackie. Niestety te śliczne i odnowione chałupki przysłonięte są doczepionymi od frontu budami i namiotami restauracyjnymi. Powinno to poszerzenie lokali mieć miejsce za domkami rybaków, a jeśli już to stać tu tylko w sezonie. Letnie atrapy powinny być rozbierane jesienią. A tak się nie dzieje. Miasto nie egzekwuje konieczności likwidowania zasłaniających domy namiotów. Jak na ironię nawet zarząd miasta pod własnymi oknami pozwala na ustawianie wyjątkowo paskudnych bud. Urzędnicy na to patrzą z okien.

Nie pomoże cacuszko w postaci – wystawionej przez burmistrza Mirosława Wądołowskiego – dwumetrowej bursztynowej latarni, między budynkiem helskiej władzy a posągiem Neptuna. Siedzę z burmistrzem pod przyrodzeniem króla mórza. Dowiaduję się, że przyrodzenie trzeba było przykleić, bo pijani wandalie je ułamali. Dużo zresztą o planach miasta nie wiadomo. Hel to letnia erupcja, a potem marazm. Nie ma wojska, nie ma przetwórstwa, wieje wiatr.

W czasie ostatnich wyborów było rozgoryczenie. Tak, jak i teraz, chodziłem i słuchałem ludzi. Nie chcieli nowego wielkiego hotelu w lesie, w strefie chronionej. Poprzednik Wądołowskiego zgodził się, by przyjeżdżały tu i parkowały tabuny aut. Wądołowski był ośmieszony aferą z Sawicką. Ale sąd go uniewinnił. I nowy/stary (był burmistrzem przez 4 kadencje) wygrał wybory.

Ciąg dalszy na s. 66 ▶





► Ciąg dalszy ze s. 65

Kipiał energią. Ludzie mu jeszcze raz zawierzali. Niestety zrobił niewiele. Być może nie odzyskał również zaufania u władz i inwestorów.

Nie wiadomo, co dalej będzie z portem rybackim. Rybaków oszukano. Przetwórnica ryb – wielka fabryka niszczyje, podobnie jak wytwórnia lodu. Ktoś prywatnie to kupił, ale gruntu nie dostał. Pat trwa. Od trzydziestu lat tam, gdzie kończy się port, stoją nad zatoką ogromne hale warsztatowe i budynki po zakładach rybnych „Koga”. Był to wielki, wspaniały zakład przetwórczy. Dziś jest jak po wybuchu bomby. „Koga” zatrudniała i żywiła Hel. Zniszczona bandyckimi decyzjami złodziejskiej władzy, stanowi dowód, jak zamieniono „władzę” na „własność”. Uwłaszczyli się ci, którzy po '89 mieli dojścia. Ale nie do końca, bo ziemia po niszczących przetwórnicy, wytwórnicy lodu, warsztatach naprawczych jest nadal własnością miasta.

Przy nabrzeżu portu cumują duże i małe jednostki połowowe. Jest ich kilkadziesiąt, łowią kilkakrotnie więcej niż kiedyś, ale cały ten urobek nie jest przerabiany na Helu. Rano zabierają go potężne chłodnie samochodowe, zdolne przewieźć do 20. ton ryb. To wszystko jedzie do nowych przetwórnicy, nowych właścicieli i jest przerabiane na mączkę. Trudno uwierzyć, że trasy tych wędrówek ryb to nawet do 100 km. Trudno uwierzyć, że w miasteczku rybackim nie ma nawet sklepu rybnego, nie mówiąc o hali rybnej: owszem, jest piękny, stylowy budynek opisany na ścianie jako „Suszarnia”, ale stoi pusty, albo też jest kolejnym magazynem, od kilkunastu lat nie wiadomo po co stojącym na terenie ważnej portowej strefy.

Hel jest czysty. To trzeba przyznać. Mówią mi, że facet od utrzymywania czystości to były wojskowy, pedant i czystościuszek. Wszystko sprawdza. Widzi papierek, to go podnosi.

Ale jest problem. Na cmentarzu, *vis-à-vis* przebudowanego pięknie w starym stylu dworca kolejowego, postanowiono zlikwidować kilkadziesiąt nieopłaconych grobów. Wśród nich 20 mogił małych dzieci, które pochowano tu już bardzo, bardzo dawno i władzy komunalnej nie udało się odnaleźć rodzin. Powieszono – zgodnie z przepisami – czerwone świstki papieru i nagrobki będą pozostawione tylko do końca roku. Ludzie samorzutnie je odnowili i pielęgnują. To już zabytki. Może władza wysuła kilka złotych i zachowa pamiątki po swoich malutkich obywatelach sprzed lat.

Podobno to Rosjanie wymusili na nas likwidację wojsk na Helu. NATO-wskie ustalenie. Rakietowe ruskie siły i nasze jednostki były – ponoć – zbyt blisko Kaliningradu. Jak to dziś ocenić – to oddzielna sprawa. Tak czy owak podejście od strony



Port morski Hel; widok na falochron zachodni i tzw. Helskie Jajo FOT. © RAFAŁ NOWAK

zatoeki do pozostających tu jeszcze nabrzeży portu wojennego jest wystarczająco głębokie i to w przyszłości może okazać się bardzo ważne. Co z naszym wojskiem, marynarką na półwyspie – myślę, że do końca nie wiadomo. Niestety, póki co wojska na Helu już od dawna nie ma, a w ciągu ostatnich lat wyburzanie na tym całym 80-hektarowym obszarze postępuje coraz szybciej.

Warto wiedzieć, że półwysep w tym rejonie liczy aż 3,5 km szerokości. Pokrywa go las i obronne niegdyś wydmy.

### Rozszarpywanie

Jeżdżę najlepszymi drogami. Trafiam na ośrodek wypoczynkowy „Kormoran”. Ośrodek to tu był. Teraz jest to zbiorowisko przyczep kempingowych i przeróżnej zabudowy. Tak po prostu – w lesie. Słyszę, że instaluje się tu głównie wpływowa warszawka. Ziemię sprzedaje Agencja Mienia Wojskowego. Jeszcze przez kilka lat olbrzymie tablice w rejonie ul.



Autor – syn kpt.ż.w. Zygmunta Truszczyńskiego podczas reporterskiej penetracji na Helu FOT. © ARCHIWUM STEFANA TRUSZCZYŃSKIEGO

Przybyszewskiego informowały, co i gdzie jest do sprzedania. Teraz widać intensywność wyburzania całkiem jeszcze zdrowych budynków po wojsku – dużych i małych.

Czepiam się? Może. Ale jest sprawa kompromitująca już nie tylko malutki w końcu, uzależniony od kaprysów władzy Hel. To nadal wspaniały i niezniszczony jak gospodarka rybną port wojenny na Helu. Jest większy niż akweny portu rybacko-żeglarskiego. Był zbudowany przed wojną. Świetnie zlokalizowany od strony zatoki, chroniony więc w znaczącym zakresie przez półwysep. To powinna być najważniejsza Polska wypadowa na Bałtyk baza marynarki wojennej. Od dziesiątek lat falochrony tej wojennej przystani są rozkradane. Dopiero rok temu ogrodzono i podzielono port.

Różne głupoty władza wciska ludziom: że nie dość przed falą chronione jest wejście, że nabrzeże główne nie jest prostopadłe, ale wypukłe i trudne do cumowania, że teraz ma poradzić sobie z obiektem... Uniwersytet Gdański (!), któremu ponoć połowę akwenu sprzedano. A tak na marginesie: rybacy, z którymi rozmawiałem, mówili mi, że opieka Morskiego Instytutu Rybackiego była przydatna w przeciwieństwie do tego, co robi teraz „nowy” opiekun, czyli UG.

Rok temu wokół portu wojennego były jeszcze obiekty budowlane w zupełnie dobrym stanie. Między innymi pralnia koszarowa, sprzed której to właśnie zabrać miała Lecha Wałęsę do Stoczni Gdańskiej motorówka admirała Janczyszyna w sierpniu 1980. Bo to był skok przez zatokę, a nie przez płot. Ta pralnia – słyszę od przedstawicieli władz miasta – podobno stanowiła niebezpieczeństwo, bo kręcili się tam... menele i mogliby się uszkodzić. Choć pamiętam, że jeszcze rok temu trwały tam jakieś prace budowlane. A nawet teren ten stanowił bazę dla historycznych pojazdów wojskowych,



bowiem od kilku lat na Helu organizowany jest przez urząd miasta D-Day, taka wojenna zabawa ku ucieście wczasowiczów. Ponoć nawet niewiele kosztuje, bo tylko 80 tys. złotych. Zjeżdżają się na nią miłośnicy militariów. Również z Niemiec.

A jeśli już o militariach, to znowu bomba. Polska – bo to nie jest sprawa na miarę miasteczka – ma swojego rodzaju skarb podwodny. On nie nam służył, ale znajduje się od 20 września 1943 roku wbity na głębokości 60 metrów w polskie żywe ciało, właśnie w nasz Półwysep Helski, zaledwie pół mili od wybrzeża na wysokości historycznego morskiego punktu świetlnego Góry Szwedów. To ostatni już na świecie – w całości, nieuszkodzony U-Boot typu VII C. Jest wart dziś co najmniej 5-10 milionów dolarów, właśnie jako zabytek, relikw strasznej wojny. Jest w doskonałym stanie, bo zatonął w wyniku wypadku w czasie ćwiczeń. To był rejon treningowy niemieckich okrętów podwodnych.

Telewizja Polska w latach 70. przy pomocy Marynarki Wojennej podejmowała akcję wydobywania. Byliśmy nawet blisko celu, zyskując materialne zainteresowanie Niemców. Niestety, gdy dochodziło do finalizowania akcji historia – sierpień '81, stan wojenny – zniweczyła plany. U-Boot ciągle czeka. Oczywiście nie na niedołęgów niepotrafiących zarobić stosunkowo łatwych pieniędzy. Na ludzi z wyobraźnią.

### Dupa do morza

Często rozmawiam z tzw. ludźmi morza. Ze starymi wilkami morskimi, którzy przepływali – przeżyli życie na morzu i z młodymi marynarzami, oficerami marynarki cywilnej i wojskowej, z rybakami, stoczniovcami. Polska – mówią – jest odwrócona czterema literami do morza. Zmarnowano dorobek. Dźwiga się to wszystko mozolnie. Może i coś drgnęło, drgnie. Ale szczury lądowe nie czują wiatru od morza ani nawet interesu, jaki można na nim zrobić.

Defekują larwami nicienia helskie foki z fokarium. Osobiście nie cierpię zniewolenia zwierząt. Tu miała być tylko ich lecznica.



Pozostałości konstrukcji latarni morskiej na Górze Szwedów

FOT. © TOMASZ LERCZAK / CC BY-SA 4.0

Dziś u wylotu Wisły żerują ich tysiące. Niech płyną sobie do bogatej Szwecji. Morskie zoo przyciąga, ale przykład niewolnictwa to nie wychowawczego. Obok jest malutka plaża, zatoka i słotczeni, kąpiący się tam ludzie. Miasto ją sprzedało... gdańskiemu uniwersytetowi (!). Szkoda, że nie Sanepidowi.

Jest 4 rano, rybacy wypływają na połów. Duże i małe jednostki. Widzę za sterem niewielkiej łodzi połowowej kobietę. Rybaczka wypływa na połów. Portem teraz kieruje również kobieta. Urzęduje w budynku – kilkunastometrowym jaju – na falochronie. Piękny to urząd ze wspaniałym widokiem. Kilkanaście lat stał bezczynnie. Właśnie go zagospodarowują. Na dole sanitariaty. Szkoda tylko, że miasto za skorzystanie z prysznicza nawet od harcerzy i studentów bierze aż 10 złotych. Bez ulgi. To nie jest popieranie żeglarstwa.

Wprawdzie pchają się do miasteczka różni notable. Ale ich obietnice kończą się po zakupie penthousu. Kupują i spędzają tu miesiąc – dwa. Nie wiedzą, że 7 km za cyplem na 70 metrach leży bomba z opóźnionym zapłonem. To *Frankel*, tankowiec niemiecki zatopiony przez rosyjskie samoloty w ostatnich dniach

wojny. Miał ponad 200 metrów długości, jest rozwalony na trzy części i rozwleczony po dnie. W ładowniach ma nadal tysiące ton skawalonego mazutu. Wszyscy tu o tym wiedzą. Władze miasta z tym niebezpieczeństwem same sobie nie poradzą, Marynarka Wojenna – olewa, władze centralne mają inne problemy i tak już jest od 1945 roku. Następnym pokoleniom zostawia się problem. Tak samo przecież bałtyckie kraje odnoszą się np. do iperytu w głębinach, m.in. koło Bornholmu, gdzie teraz przebiegają rury Nord Stream i nasza Pipe.

W lesie na cyplu istnieje polana planowana pod lądowisko dla helikopterów ratowniczych. Potem chciano tu wcisnąć hotel. Teraz jest składowisko materiałów budowlanych. Wszystko w pobliżu najpiękniejszej polskiej, strzelistej, ceglanej latarni morskiej, wybudowanej w dwudziestolecie międzywojennym. Obok stylowy dom latarnika. Ale wszystko przebiła sławna „działka Sawickiej”, którą turystom pokazują, choć nie wiadomo, co z nią będzie.

Niedaleko potencjalnego lądowiska znajduje się ukryty wśród drzew wielki militarny zabytek. To ogromny bunkier, zbudowany pod koniec lat 40. już dla ludowego wojska. I może dlatego pogardzony. W schronie był punkt koordynujący ogień artylerii helskiej. Jeśli uda się tam wcisnąć przez zaporowe wrota, jest co zwiedzać – labirynt korytarzy i pomieszczeń nie do końca jeszcze rozkradzionych przez złomiarzy. Kilkudziesięciometrowej szerokości i długości obiekt.

Na jednym ze wzgórz przed plażą, zachowany niezłe punkt artyleryjski. Kilkudziesięciometrowej wysokości. Z góry byłaby fantastyczna panorama na cały umocniony rejon obronny, długie linie okopów i schrony – gdyby nie wyłamane schody.

Brzegiem na północ dochodzimy do historycznej wieży. To punkt świetlny dla żeglarzy, sprzed wieków – Góra Szwedów. Zakneblowany i porzucony. Mógłby być atrakcją turystyczną, jest ruiną. Nazwa pochodzi od bitwy morskiej. Najpierw daliśmy Szwedom łupnia, ale nie do końca. Zlekceważono odwet. Tymczasem Szwedzi wrócili i spalili nasze okręty. Bolesna nauczka. Ten dawny punkt świetlny przez kilkadziesiąt lat był ważny dla marynarzy i rybaków. Dziś jest zapomniany.

Gdy pytałem o te sprawy miejscową władzę, patrzyła na mnie zdumiona. Niestety sami sobie nie poradzicie. Następuje wyludnienie. Potrzebny jest plan strategiczny. Potrzebny jest ktoś na miarę Eugeniusza Kwiatkowskiego. Na te grunty dybią liczni, by podzielić i zawłaszczyć. Ale szczury lądowe nawet z wielką kasą to zła opcja. Władza samorządowa musi mieć zaufanie i autorytet.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■



Pozostałości Rejonu Umocnionego Hel, 27. BAS FOT. © WIESIEK WÓJCIK



# Było, minęło, zostało w pamięci

**T**adeusz Olszański, znakomity dziennikarz, pisarz i tłumacz, w najnowszej autobiografii *Było, minęło, zostało w pamięci* (Warszawa 2022), po swym opus magnum – *Kresy kresów, Stanisławów* oraz *Stanisławów jednak żyje* – kontynuuje swoją historię od 1945 roku.

Książka ta niczym film, prowadzi nas kadr po kadrze przez najciekawsze zdarzenia sportowe, polityczne i kulturalne ostatnich siedemdziesięciu lat, których autor był świadkiem. Główne role dostały w tym „filmie” godne podziwu postacie z całego świata, z którymi autor spotykał się i przyjaźnił przez lata, a fabuła prowadzi nas przez kolejne karty życia Tadeusza Olszańskiego, w tym takie momenty, jak wyjazdy na igrzyska olimpijskie, czy relacje z Jugosławią w trakcie rozpadu tego kraju. Autor sporą uwagę poświęca w swojej opowieści również sprawom węgierskim, od literatury przez politykę po kuchnię, wszak jest nawet autorem przewodnika kulinarnego *Nobel dla papryki*.

To właśnie dzięki zamilowaniu autora do Węgier, możemy poznawać ten kraj z różnych stron również poprzez jego twórczość translatorską. To zamilowanie nie może dziwić, skoro Tadeusz Olszański urodził się w 1929 roku na Kresach, po każdej wywodzi się ze szlacheckiego, węgierskiego rodu Siménfalvych. Ojciec był Polakiem, lekarzem w polskim niegdyś Stanisławowie (dziś ukraiński Iwano-Frankiwsk), w którym Tadeusz przyszedł na świat i wzrastał. Jesienią 1943 roku rodzina przedostała się na Węgry, gdzie do marca 1944 roku i wkroczenia Niemców do Budapesztu uczęszczał do polskiego gimnazjum w Balatonboglár. Po II wojnie światowej rodzina dokonuje kolejnej zmiany miejsca zamieszkania. W 1945 roku Olszańscy osiedlają się w Opolu, a Tadeusz po uzyskaniu matury przeniesie się do Warszawy, gdzie w 1952 roku ukończy studia na Wydziale Dziennikarstwa UW.

Był jednym z najbardziej aktywnych dziennikarzy sportowych, relacjonował sześć igrzysk olimpijskich. Przez wiele lat kierował działem sportowym w „Sztandarze Młodych”, był zastępcą redaktora naczelnego „Sportowca”, zastępcą redaktora naczelnego redakcji sportowej TVP, kierował działem olimpijskim wydawnictwa KAW. Jego wielką pasją jest literatura węgierska, przetłumaczył ponad czterdzieści powieści i dramatów, w tym kultową powieść dla młodzieży *Chłopcy z placu Broni* Ferenc Molnára. Za swoją pracę translatorską otrzymał najwyższą



węgierską nagrodę literacką im. Tibora Dery’ego, odznaczenie „Pro Cultura Hungarica”, a także nagrodę ZAiKS-u.

Od 1986 roku był zastępcą dyrektora, a od 1986 do 1990 dyrektorem Ośrodka Kultury Polskiej w Budapeszcie. W latach 1990-1994 pracował jako korespondent Polskiego Radia i Telewizji na Węgrzech i w Jugosławii.

Po powrocie do kraju na stałe związał się z tygodnikiem „Polityka”, z którym do końca aktywności zawodowej współpracował jako dziennikarz sportowy, a także komentator wydarzeń na Węgrzech i na Bałkanach.

Napisał kilkanaście książek sportowych, w tym nagrodzone Srebrnymi Wawrzynami Olimpijskimi: *Magię Igrzysk* (1972), *Wyżej nad poprzeczkę* (1976), *Wszystko na medal* (1980) oraz Złotym Wawrzynem – *Osobistą historię olimpiad* (2000).

Za napisaną wspólnie z Janem Lisem *Czystą grę*, tłumaczoną na bułgarski, niemiecki, węgierski i wietnamski, otrzymał w 1988 roku Nagrodę Fair Play UNESCO. Jego reportaże z mistrzostw świata w piłce nożnej w 1982 roku wyróżniono I nagrodą w międzynarodowym konkursie „Catalonia y Mundial”. Jako dziennikarz sporto-

wy zainicjował i w latach 60. doprowadził do powstania Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego oraz przyznawania nagrody Fair Play wyróżniającym się sportowcom, którzy podczas rywalizacji nie zapominają o zasadach i szacunku dla przeciwnika. Ta inicjatywa została w 1964 roku przejęta przez UNESCO w międzynarodowej skali.

We wszystkich dziedzinach, których dotknął jest niezwykle ceniony, za co też został uhonorowany wieloma nagrodami, m.in: Najlepszy dziennikarz sportowy minionego stulecia (w kategorii prasa) w plebiscycie Klubu Dziennikarzy Sportowych oraz „Przeglądu Sportowego” (2021). Otrzymał Nagrodę Williego Daume’a, przyznaną za krzewienie idei „czystej gry” i promocję uczciwej rywalizacji sportowej przez Międzynarodowy Komitet Fair Play oraz medal 100-lecia Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Jest laureatem Nagrody im. Witolda Hulewicza. Został odznaczony cywilnym Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Republiki Węgierskiej (2009).

Najnowsza książka *Było, minęło, zostało w pamięci* to historia życia znakomitego dziennikarza i wybitnego człowieka, opisana w sposób lekki, dowcipny, a kiedy trzeba również krytyczny.

IRENEUSZ ST. BRUSKI / IW ■





# 75-lecie Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Bytomiu



FOT. © IRBAMISZSZA BRUSKI

Uroczystym *Defilé* uczniów Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Ludomira Różyckiego do muzyki z baletu *Don Kichot* w chor. Joanny Orzechowskiej zainaugurowano Jubileuszową Galę, która odbyła się 25 czerwca 2022 roku w Bytomskim Centrum Kultury.

W części artystycznej uroczystości zaprezentowano m.in. spektakl baletowy z udziałem wszystkich uczniów pt. *Wszechświat w skorupce orzecha* w reż. Artura Żymelki, a także występy solowe (Łucja Borek, Oliwia Chmielewska, Zuzanna Ciaciek, Tamiła Dudnik, Klara Lisek, Jagoda Łydka, Yelizaveta Venher, Mateusz Buszka, Wiktor Perdek, Igor Przybyła) i grupowe uczniów, m.in. klas V-VIII pt. *Czekając* w chor. Małgorzaty Dzierżon.

Na scenie BECEK-u wystąpili także absolwenci OSB – obecni artyści: Opery na Zamku w Szczecinie (fragm. spektaklu *My, dzieci z Dworca Zoo* w chor. Roberta Glumbeka, *Mały Książę* w chor. Lucyny Zwolińskiej), Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” (*Suita tańców chasydzkich* w chor. Michaiła Zubkowa, *Kujawiak* w chor. Hanny Chojnackiej), Opery Śląskiej (*Krzyszany* w chor. Henryka Konwińskiego).

Obchody Jubileuszu dopełniło spotkanie absolwentów i pedagogów w gmachu bytomskiej Szkoły Baletowej, przy ulicy Jagiellońskiej.

Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa im. Ludomira Różyckiego jest szkołą publiczną w myśl ustawy Prawo Oświatowe. Organem prowadzącym placówkę szkolną jest Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a nadzór pedagogiczny nad szkołą pełni MKiDN za pośrednictwem Centrum Edukacji Artystycznej. Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa w Bytomiu jest jedną z pięciu tego typu szkół w Polsce, obok Warszawy, Gdańska, Poznania i Łodzi.

ANDRZEJ SZTUMSKI ■



FOT. © BYTOMSKI CENTRUM KULTURY





# Szkoła Baletowa w Bytomiu

■ ELŻBIETA MENDAKIEWICZ



**H**istorię Szkoły Baletowej im. Ludomira Różyckiego w Bytomiu tworzy liczne grono wyjątkowych ludzi: z wizją, pasją, iskrą bożą, daną im nieprzypadkowo. Stworzyli bowiem rzecz wielką na pokolenia – szkołę baletową. Byli to między innymi Tacjańska Wysocka, Halina Hulanicka, Zbigniew Korycki, Barbara Joniec i Tadeusz Paprzycki. Dzięki nim możemy dziś świętować 75-lecie szkoły, dobrze funkcjonującej, rozwijającej się, z perspektywą rozbudowy. Jest to szkoła niezwykła: najstarsza – jako pierwsza z pięciu, rozpoczęła działalność po II wojnie światowej.

## Ci, którzy tworzyli szkołę

Początek aktywności Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej sięga 1946 roku, kiedy to została powołana Prywatna Szkoła Baletowa w Sosnowcu z siedzibą w Pałacu Dietla. Jej założycielką była Tacjańska Wysocka (1894-1970), polska tancerka, choreograf, pedagog i publicystka. Pokonała bardzo wiele trudności wynikających z sytuacji powojennej: zniszczony budynek, brak finansów, problemy ze zdobyciem każdej najdrobniejszej rzeczy potrzebnej do prowadzenia zajęć. W 1948 roku szkołę artystyczną w Sosnowcu przekształcono w Liceum Choreograficzne, które następnie – w styczniu 1950 roku – upaństwowiono.

W sierpniu 1955 roku placówkę, ze względu na potrzebę praktykowania na scenie Opery Śląskiej, przeniesiono do Bytomia i tymczasowo umieszczono w gmachu Szkoły Muzycznej przy ulicy Moniuszki. W lutym 1958 roku szkoła przeprowadziła się do pobliskiej, adaptowanej na ówczesne potrzeby kształcenia



FOT. © IRENEUSZ ST BRUŚKI

baletowego, kamienicy czynszowej przy ulicy Jagiellońskiej w Bytomiu, gdzie mieści się do dzisiaj. W trakcie obchodów jubileuszowych z okazji 30-lecia utworzenia nadano jej imię Ludomira Różyckiego. W osobnym budynku, przy ulicy Zabrzańskiej, od 1999 roku mieści się internat.

Nie sposób wymienić wszystkich, którzy dołożyli swoją cegiełkę w kształtowaniu tej szkoły. Nasi absolwenci z sentymentem wspominają pedagogów – legendy naszej szkoły, między innymi Tadeusza Burkego, Kazimierza Jacaka, Annę Keyhę-Lis, Kazimierza Cieślę, Elżbietę Rymwid-Mickiewicz (Lebik), Fryderyka Lebika, Wiesławę Kubiak-Mazur, Barbarę Kozak, Ewę Sobolewską.

## Absolwenci

Grupa absolwentów, która uczyła lub aktualnie uczy tańca w naszych polskich szkołach, jest liczna...

Szkołę Baletową ukończyli m.in. Sławomir Gidel (dyrektor Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Janiny Jarzynówny-Sobczak w Gdańsku), Jacek Nowosielski (dyrektor Państwowego Policealnego Studium Wokalno-Baletowego w Gliwicach) i Maria Buczkowska (Szewczenko) – jej świadectwo jest wyjątkowe, z numerem 1; ukończyła Szkołę w 1953 roku, była propagatorką kultury tanecznej, dyrektorką prywatnej szkoły baletowej. Wciąż jest czynna zawodowo.

Wśród absolwentów są również: Janina Niesobska, Robert Glumbek, Anna Majer, Małgorzata Dzierżon, Katarzyna Kozielska, Lucyna Zwolińska, Bożena Olearczyk-Klimczak, Joanna Drabik (choreografowie), Joanna Kuna-Szabelska, Karina Rymwid-Mickiewicz, Elżbieta Rymwid-Mickiewicz, Dobrosława Gutek, Tadeusz Jendrosz, Joanna Pyka, Zdzisław Ćwiro, Kazimierz Cieślę, Barbara Gatty-Kostyal, Waclaw Niedźwiedz, Jarosław Światała, Stefan Jońca, Janusz Mazoń, Bogdan Cholewa, Jan Zdanowicz, Robert Glumbek, Jerzy Makarowski, Wiesława Kubiak-Mazur, Dawid Trzemiński, Grzegorz Pajdzik, Anna Mendakiewicz, Anna Lorenc, Maciej Pletnia, Michalina Drozdowska, Marta Kurkowska, Małgorzata Dzierżon, Katarzyna Kozielska, Paulina Bidzińska,



Ludomir Różycki



Tacjańska Wysocka



Łukasz Oźga, Agnieszka Pietyra-Janik, Dajana Al-Makosi, Alicja Bajorek, Barbara Kozak, Karolina Wiśniewska, Dominik Babiarz-Kubik, Karolina Cichy, Adam Myśliński, Marek Krzypkowski, Adam Czechlewski, Aleksandra Piotrowska, Zbigniew Sidło, Sabina Wozsek (tancerze, kierownicy baletów scen polskich i zagranicznych), Ewa Telega, Marek Sikora (aktorzy), a także Aleksandra Dziurosz, Artur Fredyk i Oskar Światała (naukowcy i wykładowcy, propagatorzy kultury tańca).

Absolwenci wracają do naszej szkoły jako rodzice kolejnych pokoleń tancerzy (np. Jarosław Światała, Joanna Kurkowska, Renata Drozdowska), pedagogzy (np. Lucyna Popławska, Janina Psiuk, Katarzyna Dziok), choreografowie (np. Małgorzata Dzierżon, Katarzyna Kozielska), współrealizujący różnego typu projekty (np. Aleksandra Dziurosz, Artur Fredyk).

**O szkole na co dzień**

Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa w Bytomiu to miejsce, w którym uczniowie przebywają codziennie od rana do późnego wieczora, a po lekcjach często chodzą na repertuarowe spektakle do Opery Śląskiej.

Nauka trwa dziewięć lat, od 10. do 19. roku życia. Zajęcia ogólnokształcące, takie jak w każdej szkole podstawowej czy liceum, przeplatają się z różnego typu zajęciami tanecznymi: taniec klasyczny, współczesny, ludowy i charakterystyczny, partnerowanie, techniki uzupełniające i przedmioty umuzykalniające (rytmika, umuzykalnienie, audycje muzyczne).

Gdy w ciągu dnia wchodzi się do szkoły, z różnych stron, z sal baletowych, dobiegają dźwięki pianina. To akompaniatory wspomagają nauczycieli tańca w czasie zajęć zawodowych.

„Jesteśmy szkołą sprzyjającą artystycznemu rozwojowi ucznia. Kształtujemy sylwetkę kreatywnego i odpowiedzialnego



człowieka” – ta piękna misja towarzyszy nauczycielom i uczniom w codziennej pracy, przygotowując kolejne pokolenia tancerzy do tańca na scenach baletowych Polski i zagranicy.

W szkole realizowane są projekty taneczne, m.in. koncerty oraz spektakle w choreografii wybitnych artystów tańca (Henryk Konwiński, Katarzyna Aleksander-Kmieć, Wiesław Dudek, Jacek Przybyłowicz), ale także Międzynarodowy Konkurs Choreograficzny, którego pomysłodawczynią i organizatorką kilku edycji jest – zapisująca się w pamięci jako nowatorska, dbająca o poziom kształcenia i budowanie relacji międzyszkolnych, przede wszystkim zagranicznych – wicedyrektor ds. artystycznych w latach 1998-2007, Bożena Kociołkowska. Ponadto we współpracy z Wiesławem Dudkiem zrealizowaliśmy cztery edycje projektu „Młody Duch Tańca”.

Przygotowując uczniów bytomskiej OSB do zawodu, współpracujemy z różnymi choreografami, m.in. Henrykiem Konwińskim, Jackiem Przybyłowiczem, Katarzyną Kozielską, Arturem Żymelką i Małgorzatą Dzierżon.

Uczniowie OSB uczestniczą w różnego typu konkursach tańca, przywożąc liczne nagrody. Tak było również w minionym roku szkolnym 2021/2022, w którym nasi uczniowie otrzymali nagrody i wyróżnienia podczas Ogólnopolskiego Konkursu Tańca im. Wojciecha Wiesiołłowskiego w Gdańsku, Międzynarodowego Konkursu Choreograficznego Uczniów Szkół Baletowych im. Bożeny Kociołkowskiej w Bytomiu, European Ballet Grand Prix w Wiedniu czy Międzynarodowego Konkursu „Złote Pointy” w Szczecinie.

**Przyszłość...**

19 listopada 2021 roku w związku z nabyciem przez szkołę nieruchomości, przy ul. Chorzowskiej 22 w Bytomiu, podpisany został akt notarialny. Jesteśmy właścicielami bez mała dwóch hektarów przestrzeni. Aktualnie trwają prace przygotowujące do gruntownego remontu obiektu, który ze względu na lokalizację i przestrzeń będzie wyjątkowy...

ELŻBIETA MENDAKIEWICZ ■



Jubileuszowe gratulacje...

FOT. © OSB BYTOM



Gratulacje na ręce dyrektor OSB Elżbiety Mendakiewicz składa Prezydent Bytomia Mariusz Wołosz FOT. © URZĄD MIEJSKI W BYTOMIU



# Edukacja w sztuce tańca

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



**B**alet w Polsce po II wojnie światowej z ogromnym mozołem odbudowywał swoją tożsamość kulturową w sztuce tańca. Profesjonalny taniec znajdował się w rozsypce. Część tancerzy i choreografów zginęła, jak Halina Szmolcówna, przedwojenna primabalerina, która w 1939 roku została ranna w trakcie bombardowania Mostu Poniatowskiego w Warszawie, zmarła w wyniku odniesionych obrażeń. Część tancerzy i choreografów wyjechała z kraju. Ci, którzy pozostali przy życiu, już w 1946 roku zaczęli się włączać w odbudowę życia artystycznego i edukacyjnego w Polsce.

Warszawa była jeszcze w gruzach, gdy zaczęto organizować różne prywatne szkoły, w których nauczano młodzież różnych

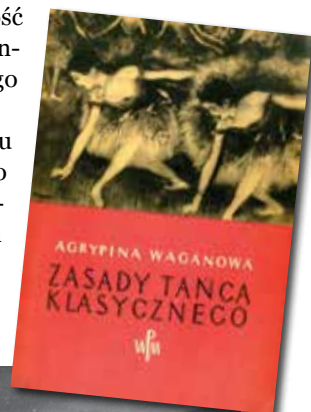
rodzajów tańca. Tak było w Warszawie, Bytomiu, Gdańsku, Poznaniu i Krakowie. Już w lipcu 1945 roku Krakowska Sekcja Tańca Artystycznego opracowała, pierwszy program ośmioletniej powszechnej państwowej szkoły baletowej; był on oparty na modelu przedwojennej Miejskiej Szkoły Baletowej w Warszawie, gdzie młodzież uczęszczała oddzielnie do szkoły ogólnokształcącej i oddzielnie do szkoły baletowej. Postulowano, aby stworzyć w jednej szkole naukę zawodu tancerza z wykształceniem ogólnym.

W 1946 roku istniejący już Departament Teatru przeprowadził ewidencję 27. prywatnych szkół na terenie całego kraju. Na rok szkolny 1947/1948 wydano dwadzieścia licencji na dalsze ich prowadzenie, m.in. w Gdańsku, Warszawie, Sosnowcu. Przeciętnie w tych ówczesnych 20. szkołach uczyło się po stu uczniów, czyli razem około 2 tys. osób. Były trzy typy szkół:

1. Szkoły baletowe,
2. Szkoły tańca ekspresjonistycznego,
3. Szkoły rytmiki i plastyki.

Poziom tych szkół był na ogół przeciętny. Praca odbywała się w nieodpowiednich warunkach. Były to izby mieszkalne i baraki, często bez dostatecznej liczby wykładowców i niezbędnych pomocy technicznych. Szkoły te z wielką ofiarnością przygotowywały młody narybek, ale było to działanie bezplanowe i zbyt krótkie, by taka działalność mogła stać się fundamentem stałego szkolnictwa.

Do 1948 roku szkolnictwo to pozostawało jeszcze w prywatnych rękach. Z tych prywatnych inicjatyw Komisja



Agrypina Waganowa z uczennicami FOT. © BALLET DIFFUSION



Ustrojowo-Programowa Szkolnictwa Artystycznego, po przeprowadzeniu wizytacji wszystkich 20. szkół, wstrzymała licencję i przekształciła szkoły o niższym poziomie w ogniska baletowe. Trzem zaś szkołom mającym perspektywy dalszego rozwoju i znajdujących się w miastach posiadających teatry operowe przyznano status czteroletnich państwowych liceów choreograficznych, gdzie młodzież mogła kontynuować naukę, rozpoczętą w szkołach prywatnych. Tak w 1951 roku powołano państwowe szkoły baletowe w Warszawie, Gdańsku, Bytomiu i Poznaniu. Szkoły te miały dość skromny program nauczania i różnorodne treści. Po pożodze wojennej profesjonalnej kadry pedagogicznej było tyle, aby obsadzić jedną szkołę.

W 1952 roku połączono pion podstawowy i licealny w jednej szkole, i tak powstały dziewięcioletnie Państwowe Średnie Szkoły Baletowe. Początkowo działały w Sosnowcu (potem przeniesiona do Bytomia), Warszawie, Gdańsku i Poznaniu, czyli tam, gdzie były teatry operowe ze sceną. W 1966 roku zmieniono nazwę na Państwowe Szkoły Baletowe. Dzisiaj nazywają się Ogólnokształcące Szkoły Baletowe. Do nich, w 1975 roku, dołączyła jeszcze szkoła w Łodzi.

Główną wartością tych szkół było połączenie wykształcenia zawodowego z wykształceniem ogólnym. Absolwenci otrzymywali dyplom upoważniający ich do wykonywania zawodu tancerza. W toku kształcenia ogólnego realizowano cele dydaktyczne obowiązujące w ogólnokształcącym szkolnictwie wraz z „dyrektywami wychowawczymi młodzieży w duchu socjalistycznym”. Świadectwo dojrzałości dawało prawo do wstępu na wyższe uczelnie.

Był to wielki przełom w edukacji zawodowej tancerza. Tym, którym się nie powiodło w zawodzie, stworzono otwartą drogę na inne studia. Drugim założeniem było rozszerzenie przedmiotów zawodowych związanych z tańcem. Postanowiono przyjąć jednolity plan nauczania z przedmiotów zawodowych we wszystkich pięciu szkołach baletowych w Polsce, ale to już nie było takie łatwe. Departament Szkolnictwa Artystycznego opracował programy do tańca klasycznego, opierając się na znakomitym programie Agrypiny Waganowej. Jednak w szkolnictwie artystycznym ważne są nie tylko treści i programy, najważniejszą pracą wykonuje dobrze wykształcona kadra pedagogiczna. Te wszystkie elementy gwarantują jakość wykształcenia.

Priorytetową techniką miała być technika tańca klasycznego (najtrudniejsza technika profesjonalnego tańca). Polska w owym czasie takimi programami i ka-

drą nie dysponowała. Podjęto decyzję na wysokim szczeblu i zaproszono w ramach wymiany kulturalnej, przedstawicieli światowego baletu radzieckiego. Pedagodzy ci, uczyli w nowopowstałych państwowych szkołach baletowych i naszych teatrach operowo-baletowych. Preferowaną metodyką nauczania był program A. Waganowej, rozpowszechniony w krajach obozu socjalistycznego, również znany na Zachodzie. Drugim krokiem było wysłanie do Związku Radzieckiego (Moskwa, Leningrad) młodych artystów na studia pedagogiczne lub baletmistrzowskie w słynnej uczelni – GITIS (Российский институт театрального искусства). Do 1974 roku studia takie ukończyło osiemnaście osób.

Choreografia, która jest twórczym elementem sztuki tańca, została zaniedbana. Wciąż radzieccy pedagogzy w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia, oprócz polskich nauczycieli, byli wiodącą kadrami w państwowych szkołach baletowych oraz w teatrach operowo-baletowych w Polsce. Najsilniejszym ośrodkiem był Teatr Wielki i Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa w Warszawie. W tym czasie na Zachodzie powstawały nowe techniki tańca, nowe style i trendy w sztuce tańca, do których Polacy nie mieli dostępu.

W Polsce zaczęły powstawać wydziały tańca. Pierwsza była Akademia Muzyczna w Warszawie w Warszawie (dzisiejszy Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina). Obecnie są trzy wyższe uczelnie z wydziałami tańca (Warszawa, Łódź, Katowice), pięć Państwowych Ogólnokształcących Szkół Baletowych, które obchodzą już swoje Jubileusze 75- i 70-lecia istnienia, dziewięć teatrów operowo-baletowych, trzy teatry tańca (Poznań, Kielce i Bytom). Wydawałoby się, że jest to dobra baza do kształcenia artystów baletu w Polsce. Uczelnia warszawska wykształciła około trzystu nauczycieli tańca. Nie powinniśmy narzekać.

Szkolnictwo i edukacja wymagają systematycznego rozwoju. Taniec to zawód, który mistrz przekazuje uczniowi. Wszystko na pozór sprzyja polskiej edukacji artystów baletu. W 2022 roku odbyła się III Międzynarodowa Konferencja Naukowo-Artystyczna organizowana przez warszawski Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina. Temat konferencji brzmiał: *Historia i współczesność, perspektywy rozwoju, wszechstronna problematyka*. Bardzo interesujące byłoby, gdyby uczestnicy Konferencji odpowiedzieli sobie na najważniejsze, moim zdaniem, pytania:

1. Dlaczego w 1993 roku odebrano polskim artystom baletu emerytury?
2. Dlaczego w polskich teatrach operowo-baletowych pracuje dziś tylu cudzoziemców? Przecież nasze szkolnictwo i teatry są utrzymywane przez państwo z podatków obywateli. Czego brakuje Polakom, że w oczach kierowników baletu preferuje się lepsze umiejętności tancerzy z zagranicy? Czy widzą jakieś niedostatki w szkolnictwie baletowym w Polsce? Czy zawód ten przestaje być atrakcyjny dla młodego pokolenia Polaków?

Przyczyny tych problemów są znane, jedynie trzeba je jak najszybciej rozwiązać.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■

CHOREOGRAFOWIE:  
ROBERT BONDARA (POLSKA)  
JEAN CORALLI & JULES PERROT (FRANCJA)  
ALEXANDER EKMAN (SZWECJA)  
MAINA GIELGUD (WIELKA BRYTANIA)  
ANNA PIOTROWSKA (POLSKA)  
MARTYNAS RIMEIKIS (LITWA)  
oraz programy szkolne

XIII dni sztuki tańca

13-30/11/2022

W PROGRAMIE:  
13/11/2022 GALIA SZKOLNA  
Wesoła / Wzrostająca Szkoła Tańca w Siedlcach  
Tahircze, spektakl w arazzo / Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa w Warszawie  
15/11/2022 TEATR TAŃCA I RECHU ROZBAJE  
Egotic Experiment, Territory, Balance of Democracy, Gemini-Trypsik  
18/11/2022 B&S  
Take Me with You, Episode 3.1, Blind Words / Ballet Teatru Wielkiego w Poznaniu  
25-27. 30/11/2022 GEMINI premiera / Polski Balet Narodowy

OPERA NARODOWA POLSKO BALET NARODOWY



# Czy w niebie tańczą? cz.II

FOT. © CANDID SHOTS

Listopad miesiąc pamięci o tych, którzy odeszli i zapisali się w zbiorowej pamięci. Podobnie, jak w ubiegłym roku (zob. „Ostoja“, nr 4/2021, s. 76n), powracamy do wspomnień, sięgamy do kart ich życia i zastanawiamy się co wybitni artyści sztuki tańca pozostawili dla następnych pokoleń oraz wspominamy ich z wdzięcznością. Ci którzy ich znali, pracowali razem powinni być strażnikami pamięci o nich. To podziękowanie, że byli z nami. Ocalmy od zapomnienia tych, których już z nami nie ma...



FOT. WŁADYSŁAW MIERNICKI / MAC

**Zygmunt Dąbrowski**  
(1896 - 1973)  
– tancerz i pedagog, w latach 1925-1939 pierwszy tancerz Teatru Wielkiego w Warszawie, solista zespołu Anny Pawłowej; tańczył główne role z czołowymi balerinami

swojego pokolenia. Po wojnie jego praca jako pedagoga tańca klasycznego przyczyniła się do wykształcenia wielu pokoleń znakomych tancerzy i do ciągłego rozwoju polskiego baletu.



FOT. MAC

**Eugeniusz Papliński**  
(1908-1978) – tancerz i choreograf, tancerz zespołu Feliksa Parnella, solista baletu Teatru Wielkiego w Warszawie; współpracował z Londyńską Legat Ballet School.

Założyciel Polskiego Zespołu Tańca; z grupą swoich tancerzy przeszedł do Opery Warszawskiej. Specjalizował się w folklorze góralskim, m.in. wystawiając balet *Harnasie* do muzyki Karola Szymanowskiego w Komische Oper w Berlinie oraz w teatrach w Polsce. Jako choreograf pracował w Pradze, Budapeszcie, Helsinkach i Berlinie; juror międzynarodowych konkursów tańca.



FOT. EDWARD HARTWIG / MAC

Witold Borkowski (1925 - 1995) – tancerz, choreograf i reżyser, studiował w Wilnie, debiutował w Wileńskim Teatrze Lutnia, tańczył w Zespole Baletowym Feliksa Parnella, pierwszy tancerz Opery Śląskiej i Opery w Warszawie, kierownik baletu i główny choreograf Opery w Łodzi. W 1968 roku zainicjował Łódzkie Spotkania Baletowe. Współpracował jako choreograf z wieloma teatrami muzycznymi i dramatycznymi. Juror krajowych i zagranicznych konkursów baletowych.



FOT. EDWARD HARTWIG / MAC

**Maria Krzyszkowska**  
(1925 - 2014)  
– tancerka, po wojnie wraz z Leonem Wójcikowskim występowała w warszawskich kawiarniach, solistka Teatru Nowego w Warszawie, potem Państwowej

Opery w Warszawie. Primabalerina Opery w Poznaniu (1950-1953) i Teatru Wielkiego w Warszawie (1962-1977), kierownik baletu Teatru Wielkiego (1970-1980, 1985-1991) i Teatru Muzycznego „Roma” (1995-1998).



FOT. EDWARD HARTWIG / MAC

**Stanisław Szymański**  
(1930 - 1999)  
– tancerz, solista baletu Opery Poznańskiej, pierwszy tancerz Teatru Wielkiego w Warszawie; zasłynął w *demi* klasycznych tańcach solowych.



Jako jedyny Polak został uhonorowany w Paryżu Nagrodą im. Wacława Niżyńskiego. Podczas festiwalu „Warszawska Jesień” otrzymał Orfeusza, nagrodę krytyków muzycznych SPAM (1963). Publiczność przyjmowała jego występy entuzjastycznie.



FOT. ARCHIWUM UMFC

**Janina Pudełek**

(1930-2004) – historyk, popularyzator i krytyk baletu; wieloletnia pedagog Akademii Muzycznej Fryderyka Chopina w Warszawie; autorka książek o tańcu, m.in.:

*Warszawski balet romantyczny, Balet warszawski drugiej połowy XX wieku, Z historii baletu.* Była recenzentką przedstawień baletowych, kreowała artystyczne oceny o rozwoju polskiego baletu 2. połowy XX wieku.



FOT. ARCHIWUM „MAZOWSZA”

**Witold Zapala**

(1935-2020) – tancerz, choreograf i pedagog, wieloletni kierownik baletu Państwowego Zespołu Ludowej Pieśni i Tańca „Mazowsze”, dla którego stworzył 30 choreografii. Pomysłodawca i choreograf dziecięcego zespołu tanecznego „Varsovia”; tworzył choreografie do filmów, oper i sztuk teatralnych. Laureat Ogólnopolskiego Konkursu „Perły Tańca 2019”.



FOT. MAC

**Feliks Malinowski**

(1936-2018) – tancerz i pedagog, pierwszy solista Opery w Łodzi i Teatru Wielkiego w Warszawie; był znakomitym scenicznym partnerem, jedynym z polskich artystów

baletu, który wraz z Olgą Sawicką tańczył w *Giselle* w Teatrze Bolszoi w Moskwie. Jako pedagog pracował w wielu operach (Palermo, La Scala, Karlsruhe, Lyon, Nancy, Turyn, Ostenda); juror międzynarodowych konkursów tańca.



FOT. ARCHIWUM OPERY GDAŃSKIEJ

**Alicja Boniuszko**

(1937-2019) – tancerka, pedagog i choreograf, czołowa balerina Opery Gdańskiej. Występowała na krajowych i międzynarodowych konkursach tańca, otrzymała III

nagrodę Międzynarodowego Konkursu Tańca w Rio de Janeiro (1961). Zajmowała się pedagogiką i choreografią; szczególnie związana z Operą Gdańską, gdzie tańczyła współczesne choreografie Janiny Jarzynówny-Sobczak.



FOT. EDWARD HARTWIG / NAC

**Gerard Wilk**

(1944-1995) – tancerz, pedagog i reżyser, pierwszy solista baletu Teatru Wielkiego w Warszawie; od 1970 roku w Balcie XX wieku Maurice’a Bójarta w Brukseli, w latach 1970-1981

jako solista tego zespołu występował na największych światowych scenach baletowych i teatralnych. Od 1981 roku zajmował się pracą pedagogiczną w Paryżu, Berlinie, Florencji, Monte Carlo i Warszawie.



FOT. © LEON MYSZKOWSKI / TWON

**Ewa Głowacka**

(1953-2020) – tancerka i pedagog, pierwsza solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, stypendystka Fundacji Kościuszkowskiej. Laureatka międzynarodowych konkursów w Moskwie,

Warnie, Osace i Gdańsku; jurorka konkursów baletowych; gościnny pedagog Polskiego Baletu Narodowego, zespołu baletowego Opera Nova w Bydgoszczy oraz szkoły baletowej w Warszawie.



FOT. © WANDA BIETKOWSKA

**Łukasz Gruziel**

(1956-2020) – tancerz i pedagog, pierwszy tancerz baletu Teatru Wielkiego w Warszawie, zasłynął wieloma kreacjami w balecie klasycznym, neoklasycznym

i współczesnym. Wieloletni pedagog warszawskiej szkoły baletowej oraz jej dyrektor artystyczny, który miał znaczący wpływ na edukację polskich tancerzy 2. połowy XX i XXI wieku.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



FOT. © BERND SCHEIDT



# Żegnamy Zofię Posmysz

**P**elni smutku żegnamy Zofię Posmysz-Piasecką. Damę Orderu Orła Białego, wybitną patriotkę, mistrzynię słowa, wspaniałego człowieka. Żegnamy Ją i oddajemy Jej hołd, dziękując za wszystko, co nam przekazała i czego nas nauczyła. Była wielkim świadkiem historii, kustoszem pamięci tego, co nigdy nie może być zapomniane. Opowiedziała o tym swoim piarstwem, swoimi wspomnieniami, a przede wszystkim swoim życiem. Doznała straszliwego zła i – dźwigając to bolesne doświadczenie – z ogromnym zaangażowaniem poświęciła się służbie dobru w imię ocalałego, zwycięskiego człowieczeństwa.

Zofia Posmysz przeszła przez piekło. Jako młodą dziewczynę aresztowali Ją niemieccy okupanci za udział w tajnych kompletach i kolportowanie konspiracyjnych ulotek. Po pobycie w więzieniu deportowano Ją do Auschwitz. Przeżyła tragedię kilku niemieckich obozów, w tym w karnej kompanii. Za drutami spędziła trzy lata. Walczyła o przetrwanie – ale jednocześnie patrzyła, chłonęła, zapamiętywała. W samym środku koszmaru starała się pozostać człowiekiem i wspierać w tej walce innych. Ocalenie, wyrwanie się cierpieniom i śmierci, potraktowała również jako zobowiązanie do tego, aby dawać świadectwo.

„Szrajberka z Auschwitz” – takim mianem Zofia Posmysz zapisuje się w historii. Nie tylko dlatego, że w obozie pełniła między innymi funkcję pisarki w magazynie i kuchni więźniarskiej, ale przede wszystkim dlatego, że poprzez swoją literacką twórczość pozostawiła nam wstrząsające relacje i niemilknące ostrzeżenia. Wniosła do polskiej i światowej kultury takie poruszające dzieła jak *Pasażerka*, według której powstały film i opera, czy też takie utwory jak *Wakacje nad Adriatykiem* lub



FOT. © KRZYSZTOF JANIK / KRPP

*Chrystus oświęcimski*. Tematyka obozowa ciągle powracała w Jej piarstwie – jak gdyby drążąc rany, wracając do wspomnień, autorka ciągle pragnęła prowadzić nas do coraz głębszych refleksji i przezwycięzać traumy. Ale będziemy Ją także pamiętać jako współtwórczynię powieści radiowej *W Jezioranach*, którą pokochało kilka pokoleń radiosłuchaczy. Uszedłszy złu i śmierci, Zofia Posmysz nie chciała zamknąć się w ich kręgu, ale opowiadała także o zwykłym życiu, o codziennych ludzkich losach.

Często odwiedzała Muzeum Auschwitz-Birkenau, dając współczesnym pokoleniom osobiste świadectwo, szczególnie w ramach przedsięwzięć Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży. Wszystkim, którzy mieli okazję uczestniczyć w takich spotkaniach, czy to bezpośrednio, czy za pośrednictwem mediów, ciągle brzmią w pamięci Jej spokojne, skromne słowa. Mówiła: „Jestem wdzięczna, że zechcie-

liście mnie wysłuchać”. A przecież to my jesteśmy winni Jej wdzięczność. W imieniu Rzeczypospolitej miałem zaszczyt uhonorować przed dwoma laty Zofię Posmysz najwyższym polskim odznaczeniem, Orderem Orła Białego.

Pozostajemy w głębokim żalu, że wraz z Jej odejściem zabraknie tak wybitnego narratora i tłumacza historii. Zgasła tutaj, w oświęcimskim hospicjum, po długim, naznaczonym traumą, ale też niezwykle owocnym życiu. Jako honorowa obywatelka miasta spocznie na cmentarzu w Oświęcimiu. Jednak Jej opowieść się nie kończy, Jej świadectwo się nie zamyka. Zawsze będziemy wsłuchiwać się w Jej przesłanie.

Wszystkim Bliskim i współpracownikom Zmarłej składam wyrazy głębokiego współczucia.

Niech odpoczywa w pokoju!  
Cześć Jej pamięci!

ANDRZEJ DUDA ■

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej



FOT. © KRZYSZTOF JANIK / KRPP



# Zosiu, pozwól, że będzie to...

**P**ozegnanie bez rozstania. Właśnie tak. Choć już bez rozmów przez telefon, bez spotkań w mieszkanku na Schillera i bez Twego uśmiechniętego „przyjeżdż wreszcie”. A jednak ciągle jeszcze z aromatem herbaty w kruchoj filiżance, z obowiązkowym koniaczkiem i latami niezapomnianych pogawędek o życiu, sztuce, niebie i piekle, o świecie i zaświatach, o naszej wyprawie pielgrzymkowej po relikwie Świętego Andrzeja. O Tobie.

Życie tak pełne, że można by rozdzielić pomiędzy wielu. Pisarka – to wiemy – o popularności przyniesionej dość wcześniej przez serial *W Jezioranach* i słuchowiska radiowe. Właśnie ukazały się w druku; towarzyszyłam przygotowywaniom do tej edycji, zamykającej pisarskie *opus magnum* Zofii Posmysz. Jakaż była szczęśliwa oglądając książkę kilka tygodni temu:

– Mam dla Ciebie egzemplarz, pamiętaj.

Radio dało jej siłę i wiarę w moc literatury. I to się sprawdziło po wielokroć. *Pasażerka*, dramatyczny drobiazg z pamięci, stał się inspiracją dwóch innych arcydzieł – filmu Andrzeja Munka i odbywającej triumfalny pochód przez świat opery Mieczysława Weinberga. Zosia była wdzięczna za ten akt wysokiej sztuki, wspominała moskiewskie rozmowy z kompozytorem, absolutem warszawskiego konserwatorium. Była świadkiem wielkiego boomu, wręcz mody na twórczość zapomnianego muzyka; pędziłyśmy łamiąc wszelkie przepisy ruchu drogowego, żeby zdążyć na koncert Weinberga do filharmonii. Ostatnio już nie byłoby to możliwe. Zdrowie wypowiedziało posłuszeństwo. Ale nie zmalą ciekawość życia, zainteresowanie tym, co wokół nas i troska o los kraju, Europy.

Piękna Pani. Intelktualistka, autorytet moralny, szlachetny człowiek i – jak to ktoś trafnie ujął – patologicznie skromna Osoba. Nie ufała zaszczytom, nie chciała dawać wiary oczywistym ocenom własnej twórczości, pozycji literackiej, znaczeniu w sztuce. Ufała wyższej racji – Bogu. Jej wiara, głęboka, niepodważalna i sprawcza była jej światłem i światem. Bóg zapisał jej Los i wypełniał ten boski plan, szczęśliwa. Wdzięczna, jeśli u innych znajdowała potrzebne refleksje, słowa i myśli, jak w ulubionym modlitewniku autorstwa księdza prałata Niewęglowskiego. Zatraskana, by być pożyteczną, dzielić się z innymi, obdarowywać. Taką listę beneficjentów – szkół, kościołów, instytucji spisała zresztą przed odejściem.



FOT. © PAVEL SAMICKI / CC BY-SA 3.0

Trudno uwierzyć, ale za najgłębszy sens swojego życia uznała dramat Auschwitz, własny kamień węgielny. Tam się wszystko zaczęło, dramat i ocalenie przez wiarę, że

śmierć nie może nadejść, jeśli człowiek nie otrzymał ostatnich sakramentów. I ona, osiemnastolatka na krawędzi załamania, codziennie po pas w wodzie, wycinająca trzcinę na bagnach – uświadamiając sobie tę prawdę, przeżyła. Stamtąd, z obozu, przyszła też *Pasażerka*.

– Wiesz – mówiła – oglądałam taki film *Hiroszima, moja miłość*. Wiem, że już nie zdążę, ale chciałabym napisać jeszcze książkę „Auschwitz, mon amour”.

Szokujące wyznanie, ale Zosia na swój sposób kochała tamten wyrok losu. To stąd jej doceniana w świecie aktywność w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży, stąd przyjaźń z dyrektorem, czułym opiekunem Zosi, Leszkiem Szusterem. Stąd wreszcie decyzja, którą ogłosiła już dawno, że tam chce zostać pochowana. W pobliżu obozu więźniarki numer 7566, wśród duchów Historii.

Miałam zaszczyt być obdarzona przyjaźnią tej niezwykłej Osoby. Kogoś, czyj wymiar człowieczeństwa przekraczał zwykłe normy. Niosła przez życie ogromny bagaż czułości dla ludzi, świętości istnienia, prawości i szlachetności. Mieliśmy wiele szczęścia, że cichutko przeszła obok nas...

KRYSTYNA GUCEWICZ ■







FOT. © JOZEF WIECZOREK / BLOGMEDIA24.PL

# Jacek Wegner (1940-2022)

jako warszawski taksówkarz. Przez wiele lat, z przerwami, był także pilotem wycieczek zagranicznych z Francji. Publikował także w czasopiśmie bezdebitowych: paryskiej „Kulturze”, „Opinii”, „Bez Dekretu”.

Po roku 1990 wszystko się zmieniło, mógł już wrócić do zawodu i korzystać ze swojego talentu i wiedzy. I współpracował z Wiadomościami TVP, „Rzeczpospolitą”, „Kurierem Polskim”, „Nowym światem” i tygodnikiem „Solidarność”. Od 1990 do 2007 roku, do emerytury, wykładowca dziennikarstwa w Instytucie Dziennikarstwa UW, prowadził zajęcia z podstaw dziennikarstwa i *public relations*, a od 2001 do 2007 roku prezesował Rozwojowi Szkolnictwa Dziennikarskiego przy Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Publikacje Jacka Wegnera biegną swoim dwunurtem: polityczna publicystyka i zbiory historycznych esejów.

Do tej pierwszej grupy należą, w porządku chronologicznym: *Sternicy. Opowieść o 10 przywódcach PPR/PZPR, od Nowotki do Rakowskiego*. To naprawdę „cała prawda całą dobę”. Następna, to *Bez świadków obrony*, historia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków – nasi czytelnicy dobrze pamiętają tragiczne dzieje dwóch braci, którzy styczniową nocą 1971 roku wysadzili w powietrze aulę Wyższej szkoły Pedagogicznej w Opolu. Jeden dostał karę śmierci, drugi 25 lat więzienia, potem – na skutek interwencji społecznych – oba wyroki ujednolicono do 25. lat. I późniejsze straszne losy tych ludzi, działających w odosobnieniu, bo dopiero w czasach Solidarności antykomuniści mieli szczęście działać z grupie. Jacek Wegner jako pierwszy opisał w książce ten polityczny dramat. Następną publikacją był *Zamach na Lenina. Krótka historia RUCHU*, historia organizacji niepodległościowej, która była naturalnym łącznikiem między WiN-em, a potem wielkim zrywem Solidarności. To książka historyka Piotra Byszewskiego *Działanie służb bezpieczeństwa wobec organizacji RUCH* i ta Jacka Wegnera przypominały opinii publicznej o istnieniu tej formacji niepodległościowej. Ostatnią z tego cyklu publicystycznego był *Kryptonim Reporter. Wspomnienia figuranta*, rodzaj podsumowania, rozliczenia się dziennikarza i obywatela z tamtymi koszmarowymi czasami, z komuna, iż polującą na niego latami SB.

Drugim stałym nurtem twórczości Jacka Wegnera były zbiory esejów historycznych, współczesnych, niezwykle cenne z uwagi na jego umiłowanie Polski, pasję do sarmatyzmu i wielką wiedzę o przeszłości. Pierwszy, pt. *Biesy sarmackie*, to poszukiwanie

szczególnych cech naszego charakteru narodowego, które przyczyniły się najpierw do wielkości, a potem upadku Rzeczpospolitej. I zarazem wędrówka szlakami sarmatyzmu, który autor ukochał nade wszystko. W sensie zawartości tematycznej cała ta seria przypomina literacko-moralne rozważania Jarosława Marka Rymkiewicza, i co ciekawe, dochodzą do podobnych wniosków. I Rymkiewicza, i Wegnera, Polska – czasy po 1945 do 2015 – po prostu bolały, i obaj proponują podobne radykalne rozwiązania. W *Rzeczpospolitej. Dumie i wstydzie* oraz późniejszej, *Zmaganiach z Ojczyzną staroświeckiego Polaka* pisarz powraca do swoich fascynacji z *Biesów sarmackich*. To świetna publicystyka polityczna, rozważania na temat polskiej państwowości i praworządności, wolności i jej utraty, myślenia kategoriami racji stanu i prywaty, o despotyzmie i demokracji.

To są książki myśliciela i erudyty, obok *Pamiętników* Jana Chryzostoma Paska, odwołania do *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego, a zaraz potem do reform gospodarczych ministra Władysława Grabskiego. Obok nawiązań do XVI-wiecznego historyka Miechowity, wyimki z prac innych dziejopisów, np. Marcina Bielskiego. Ten cykl Wegnera koncentruje się na nurcie literatury polskiej, zwanym obywatelskim, który sprowadza się do troski o państwo i prawo, sprawiedliwość społeczną, tolerancję narodową i religijną. I który od roku 1772, od pierwszego rozbioru do 1990, z małą przerwą na dwudziestolecie międzywojenne, nie był podejmowany, ba, niszczone i spychany do podziemia. U nas ostatnio reprezentowany przez prof. Andrzeja Nowaka i prof. Wojciecha Roszkowskiego.

Jacek Wegner. Jeden z tych, którzy nie ulegali „zawirowaniom historii” i „służności etapów”, konsekwentnie i można chyba powiedzieć, pryncypialnie, upominali się o wolną, suwerenną i demokratyczną Polskę. I, przypominając pewne okresy z jej przeszłości, wskazywali drogi powrotu do potęgi i chwały. Przy tym wszystkim, intensywnej pracy dziennikarskiej, pisarskiej i pedagogicznej zawsze znajdował czas na grę w brydża, oglądanie swoich ukochanych westernów – „biało-czarnych moralnie” – na dyskusje polityczno-historyczne i spotkania z przyjaciółmi. Nie znam nikogo, kto tak świetnie pamiętałby i opowiadał dowcipy i anegdotki. Ciężka choroba zabrała go zbyt szybko.

*Requiescat in pace*, spoczywaj w pokoju, drogi Przyjacielu.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■

Odśzedł Jacek Wegner, świetny publicysta, znakomity eseista, oddany młodzieży pedagog i nasz wieloletni przyjaciel. To o jego książce *Rzeczpospolita. Duma i wstyd* w latach 2000. pisałam w londyńskim „Dzienniku Polskim”: „Niedawno na polskim rynku wydawniczym pojawiła się publikacja, na którą czekałam. W zgiełku i chaosie bijatyki politycznej nie tylko brak czasu, aby pomyśleć «o naprawie Rzeczpospolitej» czy «skutecznym rad sposobie», lecz choćby dostrzec i zarejestrować, co należałoby naprawić”.

Cała ta książka, a właściwie trzy, które autor poświęcił temu zagadnieniu, to jedno wielkie odwołanie do polskiej historii, tradycji, obrona sarmatyzmu i – zachwyt nad urodą polskiego języka. Hymn na cześć polskiej tolerancji, zadekretowanej u nas na kilka wieków przed pojawieniem się jej militanckiej wersji, *political correctness*. Pochwała polskiej myśli politycznej, konstytucjonalizmu, „kraju bez stosów”, w tym samym czasie, kiedy w Anglii czy we Francji „skracano politycznych i religijnych wrogów o głowę”. To *Rzeczpospolita. Duma i wstyd* powinna zostać „książką roku 2011”, ale nie została, bo choć jej autor był konserwatystą w starym, dobrym stylu, nie było jeszcze środowiska, które by go wspierało, jego książki promowało, pamiętało o nim. Potem już było – ale Jacek był zawsze, z paru różnych powodów, „pisarzem osobnym”.

Jeśli można mówić o jakiejś integracji ludzkiego losu z historią, życie Jacka Wegnera może tu służyć jako przykład. Studia polonistyczne skończył w 1963 roku, a dwa lata później – dziennikarskie. Przed 1981 rokiem pracował i współpracował z „Kurierem Polskim”, „Expressem Wieczornym”, z tygodnikiem „Kultura”, z „Więzią” i literacką „Kamienią”. Ale w latach 70., kiedy powstawało środowisko opozycji antykomunistycznej, współtworzył także redakcję konspiracyjnego miesięcznika Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ROBCIA, „U progu”.

Od końca 1981 do 1984 – dziennikarz niechciany, pracował na swoje utrzymanie



# Midrasz o Melchizedeku

MARZENA

BURCZYCKA-WOŹNIAK



Od urodzenia po śmierć – jedna jest miara dla wszystkich, jedna droga i jeden jej kierunek wskazany przez nieznaną litości strzałkę czasu. Zawrócić nikt jeszcze nie zawrócił, kierunku nie zmienił, z martwych ku życiu się nie cofnął. Jednakowoż mity i religie (*en masse*) w to nie wierzą, a obecny w ludzkim postrzeganiu nieznośny wprost reżim przemijania proponują zrównoważyć ideą zmartwychpowstania. Pocięcha to niemała dla strapionego własną nicością człowieka. Jakżeż on bowiem – z tym swoim wyrokiem śmierci – ma żyć? Na co mu budzić się rano i zasypiać nocą; martwić się o jedzenie i zdrowie, zabiegać o pieniądze? Na co mu mieć żonę i przymnażać sobie z nią dzieci, ciesząc się przy tym jak kto głupi...?

## Kuriozum

Melchizedek... Ani się urodził, ani umarł. Jednakowoż nie ma w tradycjach supozycji, jakoby miał on być („tylko”) aniołem, legendą, alegorią lub czystej wody ludzkim wymysłem.

Są nikłe źródła historyczne pośrednio dowodzące realnej obecności kogoś o zbliżonym imieniu na terenie Egiptu, Mezopotamii czy Fenicji; jest *quasi* świadectwo u rzymsko-żydowskiego dziejopisa Józefa Flawiusza...

W narracjach hebrajsko-żydowskich Melchizedek jawi się jako postać z biblijnym (parahistorycznym?) glejtem: poga-



Willem van den Broecke,  
*Ofiara Melchizedeka*, 1560

FOT. MAXIMILIAN MUSEUM, AUGSBURG

nin, król, kapłan kananejski. Osobliwa to figura. Zagadkę pochodzenia zdaje się dzielić ze schematem stworzeniowym (*ex nihilo*) Adama i Ewy... Zaś nieśmiertelność? Nic nie wskazuje na to, by można go było (pośmiertnie) znaleźć w panteonach jakiegokolwiek doktryny teologicznej.

*Casus* kogoś, kto przychodzi znikąd i donikąd odchodzi, odciskając w mentalnym postrzeganiu świata swój zagadkowy ślad, przyprawić może o interpretacyjny ból głowy i niejeden ezegeta po cichu daje sobie z tym święty spokój. Są jednak wśród rabinów, talmudystów, teologów, filozofów i pisarzy, gnostyków i agnostyków; gorliwych w wierze ale i zaprzańców czy przechrztów – są pomiędzy nimi tacy, którym ontyczna zagadka Melchizedeka spędza sen z powiek. Krążą więc nad nią myślami jak głodne ptactwo, dziwiąc się przy tym swojej własnej, nieznośnej wprost ciasnocie poznawczej.

## Na szachownicy zdarzeń

Czas był wojenny: od kanańskiego miasta Dan na północy po Beer Szewa na południu, od Wielkiego Morza na zachodzie do Morza Słonego na wschodzie – cała ta nadjordkańska połać żyznej ziemi co i rusz tonęła

w bitewnym kurzu. Wychodzili z niego jako zwycięzcy królowie: Szinear, Elamu, Admy, Beli, Sodomy, Gomory... Raz kiedyś odniósł zwycięstwo nie król, a zatroskany o rodzinę i dobytek pasterz trzód, uchodźca z Mezopotamii i Egiptu – Abram/Abraham syn Teracha. Wracającego po wygranej bitwie – któż to powitał go chlebem i winem, kto i w czyje Imię mu błogosławił? Abram zaś – hebrajski patriarcha komu to oddał hołd i złożył dziesięcinę z łupów wojennych? Nie kto inny to był jak Melchizedek – owa osobliwa (astralna?) figura bez początku i końca, wrzucona w biblijny dyskurs o nieprzemijaniu niczym jakiś (*excuse moi!*) kosmita...

Natomiast ciąg zdarzeń: owo dziwne spotkanie w czasach wojen kanańsko-hebrajskich; nietypowe (jak na niepełny jeszcze monoteizm) błogosławieństwo; nietypowo ukierunkowany hołd; przywołanie (choć jeszcze nie wprost z Imienia) Jahwe... Musiała w tym być jakaś polityka, po ludzku niezrozumiała, nie-ziemska. Człowiek sam by tego tak osobliwie nie wymyślił... Coś się tu przed nim (przedwcześnie?) usiłowało odsłonić, zademonstrować potencjał ukryty w trudnym do pojęcia, chwilami wręcz absurdalnym, toku ziemskich zdarzeń...

\*

Z czasem dopiero, w nowych przestrzeniach konceptualnych (chrześcijaństwo) pojawiają się nowe, brawurowe, wybiegające w porządek wieczności szarże interpretacyjne dotyczące tak figury Melchizedeka, jak i zdarzeń z jego udziałem. Znalazł w nich upodobanie Paweł z Tarsu, apostoł. Dla zwykłego zaś śmiertelnika, przeciętnego zjadacza chleba czyż Melchizedek nie jest gwarantem i patronem spraw nieoczywistych (?).



Adriaen Colaert, *Spotkanie Abrahama i Melchizedeka*, w: *Historia Abrahama*, 1584-1585 FOT. METMUSEUM.ORG



## Ofiary oszustw

**P**ierwsza wojna światowa zakończyła się wielką pandemią grypy, zwaną hiszpanką, na którą umierały miliony. Miejmy nadzieję, że do trzeciej wojny światowej nigdy nie dojdzie, chociaż ci, którzy wywołali dwie pierwsze, robią co w ich mocy, żeby do niej doprowadzić. Tym razem dożgonna miłość rusko-pruska może wreszcie szczerze na niczym, zanim znowu podpali świat. Na cud bowiem zakrawa fakt, że Rosjanie podpalając Ukrainę zahamowali pandemię grypy zwanej COVIDEM, ot tak z dnia na dzień.

## Fascynacje

**J**ako całkiem małe dziecko obejrzałam spektakl teatralny, który mnie zachwycił i z miłości do teatru nigdy się nie wyleczyłam. Czy podobnej fascynacji ulegają obecnie maślaki dzierzące wszechobecne tablety? Pewnie tak. Różnica polega jednak na dostępności rozrywki. Ja mogłam tylko marzyć o kolejnej przygodzie z teatrem. Dzisiejsze dzieci protestują głośno przeciwko odbieraniu im zabawki dającej przyjemność przez okrągłą dobę. Poprawność polityczna jest po ich stronie. Żądania dzieci są oczywiście na pierwszym miejscu. Kto bowiem, jak nie samo dziecko, wie najlepiej co jest dla jego dobra!? No, przecież nie rodzice! Oczywiście ci naturalni, bo zastępczy, to już wiedzą lepiej.

Mój przodek mawiał, że jak progres będzie tak nadal postępował, to ludzie zamiast chodzić do teatru, będą w własnych

## Zamilczanie

**Z**amordyzm, obok państwowego terroru, wymaga ciągłego zamilczania niewygodnych faktów. Przez cały okres trwania PRL-u wymazywano datę 17 września z naszej pamięci. Nie udało się. A to przecież już w 1939 roku Armia Czerwona (= sowieccy bandyci) zaczęła Polaków wyzwalać ze wszystkiego, co posiadali, głównie z życia. Rosyjska mentalność nigdy się nie zmieniła i zapewne nie zmieni, co możemy obserwować teraz na Ukrainie.

Potomkowie naszych „wyzwoliciele” mają się dobrze i stale próbują dyktować nam co pamiętać, a co zapominać, kogo piętnować, a kogo wychwalać. Ci „dzielni ludzie” na eksponowanych stanowiskach wóldarzy miast, nigdy nie boją się śmieszności albo nie wiedzą na czym śmieszność polega. Wiedzą natomiast, na czym polega efektywna manipulacja.

## Ale kino

**U**nia Europejska gnębi nas karami za urojony brak praworządności, chcąc w ten sposób wywołać kompletny chaos wymiaru sprawiedliwości. Nie pozwala obniżyć podatków w nadziei, że polska gospodarka się załamie. Istnieje jednak taka dziedzina naszego życia, która powinna budzić nieklamany zachwyt Brukseli i Berlina. Jest nią polska kinematografia.

Jesteśmy prekursorami i sukcesorami stylu w dziedzinie nagrywania dźwięku. Wrzaski i szepty nie wymagają rozumienia słów. Treść dialogów znają tylko scenarzyści, a widzowi nie jest ta znajomość potrzebna, bo przecież dialog niczego do treści

Sto lat temu zarówno wojna, jak i pandemia były prawdziwe. Obecnie jedynie wojna nie budzi niczyich wątpliwości. Dla tych, którzy się jej nie boją, lub sądzą, że ich nie dotyczy, jest już przygotowywana następna pandemia strachu. Tym razem pod nazwą małej zarazy. Będzie ona obejmowała zwłaszcza te kraje, w których mały są tylko w zoo. Afryka już zapowiedziała, że się szczepić nie zamierza. A jak to będzie z nami, wykształconymi z dużych miast? Biologia jest taka skomplikowana... pomijając nawet tych pięćdziesiąt parę płci.

Czy warto już teraz o tym mówić? Warto, bo szykuje się nam nowa powtórka z roz...walki. Jeśli ktoś idzie w zaparte i twierdzi, że nigdy nie dał się oszukać, to jest to widomy znak, że oszukuje sam siebie.

domach słuchali opery. Przepowiednia spełniła się dość przewrotnie. Kiedy operę można już było nie tylko wysłuchać, ale nawet obejrzeć nie ruszając się z własnej kanapy, ludziom nagle przestała się podobać. To, co zdawało się szczytem łączącą wszystkie sztuki wydało się nagle zbyt sztuczne.

A może teatr też już obecnie dogorywa? Znany aktor opowiadał mi jak to wystawiono *Fredrę* z wielką starannością, nawet żaden reżyser-„artysta” nie „poprawiał” tekstu. Spektakl wystawiono z dbałością o szczegóły. Każdy guzik w garderobie, czy pantofelek wykonano starannie, zgodnie z epoką, co kosztowało krocie. Przedstawienie pokazano publiczności dwukrotnie. Więcej nie było potrzeby, chodziło bowiem jedynie o wykorzystanie funduszy przeznaczonych na ten cel. Teatr stał się wyłącznie warsztatem pracy rzemieślników, a publiczność jedynie zbędnym balastem.

Czy w tej sytuacji potrzebna jest jeszcze współczesna polska dramaturgia? Szukanie funduszy na nową polską sztukę, to jak przysłowiowe zawracanie kijkiem Wisły.

Zgorszenie warszawskiego magistratu pod wodzą Trzaskowskiego wywołała wiadomość, że plebiscyt na ulubioną księgarnię warszawiaków wygrała, odsądzana od czci i wiary przez „GW”, księgarnia Multibook. Zdaniem przedstawiciela ratusza trzeba będzie zmienić formułę konkursu, żeby nigdy więcej „niewłaściwa księgarnia” nie wygrywała.

Czytelnicy głoszący jak im się podoba, powinni wziąć przykład z widzów teatralnych. Tu żadnej dowolności nie ma. Wszystkie teatry są sowiecie zasilane z jednej kasy i na jedną wyją nutę. Teatr Dramatyczny pokazał właśnie na co go stać. Takiego „artyzmu” zamilczeć nie podobna. Różnica między czytelnikami a widzami polega na tym, że księgarnia bez czytelnika obyć się nie może, a teatrowi widzowie przestali być potrzebni.

Zamordyzm, jak widać, wymaga nie tylko zamilczania niewygodnych faktów, ale i kreowania bzdur.

i tak nie wnosi. Dobitnie potwierdza to spostrzeżenie ostatnie „arcydzieło” zatytułowane *Legiony*. Najkrótsza recenzja filmu to: „Powiesili go, zakopali i uciekl”. Do tego sprowadza się cała intryga, nad którą pracowało aż dwóch scenarzystów. Reszta to luźno powiązane sceny batalistyczne przerywane dłuuu...gimi pocałunkami. Tu jedyne zastrzeżenie „prawdziwych Europejczyków” może budzić fakt, że to nie pocałunki homoseksualistów. Taka korekta wymagałaby jednak odsunięcia PiS od władzy.

Całość jest perfekcyjnie nudna. To jeden z powodów, dla których UE mogłaby docenić polski wkład zniechęcania widza do sztuki filmowej. UE powinna ustanowić jakąś nagrodę specjalną, którą obdarowywani byliby widzowie wytrzymujący dwie godziny w kinie.

MAŁGORZATA TODD ■



# Ogólnopolski Apel Czasopism – odpowiedź MKiDN

**22** czerwca 2022 roku inicjatorzy Ogólnopolskiego Apelu Czasopism złożyli w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego oficjalny list środowisk czasopiśmienniczych do ministra prof. Piotra Glińskiego sygnowany przez 36 redakcji z całej z Polski ws. radykalnej reformy programu MKiDN Czasopisma, w ramach którego co roku dystrybuowane są publiczne środki na działalność czasopiśmienniczą w kraju. Do Apelu wnioskodawcy załączyli postulaty, zawierające kierunkowe propozycje zmian w sposobie finansowania czasopism, które wraz z Apellem zamieściliśmy w poprzednim wydaniu „Ostoi” (nr 2/2022, s. 70-71).

Po upływie prawie pięciu miesięcy (!) wnioskodawcy doczekali się odpowiedzi. Udzielił jej dr Jarosław Sellin, sekretarz stanu w MKiDN. Niniejszym jej treść:

Odpowiadając na Pana pismo w sprawie zmian w programie Czasopisma, na wstępie pragnę podziękować za poświęcony przez Pana czas oraz przekazanie propozycji nowej formuły finansowania polskich czasopism kulturalnych.

Odnosząc się do postawionych w piśmie postulatów uprzejmie informujemy:

- koncepcja odejścia od trybu konkursowego w naszej opinii jest sprzeczna z fundamentalnymi założeniami programów Ministra. Programy mają na celu dofinansowanie zadań o charakterze projektowym, a nie stałą działalność kulturalną podmiotów. Każda edycja programu jest odrębnym i niezależnym konkursem, co w oparciu



o określone w regulaminie programu kryteria zapewnia wszystkim wnioskodawcom równy start w naborze. Fakt braku pozytywnej decyzji o dofinansowaniu w danym roku nie przekreśla szansy podmiotów na pozyskanie go w przyszłych latach;

- biorąc pod uwagę powyższe, pomysł przeprowadzenia waloryzacji czasopism jako podstawę do ewentualnego przedłużania dofinansowania w trybie dwuletnim przez komisję, którą „reprezentować miałyby wszystkie środowiska i redakcje startujące dotychczas w programie Czasopisma obierane na drodze losowania” – nie jest przy obecnych procedurach możliwy do wdrożenia;

- w kwestii Państwa postulatów przyznawania dotacji w trybie 2-letnim pragniemy przypomnieć, że każdy wnioskujący do programu w jego obecnym kształcie ma taką możliwość;

- w sprawie terminu ogłoszenia decyzji o dofinansowaniu maksymalnie do 31 stycznia uprzejmie informujemy, że funkcjonuje on już w obecnej formule programów – rozstrzygnięcie konkursów ma nastąpić w terminie 2. miesiąca, od dnia zakończenia naborów, które dla większości programów trwają do 30 listopada;

- nawiązując do Państwa postulatów zwiększenia budżetu programu Czasopisma informujemy, że w porównaniu z rokiem ubiegłym kwota została nieco zwiększona (informacja o całościowym budżecie programu została zamieszczona w regulaminie programu na 2023 rok na stronie internetowej Ministerstwa KiDN). Dalsze ewentualne zmiany alokacji finansowej są uwarunkowane możliwościami budżetowymi MKiDN.

W sprawie pozostałych propozycji, rekomendujemy kontakt z Instytutem Książki, który pełni funkcję instytucji zarządzającej programem Czasopisma. Instytut Książki corocznie dokonuje analizy programu i zgłaszanych do obowiązujących regulacji uwag. Na tej podstawie wprowadza ewentualne zmiany do regulaminu, które przedkłada Ministrowi do akceptacji.

Kończąc, pragnę raz jeszcze podziękować za Państwa zaangażowanie na rzecz poprawy jakości i efektywności formy udzielania wsparcia czasopismom kulturalnym w ramach programów Ministra.

Z wyrazami szacunku  
JAROSŁAW SELLIN, Sekretarz Stanu

Warszawa, 9 listopada 2022

## Czasopisma 2023

Celem programu Czasopisma, jednego z 32. ogłoszonych przez MKiDN, jest wspieranie najbardziej znaczących ogólnopolskich czasopism kulturalnych, zarówno tych o wieloletnim dorobku i ugruntowanej pozycji, jak i tych, które uzyskały status opiniotwórczych w ostatnich latach.

W ramach naboru, ogłoszonego 27 października 2022 roku, będą rozpatrywane wnioski, które zostaną złożone w terminie do 30 listopada 2022. Jeden wnioskodawca może złożyć maksymalnie dwa wnioski w programie, do limitu są wliczane wnioski, które uzyskały dofinansowanie w trybie wieloletnim w roku 2021 i 2022.

Po 30 listopada 2022 roku wnioski ocenia i udziela rekomendacji (zgodnie z kryteriami określonymi w specyfikacji konkretnego programu) zarządzający programem; w przypadku programu Czasopisma jest

nim Instytut Książki w Krakowie. Według dyrektyw Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (druk z 26 X 2022, liczący 400 stron!) wnioski są oceniane przez „zespół sterujący” (załączono bowiem wzór *Karty oceny członka zespołu sterującego*) oraz „instytucję zarządzającą” (odpowiednio *Karta oceny instytucji zarządzającej*). Kto wchodzi personalnie w skład tzw. zespołu sterującego w konkursie na rok 2023 na razie owiane jest tajemnicą.

Ministerstwo upubliczniło skład zespołów sterujących na rok 2022. Były to dwa zespoły: ds. czasopism literackich i kulturalnych (Krzysztof Koehler, wicedyrektor Instytutu Książki – przewodniczący, członkowie: prof. dr hab. Piotr Muldneri-Nieckowski, Juliusz Gałkowski, Marek Horodniczy, Jadwiga Majewska, Piotr Bernatowicz i dr Paweł Trzaskowski) oraz ds. czasopism humanistycznych (Krzysztof Koehler, wicedyrektor Instytutu Książki – przewodniczący,

członkowie: Grzegorz Filip, dr hab. Artur Żywiłek, prof. dr hab. Roman Dąbrowski, dr hab. prof. UJ Joanna Hobot-Marcinek, dr Paweł Rojek i Marcin Pasierbski).

Teoretycznie potencjalni beneficjenci powinni realizować program zawarty w złożonym wniosku od 1 stycznia 2023 roku.

W ub. roku pierwsze wyniki w programie Czasopisma 2022 ogłoszono dopiero w połowie lutego. Termin odwołań wyznaczono na dzień 26 lutego. Końcowe wyniki wraz z odwołaniami poznaliśmy w kwietniu (!) 2022 roku. W tym 2. etapie – w ramach procesu odwoławczego – kuriozalnym był fakt, iż w gronie beneficjentów MKiDN znalazły się podmioty, które w 1. etapie otrzymały mniej punktów od odwołujących się, a ostatecznie pominiętych w rozdziale publicznych środków.

Jak będzie w 2023 roku?

Zobaczmy...

ANDRZEJ SZTUMSKI ■



## Igraszki Karasia

**M**arian Tadeusz Karaś – rocznik '50, urodził się na Podkarpaciu, niedaleko Stalowej Woli, we wsi w Koto-wola pod Tarnobrzegiem, co wyraża w dwuwierszu: *Jam nie z soli ani z roli, / A z Kotowej Woli* (*Mój rodowód*). Jest absolwentem archeologii i dzien-nikarstwa podyplomowego UJ. Satyrą zajął się w 1984 roku, kiedy to z przy-czyn politycznych nie mógł już uprawiać zawodu reportażysty. Jest laureatem Ogólnopolskiego Konkursu Satyrycz-nego „Uzdrowianie śmiechem” (1988). W czerwcu bieżącego roku, marszałek województwa podkarpackiego uho-norował naszego autora nagrodą „Znak Kultury”, przyznawaną twórcom, ani-matorom kultury i osobom chroniącym dziedzictwo narodowe.

M. Karaś swoje fraszki i aforyzmy opub-likował w ponad trzydziestu tytułach, m.in. w „Przekroju”, „Szpilkach”, „Ulicy Wszystkich Świętych”, „Karuzeli”. W roku 1995 wydał zbiór fraszek, aforyzmów i li-meryków zatytułowanych *Igraszki sa-tyra*. Dwanaście lat później ukazał się w Internecie zbiór jego aforyzmów pt. *Zamyślenia z myślenia*. Na bieżąco można śledzić kolejne perełki jego twórczości, które publikuje na portalu internetowym „Się Myśli” ([www.siemysli-ke.info](http://www.siemysli-ke.info)), dzięki czemu grono odbiorców nie ma granic państwowych. Od kilkunastu lat utwo-ry Karasia możemy przeczytać w języku niemieckim, dzięki przekładom autorstwa Alfreda Bartylla-Blanke – myśliciela i pi-sarza z Düsseldorfu.

Najnowszą publikacją Mariana T. Ka-rasia jest – wydana przez Wydawnictwo Poligraf – zbiór fraszek i aforyzmów *Słowo się rzekło. Igraszki z myślą*, o których na sąsiedniej stronie pisze Jakub Pańków.

Redaktor portalu „Się Myśli” Lech L. Przychodzki, cyklicznie publikujący fraszki Mariana T. Karasia, pisze o nim: „Karaś jest na polskim rynku literackim zjawiskiem. Niewielu, a szkoda, zna jego dorobek. Niewielu go propaguje. Co nie przeszkadza, by cieszył się od lat szacun-kiem wąskiej grupy rodzimych myślaków – zarówno za konsekwencję w niełatwym życiu, jak i w pisarstwie. Wszak bycie i literatem i człowiekiem jednocześnie w dobie ponowoczesnej zdarza się co-raz rzadziej”.

– Myśli Karasia czytać trzeba uważnie. Kryją nie tylko zabawy znaczeniowe, lecz także trzecie niekiedy dna – dodaje.

Sam autor, zapytany o najnowszą swoją książkę, odpowiada krótko: „Czytajcie igraszki, bo życie to, niestety, nie fraszki”.

Zatem czytamy...

ISB ■



Marian Tadeusz Karaś

FOT. © LECH L. PRZYCHODZKI

### Myśli najnowsze

*Jest wiele książek  
do przeczytania,  
A jeszcze więcej  
do napisania.*

*XXX  
Teraz to mnie podnieca:  
Dogonić Sztaudyngera  
i przegonić Leca.*

*XXX  
Wraz z wykupieniem  
przez Orlen  
Wszystkich tytułów prasowych  
prasy regionalnej  
Powróciła epoka  
gazet przyzakładowych.*

*Nierozłączna para  
Koziołek Matolek  
I stólek.*

*XXX  
Chytry dwa razy traci,  
A mimo to się bogaci.*

*XXX  
Przykładem szczególnej  
oszczędności  
Są bliźniaki jednojajowe.*

*Złudzenie  
Kto pyta – nie błądzi.  
Niemowa tak sądzi.*

*Covidowa urawniówka  
W całym świecie bida  
Przez Covida.*

*XXX  
Wojny mają to do siebie,  
Że wywoływane są przez tych,  
którzy zamierzają umierać  
jako ostatni.*

*XXX  
Szkoda zachodu  
dla Wschodu.*

*XXX  
Królom wolno błaznować,  
Błaznom nie wolno królować.*

*Mea culpa  
Moja jedyna wina:  
Pisanina.*

*XXX  
Każdy potrafi umrzeć,  
Nie każdy potrafi żyć.*

*Spadek po Karasiu  
Gdy przekroczę  
próg wieczności,  
zostaną po mnie  
Fraszki, aforyzmy oraz ości.*

MARIAN TADEUSZ KARASZ



# Książka z duszą, czyli Karasia *Igraszki z myślą*

**D**robne formy Mariana Tadeusza Karasia czytam regularnie za każdym razem, gdy „pojawiają się” na łamach [www.siemysli-ke.info](http://www.siemysli-ke.info). I mam nadzieję, że autor *Igraszek z myślą* nie będzie miał mi za złe wyjścia poza sztapec recenzji, a jego książka stanie się przyczynkiem do szerszej i głębszej refleksji.

Aforystyka jest domeną dojrzałych umysłów. Rozpiętość stylistyki wynika natomiast z charakteru oraz osobowości twórcy. Jedni wolą suchą i zwięzłą formę, inni zabawę słowem i mrugnięcie okiem do czytelnika. Umiejętność trafnej syntezy zawsze jednak wyżej stoi od rozwlekłej analizy. Nie pamiętam, kto jest autorem refleksji, iż ogromna siła poezji bierze się stąd, że w jednym wersie ma moc wyrażenia prawdy na temat całej epoki. Może to myśl Simone Weil – a być może Claude’a Lévi-Straussa. Mniejsza o to – ważne, iż celne. Czytając filozofów, koniec końców łapiemy się na tym, że to, co zostaje po ich lekturze, to zazwyczaj „myśli” ubrane w aforystyczną formę. „Myśli”, które ze szczególną siłą zapadły nam w pamięć – i tam utkwily.

Karasz nie odstaje tutaj od największych tuzów w dziedzinie aforystyki. Przy czym nie trzyma się kurczowej jakiejś tematyki ani wygodnej manieri stylistycznej. Od lekkich, błyskotliwych „aforów”:

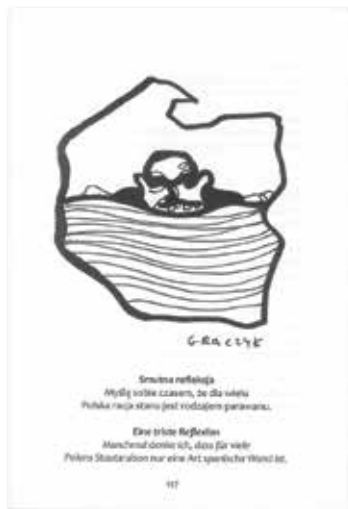
*Tak też się zdarza*

*że trzeba pogrzebać grabarza,*  
a czasem frywolnych frazsek, przechodzi naturalnie do głębszych i poważniejszych refleksji nad dolą człowieczą; myśli, których autorami mógłby być zarówno Seneka jak i Lao Tse:

*Nie żałuj wyborów, których już dokonałeś,  
Gdyż nie ma pewności, czy te, których nie dokonałeś*

*Nie byłyby jeszcze gorsze.*

To spojrzenie szczególnie mi bliskie, jak i ważne z punktu widzenia praktyki duchowej czy umysłowej. Również w tym tkwi wartość twórczości autora *Słowo się rzekło*, ponieważ Marian Karasz nie określa ram, w których ma się mieścić



jego pisanie. Nie ma tu udawania, pozerstwa, marketingowej kalkulacji, kagańca politycznej poprawności ani wieszania się na wymęczonej w pocie czoła formule literackiego schematu. Po prostu autor jest najzwyczajniej w świecie sobą, jest szczery. To, co pisze, czyni z ogromnym poletem, autentycznością oraz lekkością.

Przekładając kolejne stronicie książki *Słowo się rzekło. Igraszki z myślą* śmieję się do rozpuku lub uśmiecham refleksyjnie w głębi ducha. Choć z drugiej strony, ogarnia mnie smutek, że jest zapewne w naszym polskim społeczeństwie coraz mniejszy odsetek dusz, zdolnych docenić wartość takiej pisaniny, ludzi potrafiących odróżnić szkło od diamentów...

W ostatnim czasie czytanie „nowości”, wydawanych w ojczystym języku, a popelnianych przez ludzi mianowanych przez lobby medialne pisarzami, sprawia mi raczej trudność i przykrość. Mierzi i męczy. Mruganie okiem przez komercyjnych wydawców do rozleniwionych oraz niewyrobionych intelektualnie czytelników, jest jak dla mnie nader oczywiste.

Tym bardziej od pierwszej strony ucieszyła mnie książka Karasia. I nie chodzi tu jedynie o wartość literacką.

Satysfakcja bierze się również stąd, iż tego typu publikacje w ogóle się jeszcze ukazują. Książki wydawane przez pasjonatów dla pasjonatów, poza wydawniczą machiną Wielkiego Babilonu, poza trzewiami Lewiatana... Głęboko

ko bowiem wierzę, iż kontekst wydawniczy jest równie ważny, co sama literatura; nieskrępowana naciskami politycznymi oraz środowiskowymi, nie uwikłana w zależności i koterie. Siłą każdej aktywności intelektualnej winna być nienależność, a różnorodność środowisk opiniotwórczych gwarantem wyboru. Sami natomiast powinniśmy dbać o dywersyfikację źródeł i opinii, co niechybnie przekłada się na jakość naszego myślenia. Ścieranie się poglądów, idei, postaw estetycznych – w miarę zróżnicowanych i au-

tonomicznych środowiskach, daje szansę wyboru. Jednomyślność ideologiczna, opakowana w estetyczną sztapec, to domena totalitaryzmów. I miejmy nadzieję, że Marian Tadeusz Karasz ma rację pisząc:

*Internet nie zabije książki*

*Książka ma nieśmiertelną duszę.*

Na pewno są natomiast książki, które potrafią przewietrzyć głowę – do nich zalicza się ta właśnie pozycja.

Na koniec należy wspomnieć o przekładzie części książki na język niemiecki. Zadbał o niego Alfred Bartylla-Blanke, urodzony w 1953 roku na Górnym Śląsku niemiecki myśliciel, pisarz i tłumacz z Düsseldorfu, w 2005 roku laureat nagrody byłego prezydenta RFN, Richarda von Weizsäckera w dziedzinie literatury i sztuki translatorskiej (sam von Weizsäcker był laureatem słynnej Nagrody Humanizmu Niemieckiego Związku Filologów Klasycznych, przyznawanej przez uczelnię w Heidelbergu). Pracę nad tłumaczeniami aforystyki Mariana Karasia rozpoczął Alfred Bartylla-Blanke jeszcze w czasach, gdy był co-nacelnym

międzynarodowego portalu humanistów [www.bezjarzmowie.info.ke](http://www.bezjarzmowie.info.ke) (2011-2013).

JAKUB PAŃKÓW ■



Marian Tadeusz Karasz, *Słowo się rzekło. Igraszki z myślą*, tłum. na jęz. niemiecki Alfred Bartylla-Blanke, postłowie Lech L. Przychodzki, rysunki i proj. okładki Michał Graczyk, Wydawnictwo Poligraf 2022, ss. 124.



# Był to bardzo trudny rok

ROMUALD MIECZKOWSKI



**W**ojna na Ukrainie trwała dokładnie 310 dni, ponad 10 miesięcy – w minionym roku, choć działania wojenne były prowadzone od 2014 roku. Liczyliśmy początkowo z niepokojem jej dni, potem przewlekłe miesiące. Ile jeszcze potrwa agresja Rosji, prowadząca do klęski gospodarczej i wyniszczenia demograficznego?

Mówi się, że to Ukraińcy wyręczają zachodni świat w obronie litery międzynarodowego prawa, poszanowania suwerenności państw. Po ich stronie większa część światowej opinii publicznej (choć nie brakuje i wyczekujących na rozwój sytuacji) – i nie jest to bierne kibicowanie determinacji obrońcom, tylko konkretna pomoc. Powstaje pytanie: na ile jej wystarczy, odczuwa się bowiem coraz większe „zmęczenie materiału” też po stronie pomagających, ponadto – jak to na wojnie – dochodzi do nieporozumień i jej widmo przenosi się poza granice Ukrainy, o czym świadczył listopadowy incydent w przygranicznej miejscowości Przewodowo, na terytorium Polski.

Wojna dotyka nas wszystkich. Z jej powodu (a do tego przyczyniły się i skutki pandemii) stopniały i topnieją nadal nasze gromadzone latami oszczędności, gorzej funkcjonuje gospodarka, osłabły mechanizmy opieki społecznej, odczuwa się brak środków praktycznie we wszystkich dziedzinach życia publicznego. I są to koszty, jakie ponoszą najbliżsi sojusznicy walczącego o swą wolność kraju, koszty powstrzymania zagrożenia, jakie stwarza totalitarna Rosja, z globalnymi już konsekwencjami. Tak naprawdę jest to wojna o przyszłość Europy, ze wskazaniem Rosji jej miejsca na mapie, w imię gwarancji spokojnego bytu. Jest to wojna o wszystko, bez kompromisów i jak na razie bez możliwości użycia sposobów jej zażegnania. Innego wyjścia po prostu nie ma.

W trudnym czasie exodusu, ludziom z Ukrainy otuchy dodawały namiastki empatii i normalności, z jakimi spotykali się w Polsce, na Litwie, w innych krajach. Ważna była obecność walczącej Ukrainy na arenie międzynarodowej, jej aktywność w zakresie kultury, udział w różnych spotkaniach i festiwalach – literackich, muzycznych i filmowych, uwieńczonych też wsparciem materialnym.

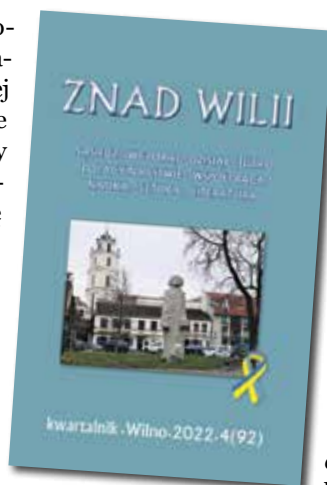
Podczas takich bezpośrednich spotkań nie brakowało wzruszeń. W mojej pamięci utkwiły czytane sms-y i e-maile ze strefy objętej działaniami wojennymi – o ile udało się połączyć. Zwykle ludzkie rozmowy, bez wzniosłych słów i patosu, na tematy bytowe, które w cywilizowanej codzienności nie sposób sobie wyobrazić; mimo niepewności co się może wydarzyć za chwilę, z dużą dozą humoru i optymizmu opowiadających; obok goryczy rozłąki, bólu spowodowanego utratą bliskich i dorobku życia, tragizmu sytuacji.

Takie spotkanie między innymi miało miejsce jesienią w Polskiej Galerii Artystycznej „Znad Wilii” w Wilnie. Uczestniczyli w nim Jurij Grigorowycz, filmowiec, fotograf i artysta malarz, który dokumentował pierwsze dni wojny, Maciek Mieczkowski, mieszkający w latach 2014-2018 z rodziną w Kijowie, śledzący sytuację i utrzymujący łączność z wieloma Ukraińcami, autor książki o Ukrainie, i niżej podpisany, z udziałem licznej grupy inteligencji ukraińskiej, przebywającej obecnie w Wilnie, wilnian, gości z Polski.

Wiadomo, sytuacja jest monitorowana, ale czymś innym są jednak przeżycia świadków wydarzeń, osób im bliskich, do których wykonuje się z trwogą telefony, wykorzystując nie zawsze dostępne rodzaje łączności. Kiedy w niepewności nie da się planować przyszłości.

Mimo że żyliśmy i żyjemy na co dzień wydarzeniami na Ukrainie, to wiele się działo na naszym „podwórku”, również w sferze kultury. Prawda, najważniejsze imprezy, choć najczęściej „okrojone”, to jednak się odbywały. Bardziej ucierpiały mniejsze inicjatywy niemające zasobniejszego zaplecza. Można oczywiście dyskutować o jakości wielu przedsięwzięć i zauważalnym spłyceciu jakościowym ofert kulturalnych.

Jeśli chodzi o media, to najwięcej problemów chyba miały media „papierowe”. Coraz więcej trudności powstaje w dystrybucji niekomercyjnych czasopism, ponieważ zaczyna brakować ogniw pośrednich w dotarciu do czytelnika. Jest rzeczą oczywistą, że jesteśmy też świadkami i uczestnikami ogromnych zmian technologicznych i obyczajowych – to jakbyśmy znaleźli się raptem w okresie, kiedy jeszcze istnieje pismo klinowe, a już pojawił się papier. Okres przejściowy – jak



wiemy z podręczników historii – trwał długo. Zmienia się nam, i to szybko, nie tylko forma przekazu, ale i jego treść – stąd trzeba się liczyć ze zmianami mentalnymi, bo czymże zainteresować czytelnika w erze coraz bardziej techno-obrazkowej. Przed laty w „Znad Wilii” popularnością cieszyły się choćby takie konkursy, jak na przykład *Wilno na starej pocztówce*, *Nasze małe ojczyzny* czy *Polacy wielu kultur*, inaczej oceniano obec-

ność debat i dyskusji, utworów literackich, a szczególnie debiutów, pracownicy naukowci chętnie udostępniali fragmenty swoich prac, inna była odpowiedzialność za słowo pisane. Zaistniałej sytuacji na razie nie da się wytłumaczyć „bardziej kreatywną” obecnością w Internecie, tymczasem po prasę przestają sięgać „potencjalni” jej odbiorcy, w tym ludzie z wyższym wykształceniem, a nawet z tytułami naukowymi. Konkursy, jakie czasami mają miejsce choćby w telewizji, ukazują coraz częściej ogromne, wprost kuriozalne i anegdotyczne luki w znajomości własnej kultury czy historii.

W tej sytuacji tym bardziej ważne jest zachowanie również „nieinternetowej” i poszerzonej wiedzy o nas samych – jako świadectwa i dokumentu, szczególnie gdy dotyczy to mniejszej społeczności Polaków na Litwie, losów spuścizny polskiej poza Krajem. To, że z kwartałnika bywa pożytek, nie ma wątpliwości, zaświadcza o tym sygnały nie tylko od osób prywatnych, lecz i z ośrodków naukowych na Litwie i w Polsce, ale też w Czechach czy na Łotwie, krajach europejskich, także Ameryce. Jednakże inną kwestią są możliwości wydawnicze, sponsoring i pozyskanie środków dla tego rodzaju tytułów i w takim formacie.

Wszystkie numery „Znad Wilii” ukazały się regularnie i w pełnej objętości. Mam nadzieję, że możliwości na wydawanie czasopisma w przyszłości również nie zabraknie, choć moje plany są nader skromne: dotrzeć do setnego numeru kwartałnika w 35. roku wydawania tytułu (ponadto w latach 1989-2000 wydano 257 numerów „Znad Wilii” – jako dwutygodnika i przez pewien czas tygodnika).

Ten rok jest ważny dla jeszcze jednej naszej inicjatywy – po raz 30. odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią”. W roku szczególnym, a mianowicie



podczas uroczystych obchodów 700-lecia miasta Wilna. Będzie to okazja do podsumowania trzech dekad naszej działalności na niwie literackiej, popularyzacji literatury polskiej – tej klasycznej i współczesnej, a przede wszystkim wsparcia dla dzisiejszych dokonań twórczych Polaków na Litwie, na rzecz profesjonalnego partnerstwa w sztuce. „Umasawianie” i upolitycznianie twórczości literackiej, w tym poezji, chociażby poprzez niekiedy bezkrytyczny dostęp do mediów elektronicznych, jak też poprzez zbyt łatwe pozyskanie środków w ramach tzw. projektów, prowadzi czasami wręcz do eliminacji dokonań ambitniejszych; z drugiej natomiast strony – do tworzenia niszowości i zamykania się środowisk twórczych, pozostających niestety na uboczu. A to jest już niebezpieczne.

„Maj nad Wilią” powstał z troski o rozwój naszej skromnej polskiej twórczości literackiej na Litwie, z chęcią utrzymywania stałego partnerstwa z doświadczonymi literatami, z chęcią przyczynienia się do kształtowania bardziej wyrafinowanych gustów. Minione lata wykazały, że jest to sprawdzona marka. Podejmowaliśmy setki twórców, w tym wybitnych, nie tylko z zakresu literatury, ale też nauki, filmu i teatru, malarstwa i muzyki. Z rewizytami na spotkania artystyczne jeździli w Wilnię, utrzymując w tym zakresie stałe kontakty z czołowymi w Polsce organizacjami twórczymi, doświadczenie i wypracowany potencjał pozwalają na zastanowienie się: A co dalej z takimi spotkaniami?

Po jubileuszowym festiwalu należałoby tę pracę kontynuować, zmieniając może jego formułę i przy tej okazji organizować na przykład warsztaty, przede wszystkim dla młodych twórców, zajęcia z tłumaczami i literatami na niwie translatorskiej. Pożądane by były działania z aktorami na rzecz sceny rodzimej, sprzyjające powstawaniu własnych i współczesnych utworów scenicznych, fachowych scenariuszy czy tekstów do muzyki – sporadyczne stawianie jedynie na modne performance czy happeningi to za mało. Pozostaję przy niemożliwym dzisiaj stwierdzeniu: to zamierzenie ma również uczyć i wychowywać.

Zapraszam Państwa do podzielenia się własnymi uwagami na ten temat, jak też uwagami na temat, jaki ma być kwartalnik. Proszę pamiętać – razem z Państwem go współtworzymy, więc zapraszam do sięgnięcia do wspomnień rodzinnych, do dokumentów wartych ocalenia – nikt za nas tego zrobi.

Zapraszam do lektury kwartalnika „Znad Wilii” i szeroko pojętej współpracy.

**ROMUALD MIECZKOWSKI** ■

Egzemplarze czasopisma można pobrać ze strony wydawcy: [www.znadwilii.lt](http://www.znadwilii.lt)



3 listopada 2022 roku w Wilnie odbyło się spotkanie pt. *Ukraina niezłomna – dziennik wojny*. Uczestnikami debaty byli: Jurij Grigorovic, Maciek Mieczkowski i Romuald Mieczkowski – prowadzący. Maciek Mieczkowski (*Na Zakręcie: Kijów i Ukraina u progu zmian*) opowiedział o kulisach powstawania reportażu do książki w czasie jego czteroletniego pobytu w Kijowie, oraz zaprezentował autorskie zdjęcia z pobytu w Ukrainie.

Jurij Grigorovic – filmowiec i artysta malarz – przypomniał o horrorze życia w Ukrainie po wybuchu wojny i pokazał ilustrujący to film dokumentalny własnego autorstwa. Wyświetlił też zdjęcia, wykonane po 24 lutego 2022 roku, które kontrastowały z tymi z książki z lat 2014-2018.

Po spotkaniu odbyła się żywa dyskusja dotycząca poruszanych tematów. Spotkanie było transmitowane w Internecie ([www.facebook.com/znadwilii](https://www.facebook.com/znadwilii)). FOT. © WIKTORIA KUČAJ



## Krajowy Konkurs Literacki

Fundacja Nieco Kultury w Warszawie organizuje Krajowy Konkurs Literacki, służący wyłonieniu najlepszej napisanej po polsku książki, która wyróżnia się wybitną formą literacką.

Przyznając nagrody dla Laureatów pragniemy docenić polskich autorów za ich warsztat, wyobraźnię i kunszt literacki. Celem konkursu jest wyróżnienie autorskiego tekstu odznaczającego się wysokim poziomem literackim, popularyzacja ana-

logowego czytelnictwa i sztuki wydawniczej oraz promowanie debiutujących autorów szczególnie dbających o słowo pisane.

Terminarz: od 1 grudnia 2022 do 28 lutego 2023 roku – przyjmowanie zgłoszeń rejestracyjnych poprzez Formularz; od 1 stycznia do 30 kwietnia 2023 – przyjmowanie prac konkursowych poprzez e-mail: konkurs@krajowykonkursliteracki.pl. Ogłoszenie wyników nastąpi 15 września 2023.



Więcej szczegółów na stronie:  
www.krajowykonkursliteracki.pl. ISB ■

## XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Michała Kajki

Konkurs ma charakter otwarty; mogą w nim brać udział wszyscy, niezależnie od przynależności do związków twórczych i stowarzyszeń, którzy na adres organizatora prześlą zestaw trzech niepublikowanych oraz nieocenianych w innych konkursach wierszy, opatrzonych godłem (pseudonimem).

Wiersze oceni jury w składzie: Joanna Chachula – przewodnicząca jury, poetka, recenzentka, bibliotekarka i animatorka kultury, Janina Osewska – pedagog, poetka, animatorka życia literackiego, regionalistka i Agnieszka Herman – poetka, autorka okładek do książek, finalistka Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. Konstantego I. Gałczyńskiego 2020.



Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 2 czerwca 2023 roku. Gala przyznania nagród (I miejsce – 2 tys. zł, II – miejsce – 1 tys. zł, III – 500 zł; Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród) odbędzie się na przełomie lipca i sierpnia 2023 roku w Muzeum Michała Kajki w Ogródku.

Na prace w Konkursie organizatorzy czekają do 21 kwietnia 2023 roku (decyduje data stempla pocztowego). Zestawy wierszy należy nadsyłać w czterech kopiach. Ocenie podlegają prace w postaci maszynopisów lub wydruków komputerowych (rękopisy nie są brane pod uwagę). Wiersze należy nadsyłać na adres: Polana Kultury w Orzyszu, 12-250 Orzysz, ul. Wojska Polskiego 9D, z dopiskiem „Konkurs Michała Kajki”.

Dodatkowych informacji udzielają organizatorzy pod numerem tel. 87 423 70 10 (8.00-16.00), e-mail: muzeumkajki@wp.pl. Regulamin Konkursu na stronie: www.michalkajka.pl. AS ■

## Wpis do rejestru zabytków w Olsztynie uchylony

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjął decyzję o uchyleniu wpisu do rejestru zabytków „Pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej” w Olsztynie. Wpis blokował możliwość zastosowania przepisów tzw. ustawy dekomunizacyjnej, a tym samym usunięcie pomnika będącego symbolem komunistycznej propagandy, utrwalającym fałszywy obraz roli Armii Czerwonej, rzekomo „wyzwalającej” Polskę. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego od dawna stoi na stanowisku, że dalsze eksponowanie w przestrzeni publicznej obiektu, który stanowił „dowód wdzięczności” dla Armii ZSRR, jest niedopuszczalne i stoi w sprzeczności z interesem państwa.

Analizy przeprowadzone przez MKiDN wykazały brak możliwości lub celowości zastosowania do olsztyńskiego pomnika przepisów o skreśleniu z rejestru zabytków lub o stwierdzeniu nieważności decyzji o wpisie tego obiektu do rejestru zabytków.

W marcu br. minister Piotr Gliński zarekomendował władzom Olsztyna wystąpienie do Warmińsko-Mazurskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków

o zgodę na demontaż i przeniesienie tzw. „Pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej” w Olsztynie. Minister – w piśmie do prezydenta Olsztyna – wskazał wówczas, że proponowanym przez MKiDN miejscem przeniesienia pomnika jest Muzeum PRL-u w Rudzie Śląskiej stworzone przez Fundację „Miniona Epoka”. Dyrekcja Muzeum wyraziła wówczas zgodę na przyjęcie obiektu. Wicepremier podtrzymał wtedy wcześniejszą deklarację pokrycia kosztów demontażu i transportu oraz opracowania niezbędnej do usunięcia pomnika z przestrzeni publicznej Olsztyna dokumentacji konserwatorskiej.

Prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz nie zgodził się jednak na przeniesienie pomnika do jednej z instytucji kultury, gdzie rzeźba Dunikowskiego znalazłaby się w odpowiednim otoczeniu jako niesławny relikwyt pewnej epoki w sztuce. Wicepremier Piotr Gliński wielokrotnie publicznie apelował do prezydenta Olsztyna o natychmiastowe usunięcie pomnika z przestrzeni publicznej.

Wobec braku działań ze strony władz Olsztyna, w sierpniu br. Minister Kultury

i Dziedzictwa Narodowego wszczął z urzędu postępowanie w sprawie uchylenia decyzji o wpisie pomnika do rejestru zabytków na podstawie art. 161 *Kodeksu postępowania administracyjnego*.

Przepis ten stanowi, że minister może uchylić lub zmienić w niezbędnym zakresie każdą decyzję ostateczną, jeżeli w inny sposób nie można usunąć stanu zagrażającego życiu lub zdrowiu ludzkiemu albo zapobiec poważnym szkodom dla gospodarki narodowej lub dla ważnych interesów państwa. W toku postępowania Prezydent Miasta Olsztyna ponownie opowiedział się za zachowaniem i pozostawieniem pomnika w obecnej lokalizacji.

21 września br. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego zdecydował o uchyleniu wpisu do rejestru zabytków „Pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej” w Olsztynie. AS, GOV.PL ■







TEATR KWADRAT  
SCENA KAMERALNA

# Nieostrość widzenia

*monodram inspirowany życiem Zofii Książek-Bregułowej  
autorstwa Remigiusza Grzeli*

**w wykonaniu Ewy Ziętek**



Reżyseria – Wawrzyniec Kostrzewski  
Asystent – Katarzyna Hendzel  
Scenografia/kostiumy – Anna Adamek  
Reżyseria świateł – Paulina Góral-Stykowska  
Oprawa muzyczna – Piotr Łabonarski  
Wizualizacje – Przemysław Żmiejko/Bartek Warzecha  
Producent – Damian Kinderman

premiera 9 kwietnia 2022 r.





